

# W OBJĘCIACH NAZISTY



SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

ANETA KRASIŃSKA

ANETA KRASIŃSKA

W OBJĘCIACH  
NAZISTY



Redakcja  
*Paweł Wielopolski*

Korekta  
*Magdalena Świerczek-Gryboś*

Skład i łamanie  
*Marcin Labus*

Projekt okładki  
*Anna Slotorsz*

Zdjęcie wykorzystane na okładce  
© *Collaboration JS/Arcangel Images; NAC*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Aneta Krasińska, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83290-84-3



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 25191

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)

[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

# Spis treści

Karta redakcyjna

\*\*\*

Rozdział I. Radość na wyciągnięcie ręki

Rozdział II. Słodki zapach bzu

Rozdział III. Inność

Rozdział IV. Na scenie i w życiu

Rozdział V. Na łądzie i na wodzie

Rozdział VI. Tanecznym krokiem

Rozdział VII. W świecie barw i emocji

Rozdział VIII. Wiatr od morza

Rozdział IX. Dom

Rozdział X. Gusta i guściki

Rozdział XI. Kompromisy

Rozdział XII. Oczy szeroko zamknięte

Rozdział XIII. Gospodarskim okiem

Rozdział XIV. Pod prąd

Rozdział XV. Wbrew logice

Rozdział XVI. Pod czujnym okiem

Rozdział XVII. Pytania bez odpowiedzi

Rozdział XVIII. Dzień niespodzianek

Rozdział XIX. Ciekawość

Rozdział XX. Przedstawienie

Rozdział XXI. Zagadka

Rozdział XXII. Niespodzianka

Rozdział XXIII. Pytanie

Rozdział XXIV. Odpowiedź

Od autorki

Przypisy

\* \* \*

rozżarzony kamieniami  
cień uniesienia  
pierwszego pocałunku  
w ogrodzie wspomnień  
przekracza rubież konwenansów

serce buntuje się w uścisku  
srogich dłoni  
atak nocnych grzmotów  
podrywa agresora  
tuż obok  
wzbiera chłód tataraków  
odpływają znane pejzaże  
exodus gubi drogi  
plącze atlasową biel sukni  
jątrzy nikle nadzieje  
marszczy strach

czekasz  
na peronie jutra

Agnieszka Krizel

## Rozdział I



# Radość na wyciągnięcie ręki

Lazur nieba odbijający się w bezkresie morskiej wody, leniwie uderzającej falami o brzeg, przypominał o nadejściu wiosny. Tegoroczna zima wyraźnie się zasiedziała na Wybrzeżu, na zmianę strasząc mrozami lub pluchą. Kiedy jednak wiosna ją przepędziła, przyroda natychmiast rozbłysła feerią barw. Gdański las ozłociły jaskrawe kwiaty żarowca. Gdzieniegdzie stroszyły liście dzikie róże, zazdrośnie spoglądające na mikołajka nadmorskiego o kłujących liściach, obawiając się, że w tym roku to on skradnie serca plażowiczów.

Łagodny szum fal stanowił tło dla kanonady śmiechu i niekończących się rozmów spacerujących brzegiem morza mieszkańców Wolnego Miasta Gdańsk, które choć miało kilkusetletnią historię, to od blisko dwudziestu lat na nowo formowało swą samorządność. Z jednej strony gdańszczanie szukali spójności z narodem, z którego się wywodzili, z innej zależało im na uzyskaniu jak największej niezależności. Na tym polu dochodziło do wielu nieporozumień, ale w to niedzielne przedpołudnie nikt nie chciał tego rozpamiętywać. Codziennność miała nadejść w poniedziałek. Dzisiaj rozbrzmiewał śmiech, a tereny nadmorskie tętniły życiem i radością.

Sezon letnich spacerów i coraz bardziej modnego plażowania oraz opalania się dopiero miał się rozpocząć, ale już teraz przechadzające się po nabrzeżu kobiety nie musiały unikać fal. Moda dostosowała się do ich potrzeb. Sięgające kolan zwiewne sukienki dawały swobodę i pozwalały zanurzyć stopy w chłodnej wodzie Bałtyku. Wyrzucone w kął gorsety i pasy do pończoch przestały krępować ruchy. Zamiast tego elegantki wybierały luźne sukienki ze zwiewnego muslinu czy jedwabiu. Towarzyszący kobietom dżentelmeni szli bosy w jasnych spodniach podwiniętych do kolan, z kaszkietem na głowie lub w słomkowym kapeluszu. Te z dużym rondem zdobyły kobiecie głowy.

W oddali widać było kilkunastu młodych mężczyzn goniących za piłką. Ich umiejętnie złożone marynarki leżały nieco dalej, by się nie pobrudziły. Samozwańczy sędzia na palcach odgwizdał koniec meczu. Zawodnicy poczęli sobie gratulować i się żegnać. Być może nigdy więcej w takim składzie się nie spotkają.

Dwóch z nich ruszyło wzdłuż brzegu. Mieli jeszcze sporo czasu, by wrócić na stację kolejową. Na razie zamierzali cieszyć się wolnym dniem.

Iwo Koźmiński poprawił jasny kaszkiet na głowie i przewiesił beżową marynarkę przez ramię. Wciąż jeszcze miał przyspieszony oddech. Rajmund Szymanek, znacznie od niego postawniejszy, głośno dyszał i wciąż nie odnalazł w sobie siły, by wcisnąć na głowę biały letni kapeluszyk w stylu marynarskim.

– Odpoczniemy chwilę? – wysapał Rajmund i nie czekając na odpowiedź przyjaciela, zaczął rozkładać swoją marynarkę na piasku.

– Powinniśmy pomyśleć o jakimś obiedzie – zauważył Iwo, sadwiąc się obok.

Rajmund wytarł szarą jedwabną chusteczką mokrą od potu twarz i rozłożył się na swojej marynarce. Na oczy nasunął kapeluszyk i przymknął powieki.

– Jeszcze chwilunia. Zaraz idziemy – obiecywał coraz bardziej sennym głosem.

Iwo wiedział, że żadną siłą nie postawi przyjaciela na nogi. Po takim wysiłku fizycznym potrzebował odpoczynku. Pracowali ze sobą od ponad dwóch lat, zdążyli więc się dostatecznie dobrze poznać i zaprzyjaźnić. Wiele ich łączyło. Obydwaj przyjechali na Wybrzeże w poszukiwaniu zatrudnienia, a ich rodziny pozostały w głębi kraju.

Rajmund Szymanek przyszedł na świat w rodzinie kupców z patriotycznymi tradycjami. Od najmłodszych lat wpajano synowi idee służby na rzecz ojczyzny. Rodzice interesowali się polityką i o wielu ważnych sprawach dotyczących Polski i Polaków rozmawiali nawet przy dziecku. Nikogo więc nie zdziwiło, że chłopak, gdy tylko skończył dwuletnie liceum i zdał maturę, zaczął starać się o posadę funkcjonariusza celnego. Nie obyło się bez przywołania koneksji przez państwa Szymanków i odbycia przez nich kilku ważnych spotkań z wysokiej rangi urzędnikami państwowymi czuwającymi nad kwestiami polityki Skarbu Państwa. Ostatecznie marzenia ich syna się ziściły.

Iwo zapadł w krótką drzemkę, śniąc o cieście drożdżowym przygotowywanym przez swoją matkę. W jego domu rodzinnym pod Bydgoszczą wypieki należały do tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Prababka Lud-

miła i jej córka Julianna słynęły w całej wsi z pieczenia chleba i ciasta. Specjalnie wybudowany przez zduna piec bardzo szybko się nagrzewał i długo utrzymywał temperaturę, dlatego kobiety z coraz większą odwagą wypróbowały kolejne przepisy, a ich wypieki podbijały serca i zyskiwały uznanie kolejnych mieszkańców wioski. Kobiety nie w ciemnie bite ciułały zarobione pieniądze, jakby wiedziały, że kiedyś zostaną one dobrze spożytkowane przez matkę Iwa, która zainwestuje w edukację syna.

Wprawdzie w ich wiosce znajdowała się szkoła powszechna, ale uczęszczało do niej blisko pięćdziesięcioro dzieci z okolicy, więc w ciasnej izbie siedziały stłoczone jedne na drugich bez szans na to, by ćwiczyć kaligrafię czy sprawne rachowanie. Iwo zasługiwał na więcej, dlatego jego matka, nie bacząc na pomruki ojca, który najchętniej wydałby pieniądze na kupno nowego radła czy krowy, wywiozła syna do Bydgoszczy i umieściła go na stacji, sownicie płacąc owdowiałej właścicielce posesji za wikt i opierunek syna. Chłopakowi zaś przykazała jedno – naukę. Po skończeniu gimnazjum, a potem liceum Iwo przystąpił do matury, którą zdał ze świetnym wynikiem. Cóż z tego, skoro nie chciał słuchać rad matki, by zostać nauczycielem w którejś z bydgoskich szkół.

Syn miał dość siedzenia w jednym miejscu i zakuwania. Okazja nadarzyła się, gdy znalazł ogłoszenie o pracy na stanowisku funkcjonariusza celnego na granicy Polski z Prusami Wschodnimi. Dwa razy był na rozmowie. Już za pierwszym razem zrozumiał, że ma niewielkie szanse na zdobycie tej posady. Brak znajomości w urzędzie to nie-mała przeciwność losu.

Przypadek jednak sprawił, że ktoś wysoko postawiony w Ministerstwie Skarbu stwierdził, że należy zwiększyć liczbę obsługi celnej na granicy gdańsko-pruskiej w 1936 i 1937 roku. Potrzeba była tak pilna, że szukano ochotników wśród kandydatów, którzy choć rokowali, to wcześniej z różnych względów zostali odrzuceni. W ten sposób ktoś dotarł do rodzinnej wioski Iwa, w której maturzysta chciał zapomnieć o swojej pierwszej życiowej porażce.

– Mundek... Mundek... wstawaj, bo nas słońce spali na skwarkę. Lecimy do Szmeltera?

Rozespany mężczyzna przeciągnął się i usiadł, po czym poklepał się po wyraźnie zaznaczonym brzuchu. Jego sięgające uszu kruczoczarne włosy rozsypały się wokół okrągłej twarzy, nieco ją zasłaniając. Rajmund przeczesał je palcami, odsłaniając czekoladowe oczy ponad niewielkim nosem i wyraźnie zaznaczonymi dużymi ustami.

– Nie wiem, jak ten człowiek to robi, ale zdecydowanie ma najlepsze jedzenie w mieście – oświadczył, podnosząc się bez pośpiechu.

– I najtańsze – zauważył Iwo.

Młodzi mężczyźni dokładnie otrzepali ubrania z piasku i ruszyli wzdłuż plaży. Mieli do przejścia jeszcze kawałek drogi. Zimny Bałtyk obmywał ich bosc stopy.

– Ciekawe, czy w tym roku turyści dopiszą? – zastanawiał się Iwo.

– Co mają nie dopisać? – Rajmund wzruszył ramionami. – Niemce z Prus Wschodnich mają do nas najbliżej, a dla naszych to jedyne miejsce, gdzie mogą zamoczyć nogi w słonej wodzie.

Iwo pokiwał głową w zamyśleniu. Z opowiadań dziadków i lekcji historii wiedział, że kiedyś Polska miała dostęp do trzech mórz, a teraz został jej niewielki skrawek ziemi, który po zakończeniu Wielkiej Wojny dobroduszne mocarstwa zaoferowały jej niczym jałmużnę dla świętego spokoju. Lecz owego spokoju w roku Pańskim 1939 wciąż brakowało.

Mężczyźni skręcili, kierując się w stronę wyjścia z plaży. Od Dworca Głównego położonego w Śródmieściu dzielił ich spory kawał drogi. Żwawym krokiem ruszyli po brukowanej ulicy, którą od czasu do czasu przejeżdżały samochody lub niewielkie, choć eleganckie bryczki ciągnięte przez zadbane konie. Na jedną z nich Iwo machnął ręką. Woźnica zatrzymał konia i zaczął, aż pasażerowie wygodnie usiądą.

– Dzisiaj jak pany pojedziemy na Dworzec Główny – zauważył Iwo, spoglądając na przechodniów.

– Dacie, panowie, chociaż zarobić parę fenigów, bo Niemce coraz chytrzejsze i gdy ktoś z naszych podjedzie, to go odganiają i czekają, aż swoi podstawią bryczkę – poskarżył się woźnica. Strzelił lekko batem na zaprzężonego kasztana. Koń prychnął niezadowolony z tego poganiania, ale ruszył z miejsca.

– Musimy trzymać się razem – dodał Rajmund w zamyśleniu.

Znacznie szczuplejszy Iwo wcisnął się w róg i poprawił kaszkiet na włosach o miodowym odcieniu. Wczoraj zdążył je podciąć, więc było mu nieco chłodniej. Jego pociągła twarz liźnięta promieniami słońca wyglądała, jakby należała do znacznie starszego mężczyzny, choć Iwo jesienią miał świętować dopiero dwudzieste czwarte urodziny. Od-ruchowo potarł dłonią rzadką brodę, którą zapuszczał od zimy. Ta jednak nie należała ani do długich, ani tym bardziej bujnych. Iwo jednak nie chciał słyszeć o jej zgoleniu, twierdząc, że broda dodaje mu nie tylko lat, ale też sprawa, że wygląda na mądrzejszego.

Właśnie podjechali w okolice dworca, gdy usłyszeli donośny gwizd ciężkiej lokomotywy. Olbrzymie obłoki czarnego, gryzącego w gardła dymu unosiły się nad stacją. Ściskający żołądki głód nie pozwolił im się zatrzymać, by podziwiać stalowego olbrzyma. Gdy weszli na dworzec, od razu skierowali kroki w stronę restauracji. Na parterze usy-

tuowano dwie duże sale rozdzielone bufetem. W zależności od zasobności portfela i ilości czasu goście mogli zasiąść po różnych stronach baru. Nie był to lokal najwyższej klasy, ale nie o wystrój tu chodziło. Mieszające się zapachy potraw potrafiły doprowadzić wygłodniałych klientów do szaleństwa. Sale nie pustoszały przez cały dzień.

Rajmund usiadł przy stoliku ustawionym pod ścianą, by mieć lepszy widok na salę, a Iwo skinął na młodą kelnerkę, która zdążyła postawić zupę na stoliku obok. Dziewczyna wyjęła niewielki notes i ołówek z kieszonki w białym fartuszk i z uwagą zanotowała zamówienie.

Po chwili wróciła i postawiła przed nimi ciemne piwo. Na zamówione gołąbki musieli chwilę zaczekać. W tym czasie do lokalu wchodzili i wychodzili zadowoleni klienci, którzy oprócz pełnych brzuchów wynosili coś jeszcze: poczucie, że robią coś na rzecz swej ojczyzny. Wtajemniczeni wiedzieli, że Franciszek Szmeter<sup>1</sup> łączył dwie działalności: tę oficjalną, jako restaurator, i tę ważniejszą, która miała bronić polskości rodaków żyjących w Wolnym Mieście Gdańsku<sup>2</sup>.

Iwo powiódł wzrokiem po zgromadzonej klienteli. Niektórzy siedzieli jak na szpilkach, oczekując na przyjazd pociągu. Mieli niewiele czasu, by coś zjeść, dlatego nie wybrzydali. Liczył się pełen brzuch. Niektórych stać było tylko na talerz suto okraszonej zupy podawanej z pajdą chleba.

Dochodziła piętnasta, gdy kelnerka ustawiła na stoliku dwa talerze z gołąbkami i wyjęła z kieszonki fartucha kilka kromek chleba, a następnie położyła je obok maleńkiego wazonu z gałązką kwitnącego głogu. Dziewczyna oddaliła się, pozostawiając gości w spokoju. Talerze długo nie czekały na opróżnienie. Choć nie wypadało ich wylizywać, Rajmund nie mógł się zgodzić na to, aby na dnie pozostała choć kropla smakowitego sosu pomidorowego, dlatego skórką od chleba umiejętnie wytarł talerz.

Kiedy kelnerka podeszła, by przyjąć pieniądze za posiłek, Rajmund z satysfakcją w głosie obwieścił:

– Za tydzień też tu przyjedziemy na gołąbki.

Dziewczyna okraśliła uśmiechem deklarację młodzieńca i skłoniła się w podziękowaniu za kilka fenigów pozostawionego jej napiwku.

Słońce wciąż pięknie świeciło, choć robiło się coraz chłodniej. Iwo włożył na głowę kaszkiet i spojrzął na zegarek, by się upewnić, że do odjazdu kolejki wąskotorowej do Sztutowa, którą wciąż jeszcze nazywali buraczaną<sup>3</sup>, pozostała im blisko godzina. Do przebycia mieli niewiele ponad dwa kilometry. Ruszyli więc ochoczo. Mijając kolorowe kamienice, dotarli nad brzeg Nowej Motławy.

Właśnie dochodzili do Zielonego Mostu, gdy dostrzegli zmierzającą z naprzeciwka grupę rozemocjonowanej niemieckiej młodzieży. Już na pierwszy rzut oka młodzi mężczyźni wyglądali na dobrze sytuowanych. Nosili białe koszule i czarne marynarki, a ich buty lśniły czystością. Krótkie włosy, idealnie zaczesane i utrwalone brylantyną mieniły się w blasku popołudniowego słońca. Gdy podeszli bliżej, Iwo dostrzegł, że do kołnierzyków koszul mieli przyczepione swastyki.

Spuścił wzrok i pociągnął Rajmunda za rękaw. Wiedział, że powinni poczekać, aż tamci zejdą z mostu. Choć nie pochodzili stąd, to zdążyli poznać zasady panujące w Wolnym Mieście Gdańsku.

Rajmund uczynił zaledwie krok, by zrobić miejsce tamtym. Iwo zamierzał odejść kilka metrów dalej i poczekać na wolne przejście. Odchodząc, spojrzął na przyjaciela, ten jednak ani drgnął. Stał na brzegu, lustrując schodzących z mostu Niemców. Choć rozmawiali po niemiecku, obydwoj rozumieli, o czym mówią. Musieli znać ten język, żeby móc się porozumiewać z pokonującymi granicę Niemcami, ale też ludnością niemiecką, która stanowiła blisko dziewięćdziesiąt procent mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska.

– Jesteśmy najlepsi, a inni mogą nam lizać podeszwy – tłumaczył idący na przodzie szczupły szatyn.

– Hitler zostanie legendą – zauważył inny. W pośpiechu wyprostował rękę i podniósł ją powyżej ramienia. – *Heil Hitler!* – krzyknął dumny z siebie.

– Wielki mały człowiek – podchwycił najniższy z nich i podskoczył, by wszyscy go dostrzegli.

– Ty masz jeszcze szansę urosnąć, ale umysłu Hitlera nigdy nie dogonisz – odparł najwyższy z idących. – Inni przywódcy powinni wziąć z niego przykład.

– Może w końcu czegoś by się nauczyli. – Kurdupel zaśmiał się, a w ślad za nim poszli kolejni.

– Mościcki może mu buty czyścić – dodał chudzielec z przodu.

Po tych słowach Iwo zerknął na przyjaciela. Poczzerwieniałe poliki zdradzały buzujące w nim emocje.

– Jakim prawem ośmieszasz naszego prezydenta?! – krzyknął Rajmund. – Takie chłystki jak wy nie dorastają do pięt ludziom z naszego rządu! – grzmiał po niemiecku, jakby nie dostrzegał, że naprzeciwko niego stoi ośmiu młodsów, w tym kilku rosłych, z hardymi minami.

– Spływaj, gruby! – podsumował chudzielec i z całej siły uderzył Rajmunda w ramię.

Ten zacisnął zęby i nie dał po sobie poznać, że odczuł cios, jednak w środku aż kipiał od złości.



– Munde, idziemy – wtrącił po polsku Iwo, wchodząc pomiędzy mężczyzn. – Wiesz, że nie warto strzepić języka. Oni wiedzą swoje i ich nie przegadasz. Spieszmy się na Danzig Kleinbahnhof<sup>4</sup>.

– Przepraszam, chamlu! – nakazał Rajmund, bacznie obserwując młodego Niemca.

– Chamlu? – prychnął napastnik. – Z chamluów to ty się wywodzisz. Tacy jak wy nie powinni chodzić po tej ziemi.

Iwo nie spuszczał wzroku z przyjaciela, którego twarz z każdą sekundą stawała się coraz bardziej czerwona. Na czole wykwitły krople potu, a oddech stał się głośny i szybki. Iwo położył dłoń na ramieniu Rajmunda i próbował przechwycić jego wzrok.

– Munde, musimy być mądrzejsi i nie dać się sprowokować. Mamy swoje zadania do wykonania – tłumaczył, ale przyjaciel obdarzył go spojrzeniem, które z każdą chwilą robiło się coraz bardziej harde.

Nagle Iwo poczuł silne uderzenie w sam środek pleców. Zaskoczony zachwiał się i wpadł wprost w ramiona Rajmunda. Mężczyzna zatoczył się, ale się nie przewrócił.

– Żyjesz, stary? – spytał matowym głosem, który Iwo usłyszał po raz pierwszy.

Chłopak skinął głową, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo Rajmund odsunął go i doskoczył do głośno śmiejącego się prowokatora. Celny cios w nos szybko pozbawił koszulę dryblasza idealnej bieli. Zaskoczeni przeciwnicy początkowo nie zareagowali. To ośmieliło Rajmunda, który ponowił atak, uderzając to w prawy, to znów w lewy policzek.

– Munde! Spadamy! – nawoływał Iwo.

Przyjaciel jednak działał jak w transie. Kolejne celne ciosy dodawały mu wiary we własne siły i umiejętności, których nauczył się już jako dzieciak, żyjąc wśród zgrai nastolatków zbierającej się na warszawskich ulicach.

Pierwszy szok stojących na moście obserwatorów minął i kolejne osoby dołączały do bójki. Dwóch znacznie niższych od Rajmunda Niemców poczęło wykręcać mu ręce. Dwaj następni kopali, gdzie popadło. Trzech innych okładało go pięściami po plecach i twarzy. Walka trwała w najlepsze, a rozjuszony Rajmund stawał twardy opór.

Iwo próbował odciągać napastników, ale to jeszcze bardziej ich rozwścieczyło. Nie zamierzał jednak porzucić przyjaciela w potrzebie. Uderzał to w jednego, to w drugiego, nie bacząc, gdzie celuje. To odwróciło ich uwagę od Rajmunda, który na nowo miał szansę zaatakować. Trzej skoncentrowali się na walce z Iwem.

Druzgocząca przewaga przeciwnika w końcu przyniosła rezultaty. Teraz już Niemcy kopali i okładali pięściami obydwu Polaków leżących na trawie porastającej brzeg rzeki. Nagle przestrzeń wokół opustoszała. Wprawdzie jakieś dziecko popłakiwało, widząc bójkę, ale dorośli woleli omijać to miejsce szerokim łukiem. Tylko jakaś starszuszka stojąca po drugiej stronie rzeki pokrzykiwała na Niemców, zagrzewając ich do zaprowadzenia porządku.

W pewnej chwili z drugiej strony mostu nadbiegło trzech postawnych mężczyzn.

– Spokój! Rozejść się! – wykrzykiwali z oddali.

Niemcy spojrzeli w stronę przybyłych. Teraz siły stały się znacznie bardziej wyrównane. Ośmiu młokosów przeciwko pięciu dorosłym mężczyznom.

– Zjeżdżamy! – zarządził Niemiec, który jako pierwszy rzucił się na pomoc swojemu przywódcy. – Nie mamy rady tym polskim psom.

Tymczasem Iwo i Rajmund, osłaniając głowy od razów, usiłowali wy dostać się z zacieśniającego się wokół nich pierścienia napastników. Rajmund nie cierpiał poczucia porażki, ale w tej sytuacji czuł, że to Iwo miał rację. Nie powinien wszczynać awantury. Gdyby ktoś powiadomił Schupo<sup>5</sup>, dostaliby za swoje w policyjnym areszcie.

Na czworaka poczęli się wycofywać. Napastnicy również opadli z sił, a nowo przybyli nie szczędzili ciosów i ochoczo zaczęli szarpać młokosów ze swastykami w kołnierzach. Niemcy jeden po drugim uciekali w stronę Śródmieścia.

Iwo stanął na chwiejnych nogach i pomógł wstać przyjacielowi. Spojrzał na swoją podartą marynarkę. Jasną koszulę zdobiły plamy krwi z rozciętego łuku brwiowego i napuchniętego nosa. Dopiero teraz zauważył, że zgubił kaszkiet. Później poklepał druha niedoli po ramieniu i otarł poranioną twarz chusteczką.

Rajmund zdążył zrobić to samo. Na jego twarzy pojawiło się kilkanaście zadrapań i rozcięć. Z wargi wciąż broczyła krew, a rozdarte rękawy marynarki i nogawice spodni szkaradnie sterczały na wszystkie strony.

Zataczając się, ruszyli wzdłuż brzegu, oddalając się od mostu. W pewnej chwili Iwo poczuł, że świat wokół niego zaczyna coraz szybciej wirować. Zamknął powieki i w tej samej chwili zemdleł. Upadając, przewrócił Rajmunda. Teraz leżeli razem, nieświadomi tego, co się z nimi stanie.

## Rozdział II



### Słodki zapach bzu

Słodki zapach bzu otulał niewielką kawiarenkę usytuowaną nieopodal Nowej Motławy. To tu serwowano najlepsze bezy i omlet z konfiturami. Niewielkie okrągłe stoliki nakryto białymi obrusami z wyhaftowanym motywem kwiatowym. Na każdym z nich stał porcelanowy wazon, do którego wetknięto gałązkę lilaka. Świeżo parzona kawa z mlekiem zachęcała klientów, by się rozgościli i zostali nieco dłużej.

Uwijające się jak w ukropie dwie kelnerki zgrabnie lawirowały wokół stolików, przyjmując nowe zamówienia.

– Nie potrafiłabym tak szybko biegać po sali i niczego nie upuścić – zauważyła Nela Witt siedząca przy stoliku ustawionym najbliżej okna.

– Kiedyś próbowałam ustawić na tacy dwie filiżanki, cukierniczkę i ciasto – wtrąciła Klara Fischer. Upiła lyk kawy. – Akurat Zosia urodziła synka i przez jakiś czas nie mieliśmy pokojówki, a do ojca przyszedł współpracownik z urzędu, więc nie chciał, żeby ktoś pomyślał, że nie stać nas na służbę.

– A fartuszek wdziałas? – zachichotała młoda Niemka.

– Jeszcze czego – obruszyła się przyjaciółka. – Nie zdążyłam nawet wyjść z kuchni, bo filiżanki mi się ześlizgnęły i wylądowały na podłodze. Ledwo ocalałam cukiernicę.

– Czyli Zosia ma zagwarantowaną posadę – zauważyła Nela, wciąż się uśmiechając. – Inaczej nie nadążycie z wymianą zastawy.

– Mama zagroziła jej, że jeśli urodzi kolejne dziecko, to pokaże jej drzwi i poszuka innej służącej.

Teraz już obydwie się śmiały. Od czasu do czasu przegryzały kawałek tortu orzechowego. Po tak emocjonującym dniu naprawdę zgłodniały i choć wiedziały, że młodym damom nie wypada się objadać, to żadna z nich nie miała problemu z utrzymaniem szczupłej sylwetki. Ich wiotkie, niespełna dwudziestoletnie ciała idealnie prezentowały się w sięgających połowy łydek zwiewnych sukienkach z podkreśloną talią i krótkimi, szerokimi rękawami. Nela sięgające ramion włosy w kolorze dojrziałych łąnów zbóż ułożyła w delikatne fale miękko otulające jej drobną twarz. Klara swoje gęste, rude, a przy tym niesforne włosy usidliła drobno tkaną siateczką.

Zaraz po obiedzie umówiły się z grupą przyjaciół na spotkanie w kinie Ufa-Palast, mieszczącym się w modernistycznym budynku, którego architektura niezmiennie fascynowała dwie młode Niemki, wychowane w Wolnym Mieście Gdańsku. Dwie olbrzymie sale kinowe mogły pomieścić ponad tysiąc widzów. Nowości filmowe przyciągały rzesze zwolenników kinematografii. W niedzielę można tu było spotkać wielu zacnych mieszkańców miasta, a pogawędki po seansie często przenosiły się do klubów, kawiarni i restauracji i ciągnęły się aż do późnych godzin nocnych.

– Wakacje już zaplanowane? – zagaiła Nela, zdejmując okruch tortu znaleziony na sukience.

– Tatko chce mnie posłać do dziadków do Rzeszy. Mówi, że za rzadko tam jeżdżę i nie wiem, co się dzieje w naszej ojczyźnie.

– Jak to nie wiesz? – Nela teatralnym gestem zasłoniła swoje wąskie usta i szeroko otworzyła bladobłękitne oczy. – Co z ciebie za patriotka?! Fe! – dodała.

Klara z niedowierzaniem patrzyła na twarz przyjaciółki.

– Ja na bieżąco analizuję cały repertuar kin i teatrów w Rzeszy, a ostatnio zaczęłam zwracać baczną uwagę na marlarzy – obwieściła i roześmiała się, odsłaniając zęby.

– A już myślałam, że naprawdę interesuje cię cała ta polityka i paplanina Hitlera.

– Tylko kiedy mówi o filmie albo o spektaklach. Jest wtedy taki męski...

Tym razem to Klara spoważniała i nachyliła się nad stolikiem.

– Nelo Witt, jesteś wariatką – oświadczyła, starając się zachować grobową minę.

– I za to mnie uwielbiasz – odparła przyjaciółka i się roześmiała.

Klara dołączyła do niej. Teraz obydwie chichotały jak opętane, co zwróciło uwagę siedzących wokół nich gości.

– Ciii. – Nela przycisnęła palec do ust i nieco zawstydzona powiodła wzrokiem po gościach kawiarni.

Byli to głównie młodzi ludzie, którzy potrzebowali odetchnąć od codzienności. W sali rozbrzmiewały śmiechy i rozmowy. Głównie słychać było język niemiecki. Polacy rzadko tutaj zagląдали. Trzymali się lokali należących do ich rodaków.

Klara w końcu się uspokoiła, więc upewniwszy się, że żaden kosmyk nie wysunął się spod siateczki, opróżniła swoją filiżankę.

– A wy gdzie spędzicie tegoroczne lato? – zagała Klara.

– Tato wysyła mnie i mamę do rodziny we Włoszech. Gościliśmy ich wiosną, więc teraz czas na rewizytę.

– Podobno Włosi są szalenie przystojni. – Klara zachichotała. – Może z jakimś się umówisz?

– Wolę Niemców.

– Zwłaszcza takiego jednego – podchwyciła Klara.

– Daj spokój! – Nela machnęła dłonią, jakby chciała odegnać natrętną muchę.

– Niejedna ci zazdrości takiego faceta...

– Wiem, i to mi się też w nim podoba – przyznała Nela, mrugnawszy porozumiewawczo.

– Przystojny, wykształcony i do tego majątny. Może będzie z tego coś więcej...?

– Może...

– A Wili nie ma jakiegoś przyjaciela prawnika? Też bym chętnie jakiegoś poznała.

– W zasadzie jest taki jeden... Wąsaty, z dużym brzuchem, tuż przed pięćdziesiątką. Może być?

– Egoistka!

Młode kobiety śmiały się serdecznie. Myśli każdej z nich poszybowały do mężczyzn, których spotkały w swoim życiu i którzy mieli dla nich jakieś znaczenie.

Klara kilka miesięcy wcześniej zerwała z narzeczonym, bo przyłapała go na tym, że miał zbyt zażyłe kontakty z pokojówką. Wciąż liżała rany po tamtym związku. Nela, wyczuwając gorszy nastrój przyjaciółki, powróciła do rozmowy o obejrzanym filmie. Aktorka grająca pierwszoplanową rolę zachwyciła ją swoimi umiejętnościami.

Będąc dzieckiem, marzyła o tym, by zagrać w filmie. Jej oczy błyszczały, gdy jako dziesięciolatka po raz pierwszy zasiadła na widowni i obejrzała film. Taper dawał z siebie wszystko, grając na pianinie. Mała Nela nie potrafiła oderwać wzroku od dużego ekranu, na którym pojawiały się kolejne obrazy z filmu *Kobieta na Księżycu*<sup>6</sup>. To był zupełnie nieznan jej świat, a jednak wcale się go nie obawiała. Zafascynowana ruchomymi obrazami ubłagała ojca, by pozwolił jej obejrzeć ten film raz jeszcze. Później wiele niedzielnych popołudni spędziła wraz z rodziną w różnych kinach, które wyrastały jak grzyby po deszczu. Ale kiedy podzieliła się swoimi marzeniami o aktorstwie z najbliższymi, ojciec szybko sprowadził ją na ziemię, twierdząc, że nie po to wychowuje córkę, aby ta robiła z siebie kogoś, kim nie jest w rzeczywistości. Na nic zdały się płacz i wzrok zbitego psa, którymi chciała wzruszyć twarde serce rodzica. A gdy długo chodziła struta, ojciec zabronił jej wyjść do kina. To ją najbardziej poruszyło. Nauczyła się nie okazywać za dużo emocji, zamykając swoją duszę dla innych. Na zewnątrz uśmiechała się, nie przywiązując wagi do tego, co się wokół dzieje. Szybko zrozumiała, że to najlepszy sposób, by powoli dochodzić do tego, co chciała osiągnąć.

– Koniecznie musisz zmienić garderobę. Ponoć we Włoszech są upalne lata, więc носи się jeszcze krótsze sukienki i bardziej odkryte kostiumy kąpielowe – pośpieszyła z radą Klara, by odegnać kłębiące się w jej głowie wspomnienia o narzeczonym.

– Klaro Fischer, czy ty myślisz, że moja matka zgodzi się na sukienkę odsłaniającą choćby fragment kolana? Albo na kostium na ramiączka?

– Inaczej wyjdiesz na prowincjonalną gęś.

– Z gęsi to ja mam tylko pierze w poduszkach i kołdrze.

– Tylko ich ze sobą nie zabieraj, bo we Włoszech się przegrzejesz – zażartowała Klara. Odłożyła widelczyk. – Wychoodzimy? – zapytała, odsuwając od siebie pusty talerzyk po cięcie.

Rachunek uregulowały już wcześniej, więc teraz minęły kilka stolików i wyszły na zewnątrz. Do zachodu słońca pozostało jeszcze kilka godzin, ale czuć było chłód majowego popołudnia. Narzuciły więc cienkie swetry na plecy i ruszyły wzdłuż brzegu rzeki.

Kobiety właśnie minęły wysoki dąb, który niczym strażnik górował nad Nową Motławą, obserwując to, co się dzieje na obydwu jej brzegach, gdy dostrzegły toczącą się tuż przy moście bójkę. Wśród czarnych marynarek mignęły im dwie jasne.

– Zaczekajmy chwilę. – Nela pociągnęła przyjaciółkę za rękę. – Lepiej nie pchać nosa w nie swoje sprawy.

Kobiety zatrzymały się i zrobiły kilka kroków w tył, by się ukryć za drzewem. Z tej odległości obserwowały awanturę. Już na pierwszy rzut oka wiedziały, kim są uczestnicy zamieszania.

– To pewnie jakieś polaczki, oni nigdy nie załapią, że to szcucie na nas źle się dla nich skończy – rzuciła Klara.

– Myślisz, że Polacy to zaczęli?

– Zawsze tak jest. Najpierw podjudzają, a potem lecą na skargę. Mój ojciec ciągle powtarza, że Polacy to marudy, którym zawsze coś przeszkadza.

Nela wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, kto zaczął, ale wiedziała, że wszyscy uczestnicy bitki krwawią i słaniają się na nogach.

Po chwili dostrzegły nadbiegających rosłych mężczyzn. Byli postawni i nosili czapki polskich kolejarzy. Bez zastanowienia dopadli do młokosów i zaczęli wymierzać im razy. Młodzi Niemcy poczęli czmychać na boki. Odziani w jasne garnitury, pokrwawieni mężczyźni się podnieśli. Kolejarze pokleпали ich po plecach i odeszli w swoją stronę.

Klara kiwnęła na Nelę i ruszyły w kierunku Zielonego Mostu, z daleka omijając człapiących w ich kierunku uczestników bójk. W pewnej chwili dostrzegły upadających na ziemię mężczyzn.

Nela, nie czekając na koleżankę, podbiegła i przyklekła na trawie. Szczuplejszy nie dawał znaku życia, dlatego zaczęła go cucić. Tymczasem ten lepiej zbudowany usiadł na trawie i schował twarz w dłoniach, jakby usiłował pojąć, co się wokół dzieje.

– Nela, idziemy! – zawołała Klara, pozostając w bezpiecznej odległości, w razie gdyby jednak postawny brunet pałał chęcią zrobienia im krzywdy. – Chodź do mnie.

– Nie mogę tak zostawić tego biedaka – odparła, nie odrywając wzroku od cuconego mężczyzny. – Zmocz swoją chusteczkę – poleciła Klarze, jednocześnie leżącemu wsuwając swoją torebkę pod głowę.

Klara, zaskoczona zdecydowaniem przyjaciółki, wyjęła z torebki białą batystową chusteczkę i ostrożnie zeszała z brzegu, by zanurzyć ją w wodzie. W końcu podała ją przyjaciółce i spojrzała na oszołomionego bruneta, który usiłował zatamować krwawienie z rozciętej wargi. Wołała trzymać się na dystans.

Tymczasem Nela wytarła krew z twarzy omdłego blondyna i położyła mu chłodny kompres na czole. Po chwili mężczyzna ostrożnie uchylił powieki. Światło dnia najwidoczniej go raziło, więc ponownie je przymknął. Przez moment leżał bez ruchu, co wzbudziło w Neli obawę, że znowu stracił przytomność, poczęła więc go cucić, znacznie mocniej uderzając to w jeden, to w drugi policzek. Dosłownie po kilku klapsach chłopak wytrzeszczył na nią oczy i spróbował usiąść. Ból głowy jednak szybko nakazał mu ponowne położenie się na trawie.

– Przepraszam pana – powiedziała po niemiecku Nela i skrzywiła się przepraszająco. – Myślałam, że znowu źle się pan poczuł. Nie chciałam zrobić panu krzywdy – tłumaczyła z przejęciem.

– My tak łatwo nie dajemy się skrzywdzić – wtrącił po polsku siedzący obok mężczyzna. – Widziała panienska, jak sobie poradziliśmy z tą hołotą?

– Z naszego punktu widzenia wyglądało to trochę inaczej – zauważyła Klara po niemiecku.

– Wszystko w porządku? – dopytywała Nela w ojczystym języku, nie spuszczać oczu ze swojego pacjenta. – Nie wygląda pan najlepiej.

– Nic mi nie będzie – odparł po niemiecku, próbując stanąć na nogach.

– Proszę jeszcze chwilę poleżeć, bo może się to skończyć nieszczęściem.

– Licho złego nie bierze – wtrącił siedzący obok brunet.

– Kiedyś ta passa może się skończyć – sarknęła Klara.

– Proszę patrzeć na mój palec i nie odrywać od niego wzroku – poleciła Nela. Najpierw powoli przesunęła palec wskazujący w prawo, a później w lewo. Na koniec podniosła go nieco, po czym opuściła. – Wygląda na to, że nie jest tak źle, jak zakładałam, ale i tak radzę pójść do jakiegoś lekarza, albo chociaż felczera, żeby sprawdził, czy wszystkie kości są całe.

– Do wesela się zagoi. – Brunet poklepał kompana po plecach, aż tamten się zakrztusił i począł głośno kaszleć. – Panienska tak radzi, jakby widziała niejednego takiego pacjenta.

– Aż tylu ich nie było – oświadczyła. – Ale coś tam wiem.

– Szkoda, żeby takie dłonie się marnowały – zauważył blondyn. – Na pewno wielu pacjentów byłoby zadowolonych z takiej opieki.

– Może kiedyś będę miała okazję sprawdzić swoje umiejętności.

Brunet uśmiechnął się, po czym podniósł się i pomógł wstać koledze. Obydwaj otrzepali podarte ubrania, ale nie poprawiło to zanadto ich aparycji.

– Dziękujemy za pomoc – odezwał się szczuplejszy. Skłonił się i pocałował dłoń swej opiekunki. – Do zobaczenia.

– Oby w innych okolicznościach – zauważyła, odwzajemniwszy uśmiech. – I przypominam o odpoczynku. – Pogroziła palcem.

Postawniejszy mężczyzna również ucałował jej dłoń i machnął na pożegnanie do pozostającej kilka kroków dalej Klary.

Mężczyźni zawrócili i pocałowali w stronę mostu.

– Gdyby ojciec cię zobaczył... – zaczęła Klara.

– Ale nie zobaczył, a ja nie mogłam stać bezczynnie – weszła jej w słowo Nela. – Przecież oni są ludźmi. Nie ma znaczenia, że to Polacy.

– Głupstwa pleciesz!

– Wiem, wiem... Oni chcą nam odebrać ojczyznę i nie możemy im ufać. Znam to wszystko aż za dobrze, ale gdy widzę, że ktoś cierpi, to nie potrafię odmówić mu pomocy.

– Czy ci mówiłam już, że jesteś naiwna?

– Klarciu, wolę określenie „wrażliwa”. – Spróbowała się uśmiechnąć do przyjaciółki.

## Rozdział III



### Inność

– Nieźle się zabawiliście – oświadczył z przekąsem korpulentny mężczyzna w jasnej koszuli, stawiając na stole dużą patelnię z jajecznicą usmażoną na skwarkach z boczku.

– To oni na nas wleźli i nie chcieli odpuścić – wyjaśnił Rajmund. – Co było robić? – Wzruszył ramionami i sięgnął po pajdę chleba leżącego na drewnianej desce obok patelni.

– Mieliście na siebie uważać, tak? – Zwierzchnik spojrzał na niego wyczekująco.

Rajmund mlasnął pod nosem i spuścił wzrok.

– Kierowniku, my naprawdę pilnowaliśmy swojego nosa, ale oni nas sprowokowali – wyjaśnił Iwo.

Andrzej Kucharski ciężko opadł na krzesło i głośno westchnął. Czuł się jak ojciec tych chłopaków. Strzegł ich jak oka w głowie. Doskonale wiedział, w jak trudnych warunkach przyszło im żyć. Nie mógł więc pozwolić na utratę kolejnych pracowników. W ubiegłym roku ze służby odeszło trzech świetnych celników. To dlatego przez kilka miesięcy niemal każdego dnia musieli pracować po dwanaście godzin, by jakoś załatać dziury i nie dać niemieckiej ludności podstaw do tego, by wszczęła kolejną awanturę, oskarżając Polaków o sabotowanie ruchu pomiędzy Prusami Wschodnimi i Rzeszą.

Wszak w głębi kraju wciąż poszukiwano osób chętnych do pracy, ale cóż z tego? Jak ochoczo kandydaci przyjeżdżali, tak w podskokach uciekali z Wybrzeża. Nawet dobre zarobki dla wielu nie okazały się skutecznym wabikiem. Woleli wieść spokojne życie w biedzie.

– Wiecie, że nie mogę dać wam wolnego? – upewnił się Kucharski, nakładając drewnianą chochlą dużą porcję jajecznicy na chleb.

– Siniaki się zagoją i bez tego. – Rajmund zaśmiał się i wepchnął do ust chleb z rozsmarowaną na nim jajecznicą.

– Słusznie, ale uważajcie na siebie i nie włączcie tym czortom w ślipia – ostrzegł zwierzchnik, a potem zajął się jedzeniem.

Brakowało tylko szczyptorku do posypania jajecznicy, ale żaden z nich nie zamierzał marudzić, wiedząc, jak ciężko na przednówku zdobyć jedzenie.

– Umówiłem się z Goryniakową, że podejdziecie dzisiaj do niej – odezwał się Kucharski, gdy przełknął ostatni kęs śniadania. – Ma coś dla nas przyszykować.

– Się robi, kierowniku – przytaknął Rajmund, salutując.

– Tylko znowu nie napytajcie sobie biedy. Aż strach was spuścić z oczu – dorzucił, wstając od stołu i wciskając czapkę na głowę. – Lecę do roboty, a wy się szykujcie na nocną wartę.

Młodzi mężczyźni pokiwali głowami i zabrali się za sprzątanie naczyń ze stołu. Rajmund wlał do emaliowanej miednicy wody zagrzanej w czajniku i włożył do niej brudne naczynia. Nie zdążyły zaschnąć, więc szybko odmiękły i łatwo mógł je umyć. Iwo zgarnął okruchy ze stołu i wrzucił je do spodeczka na oknie. Od czasu do czasu zaglądał do ich domu kot. Wtedy wyjadał wszystkie pozostawione dla niego kąski.

– Wezmę rower i możemy lecieć – powiedział Rajmund.

Iwo złożył worek i wrzucił go do koszyka, który zamierzał ze sobą zabrać. Chwilę później zamknęły drzwi na klucz i wyszli. Na początku, gdy się tu przeprowadzili, nie przekreślali klucza w zamku, ale gdy pojawiły się pierwsze najeścia w wynajmowanym domu, musieli pomyśleć o swoim bezpieczeństwie.

Gdy tylko wyszli za furtkę, skręcili w przeciwną stronę od morza. Na skraju wsi mieszkała zaprzyjaźniona gospodyni, która wbrew naciskom otoczenia karmiła celników, sprzedając im produkty pierwszej potrzeby. Uważała, że powinna wspierać rodaków tak ciężko pracujących na rzecz ojczyzny, więc dzieliła się z nimi tym, co wyhodowała na polu i w ogrodzie. Nie zamierzała się jednak z tym afiszować przed sąsiadami, dlatego nalegała, żeby celnicy

przychodzili wcześniej rano, gdy większość gospodarzy wyszła w pole, a matki zajęte są opieką nad potomstwem. Noce nie były bezpieczne, więc żadne z nich nie chciało kusić losu.

– Myślisz, że gdyby nie te dwie Niemki, to wylądowalibyśmy w szpitalu? – zaczął Iwo.

– A co one takiego zrobiły? – spytał Rajmund, prowadząc rower. – Wytarły ci czoło chusteczką. Też mi pomoc...

– Ta jedna bardzo się przejęła... A ja naprawdę fatalnie się czułem...

– I myślisz, że jej opiekuńcze westchnienia i oklepywanie twoich chuderlawych policzków postawiły cię na nogi? – Zachichotał.

– Nie, ale... ona naprawdę wyglądała na zmartwioną.

– Taaa, jak każda Niemka, za którą stoi mąż lub tatuś nazista.

Iwo głośno westchnął. Rajmund miał wyrobiony pogląd na relacje polsko-niemieckie i nic nie mogło ich zmienić. Zachowanie tamtej dziewczyny bardzo go zaskoczyło. Od razu pośpieszyła z pomocą, choć jej koleżanka nie chciała się nimi zająć.

Raz jeszcze westchnął i przyspieszył kroku, bo Rajmund wyraźnie go wyprzedził.

Gdy doszli do gospodarstwa Goryniaków, pies zjadłym szczekaniem obwieścił nadejście klientów. Goryniakowa wyrzała z obory i machnęła na przybyłych. Oni jednak wiedzieli, że nie mają prawa wejść na podwórkę, dopóki pies po nim biega. Kobieta gwizdnęła, a ogromny wilczur natychmiast do niej podbiegł i zaczął się łaścić do jej nóg. Poklepała go i podprowadziła do budy. Tam założyła mu obrozę na szyję i podeszła do gości.

– Oj, chłopoki, chłopoki, takieśta wielkie, a psiny się boita – zaczęła gderać jak zwykle. – Chodźta do obory, bo mleko przelewam, to i dla was w bańkę nalapię.

Zaczekali przy wejściu, aż kobieta przeleje mleko. Robiła to umiejętnie, dlatego żadna kropla nie spadła na ziemię. Za każdym razem kładła na mniejszych bańkach białą szmatkę, przez którą nalewała mleko. Chwilę to trwało, aż wreszcie podała im kilka baniek. Doskonale wiedzieli, czego od nich oczekuje. Mleko należało schłodzić, a oni, gdy tylko mogli, z chęcią pomagali Goryniakowej. Podeszli do studni i włożyli bańki do cembryzka, który opuścili w dół, używając starego żurawia. Później Iwo wziął jedyną pozostawioną bańkę i postawił ją przy rowerze. W tym czasie Rajmund już szedł z Goryniakową do piwnicy.

Kobieta poprawiła zawiązaną pod szyją chustkę i wsunęła pod nią siwiejące włosy. Później otrzepała kolorowy fartuch przewiązany na sięgającej kostek spódnicy. Do niej ta zwariowana moda na krótkie sukienki nie przemawiała. Przy pracy w gospodarstwie musiała czuć się swobodnie.

– Kartofli już tylko ociupina została – wyjaśniła, pokazując na obrośnięte kłami ziemniaki leżące w rogu zimnej, wypełnionej stęchlizną piwnicy. – Tylko pół worka mogę wam dać.

– Dobre i tyle. Niedługo po młode przyjdziemy – stwierdził Rajmund, wrzucając ziemniaki do przyniesionego ze sobą worka.

Kiedy wyszli z piwnicy, babina powiedziała:

– Tera jeszcze chodźta do stodoły. Widzita, że mało już tego wszystkiego, ale co mam, to dam – obiecała, drepzcząc po podwórku.

Gdy weszli do środka, w nozdrzach poczuli drażniący kurz młóconego zboża. Mąż i syn Goryniakowej nawet na moment nie przerwali pracy. Kobieta podeszła do ustawionych pod drewnianą ścianą kilku worków. Odwiązała jeden z nich i metalową kwartą nabrała mąki, którą przesypała do niewielkiego lnianego woreczka. Później jeszcze kilka razy odmierzyła miarką mąkę, aż napelniła worek do połowy.

– A kaszy też chceta?

Zgodnie pokiwali głowami.

Kiedy więc kobieta rozwiązała tasiekę z innego worka, Iwo wziął woreczek z mąką i wyniósł go, by ustawić przy rowerze, wówczas jego wzrok spoczął na niewielkiej postaci kulącej się na ganku drewnianej chaty. Dziecko przykucnęło, bojaźliwym wzrokiem obserwując zmierzającego w jej kierunku mężczyznę. Iwo spostrzegł ów strach, więc zatrzymał się i uśmiechnął. Dziecko wpełchnęło paluszki jednej dłoni do ust i nawet nie drgnęło. Jego potargane, zbyt długie włosy zasłaniały znaczną część twarzy. Długa koszula sięgała kolan. Iwo dostrzegł powykrywane ręce i nogi. Spróbował podejść bliżej, ale dziecko poczęło się cofać w stronę domu. Żeby się upewnić, że nic nie znajduje się za jego plecami, na moment odwróciło głowę. Włosy poruszyły się, odsłaniając twarz. Iwo podeszedł jeszcze bliżej, a wtedy dostrzegł, że oblicze dziecka w ogóle do niego nie pasuje.

– Boguś, gdzie ty wylazisz? – Iwo usłyszał synową Goryniakowej, która wyrzała na ganek; kiedy go zobaczyła, chwyciła dziecko w ramiona i wniosła do domu.

Iwo stał jak zakłęty. Wiedział, że Goryniakowie mają wnuki, ale dopiero teraz sobie uświadomił, że nigdy ich nie widział biegających po podwórku. Dzieci wiejskie nie nawykły do siedzenia w domu, więc założył, że pewnie bawią

się na pobliskich łąkach albo wypasają gęsi czy krowy.

– Tak nas pan Bóg doświadczył. – Głos Goryniakowej sprawił, że Iwo aż podskoczył. – Dwóch ich mamy, obaj choczy.

– Nie mieliśmy pojęcia – przyznał Iwo, z przejęciem patrząc na kobietę.

– Tym się akurat nie chwalamy – przyznała, wycierając ręce o fartuch przewiązany na schodzonej sukience. – Grzeczne są jak aniołki. Tylko czasem chcą wyleźć do ludzi... – Rogiem fartucha otarła łzę, która spływała po jej policzku. – Już zawsze będą wielkości dzieci... A ludzie tego nie rozumieją. Raz jakeśmy z nimi poszli do kościoła, to wszyscy paluchami nas wytykali. Dzieciarnia śmiała się w głos. A nasze aniołki się rozplakały. Więcej żeśmy tam ich nie zabrali.

Iwo pomacał kieszeń. Pamiętał, że gdy był w Gdańsku, kupił tabliczkę czekolady. Połowę zjedli z Rajmundem, z nim dotarli do domu, ale drugą wciąż miał ze sobą. Wyjął słodycz zawinięty w papierek i podał go kobiecie.

– To dla dzieciaków – powiedział. – Mam nadzieję, że lubią.

– Nigdy takiej nie jadły. Nie stać nas na takie frykasy.

– Jeśli im zasmakuje, to następnym razem przyniesiemy im więcej.

– Nich wam się szczęści! – Goryniakowa w powietrzu uczyniła znak krzyża. – Tylko nie mówta o tym nikomu. My tu na odludziu żyjewa i nie chcemy się pchać na ludzkie języki.

– Milczymy jak grób – zaręczył Iwo i odruchowo uściskał kobietę.

Rajmund przygryzł dolną wargę. Nie wiedział, co ze sobą począć. Kiedyś, gdy był dzieckiem, na jego ulicy mieszkał karzeł. Wszyscy się z niego wyśmiewali, dopóki nie przyprowadził ze sobą roślego osiłka. Ten tylko spojrzał na dotychczasowych złośliwców, a ci położyli uszy po sobie i czmychnęli do domów. Rajmund też wtedy uciekł, ale nigdy więcej nie naigrywał się z chłopaka. Teraz patrzył na całą tę sprawę zupełnie inaczej. Czasu jednak cofnąć nie mógł.

Iwo odsunął się od kobiety i nieznacznie się do niej uśmiechnął.

– Dziękujemy za jedzenie. Mam nadzieję, że tyle wystarczy. – Podał kobiecie kilka papierowych banknotów.

– To aż nadto.

– Dobrze jest, pani Goryniakowa. Ratuje nam pani życie, bo inni tylko psami nas szczują.

– A przychodzi tak długo, jak mata potrzebę. My będziemy was wspierać, bo wy dobre chłopcy i o Polskę dbacie, żeby te lotry jej nie rozniosły! – Mocno zacisnęła dłoń i podniosła ją z groźbą.

Rajmund podniósł woreczek kaszy i zaczął go przytwierdzać do roweru. Na bagażniku ułożył worek z ziemniakami, a przez ramę przewiesił woreczki z mąką i kaszą jęczmienną. Iwo chwycił bańkę z mlekiem, ale Rajmund odebrał mu ją i zawiesił na kierowniku. Teraz już mogli wracać do domu. Iwo wziął pusty koszyk i podszedł do furtki z wierzbowych witek, by ją otworzyć.

– Jeszcze mam trochę miodu i dżemu! – zawołała gospodyni, w pośpiechu wracając do piwnicy.

Rajmund wyszedł za furtkę i zaczekał na Iwa, który właśnie dźwigał kosz wypełniony specjałami Goryniakowej.

– Z Bogiem – powiedziała na pożegnanie.

Obydwaj uklonili się kobiecie i ruszyli w drogę powrotną. Mijając gęstniejące zabudowania, spoglądali na siebie za każdym razem, gdy słyszeli dziecięce głosy. Bose dzieci śmiały się, biegając po podwórku i drodze. Nikt ich nie chował w domu. Nikt im nie zabraniał zabaw z rówieśnikami. Nikt nie śmiał się na ich widok.



## Rozdział IV



### Na scenie i w życiu

W ostatnim tygodniu maja drzewa i kwiaty wabiły wzrok kolorami. Padający wieczorami deszcz obmywał z kurzu liście, które rankiem mieniły się różnymi odcieniami zieleni. Kwiaty zwracały swe główki w stronę słońca, jakby obawiając się tego, że może o nich zapomnieć, a przecież potrzebowały go do życia.

Nela stała wpatrzona w kandydata na narzeczonego, który czekał w kolejce, żeby oddać parasol szatniarzowi. Choć po południu nie zdążyło się rozpaść, Wilhelm wołał być przygotowany na taką ewentualność.

– Nelia, przecież on ci nie zginie – zażartowała stojąca tuż obok niej Klara.

Dziewczyna roześmiała się i pogroziła przyjaciółce palcem. Może rzeczywiście nie potrafiła ukryć swoich uczuć, o których już niebawem dowiedzą się wszyscy.

– Daj spokój zakochanej parze – dołączył do uszczypliwości Frank, który tego wieczoru zdecydował się im towarzyszyć. I choć to nie była podwójna randka, to chłopak starał się zatroszczyć o Klarę, którą znał od dawna.

– Uszanowanie dla państwa – usłyszeli za swoimi plecami, więc jak na komendę wszyscy troje się odwrócili.

Starszy mężczyzna i jego żona uśmiechnęli się i lekko skłonili. Młodzież natychmiast zrobiła to samo.

– Proszę pozdrowić szanownych rodziców – powiedział mężczyzna, a jego żona skwapliwie pokiwała głową. – Od dawna nie widziałem senatora w teatrze.

– Ostatnio tatko ma coraz mniej czasu na rozrywki i spotkania towarzyskie – odparła Nela, poprawiając zsuwającą się z jej ramion etolę z futra białego lisa, która doskonale kontrastowała z czerwienią długiej wąskiej sukni, mocno rozszerzającej się poniżej kolan.

– Zapracowany człowiek, ale gdyby nie tacy jak on, to miasto ległoby w gruzach – zauważył mężczyzna, a jego małżonka znów ochoczo kiwnęła głową. – Pan senator myśli o nas, ale przede wszystkim działa, i za to należy mu się pomnik obok Neptuna, a może nawet zamiast niego.

Kobieta niczym pacynka zaczęła podrygiwać na znak poparcia męża.

– Przekażemy – zapewnił Frank, szukając wzrokiem Wilhelma.

Nudziły go takie rozmowy. Rozumiał, że ojciec zasłużył sobie na te wszystkie pochwały, ale on też bardzo się starał dobrze służyć partii i wykonywać zalecenia Hitlera. Na razie nie był jeszcze tak wpływowym jak ojciec, ale krok po kroku piął się coraz wyżej. Zaczynał od szeregowego członka partii, ale udział w kilku burdach z polskimi pocztowcami czy celnikami, odpowiednio nagłośniony na spotkaniach partii, już przyniósł efekty. Postrzegano go jako osobę, która nie boi się otwartej konfrontacji. A z racji tego, że pracował w gazecie jako księgowy, miał sporo znajomości. Dzięki temu był też cennym nabytkiem dla partii. Marzył o funkcji sekretarza. Mógłby wtedy dać upust swoim myślom, pisząc artykuły do gazet jako przedstawiciel partii.

– Idziemy? – zapytał Wilhelm, który właśnie podszedł.

Nela uśmiechnęła się i pożegnała ze znajomymi, po czym wszyscy ruszyli w stronę sali widowiskowej Teatru Państwowego; odkąd stał się on własnością Senatu Wolnego Miasta Gdańska, doczekał się przebudowy. Z przestronnego foyer udali się na górę, do loży wykupionej przez Andersa Witta. Stąd zwykli oglądać wodewile, ale też znacznie poważniejszy repertuar. Dzisiaj mieli spędzić wieczór, podziwiając spektakl oparty na motywach dramatu Friedricha Schillera *Intryga i miłość*.

Klara i Nela usiadły w loży na wyścielanych aksamitem fotelach. Mężczyźni pochłonięci w tym czasie rozmową nie zwracali uwagi na kobiety. Właśnie omawiali ostatnie spotkanie działaczy partyjnych, gdy usłyszeli dzwonek wzywający widzów do zajmowania miejsc na widowni. Tłum wlewał się przez duże drzwi. Patrzyli na ten widok z góry, czując ulgę, że nie muszą się przeciskać. Wilhelm zajął miejsce przy Neli, a Frank usiadł obok niego. Dziewczyna liczyła na to, że brat się zreflektuje i zechce towarzyszyć Klarze w czasie spektaklu. Przyjaciółka nigdy by się do tego nie przyznała, ale lubiła towarzystwo Franka. Ten jednak wciąż traktował ją jak trzpiotkę. Na prośbę siostry

mógł z nią potańczyć, a nawet zabrać ją do teatru czy do kina, ale nie wykazywał większego zainteresowania dziewczyną, która od ubiegłego roku pozostawała samotna. Owszem, kręciło się wokół niej kilku kandydatów na narzeczonych, ale ona bała się nowego związku. W towarzystwie Franka czuła się bezpieczna i póki co to jej wystarczyło.

Po dwóch kolejnych dzwoneczkach światła przygasły i na scenę wyszli aktorzy.

Nela chłonęła atmosferę. Teatr był szczególnie miejscem pracy artystycznej. Tu nie było możliwości niczego potworzyć. To ją zachwycało. Za każdym razem wzdychała na samą myśl, że mogłaby znaleźć się na takiej scenie. Owszem, uwielbiała patrzeć na okazałą scenografię i powłóczyście stroje aktorów, ale to był jedynie dodatek, który miał ubarwić przedstawienie. Dla niej liczyły się emocje, które unosiły się nad sceną. W lot je wyczuwała. Rozkoszowała się nimi. Często oglądała to samo widowisko kilka razy, by nie uronić żadnego gestu czy słowa. Tym razem nie mogło być inaczej. I choć to premierowe przedstawienie, Nela nie miała wątpliwości, że z chęcią obejrzy je ponownie, bo kilka scen zrobiło na niej olbrzymie wrażenie, a aktorzy po mistrzowsku malowali głosem i gestem towarzyszące im uczucia.

Gromkie oklaski obwieściły zakończenie spektaklu. Nela podniosła się i długo nie przestawała bić braw. Aktorzy kolejny raz wychodzili, by się pokłonić publiczności. Wreszcie kurtyna zasłoniła scenę, a widzowie skierowali się do wyjścia. Wilhelm podał Neli ramię i poszli do szatni, by odebrać parasol. Tuż za nimi zmierzali Klara i Frank.

Tłum począł zalewać chodnik przed teatrem. Wieczór pachniał kwiatami jaśminu i czarnego bzu.

Nela okryła się etolą.

– Kochanie, nie jest ci zimno? – zapytał Wilhelm.

– Cierp ciało, coś chciało – rzucił Frank, pamiętając, że przypominał siostrze, aby zabrała ze sobą coś cieplejszego do założenia na siebie po wyjściu z teatru.

– Jest dobrze – odparła i wymownie spojrzała na brata, który wcale nie wyglądał na przekonanego.

– Możemy wrócić do domu dorożką – zaproponował Wilhelm.

– Po tej dawce emocji spacer jest bardzo wskazany – wtrącił Frank, spoglądając z ukosa na siostrę.

– Dokładnie to samo pomyślałam – skłamała Nela, by nie wyjść na marudę.

– To chociaż okryj się swoją marynarką – nalegał Wilhelm.

– Nie daj się dłużej prosić džentelmenowi – wtrąciła Klara nieco rozdrażniona tym nadszkakiwaniem mężczyzny.

Niemal natychmiast Wilhelm zdjął marynarkę i narzucił ją na ramiona dziewczyny. Ta wyjęła na wierzch etolę i w tak dziwnym okryciu zmierzała w stronę domu Wittów.

Właśnie dochodzili do skrzyżowania, gdy wzrok Neli przyciągnęło okno wystawowe odbijające światło z pobliskiej latarni. Pamiętała ten sklep. Kilka razy nawet w nim coś kupiła. Nie zabrałaby do niego, gdyby akurat szła z matką, ale kiedy spacerowała sama lub z Klarą, z ciekawości zaglądała w takie miejsca. Sklepiarz był starym kupcem. Importowane przyprawy niezbędne w każdej cenionej kuchni, aromatyzowana kawa i herbata z różnymi dodatkami zapewniły mu stałą klientelę. W skromne progi sklepu zaglądały polskie gospoście dogadzające niemieckim podniebieniom.

Ale sława bywa też zgubna. Któraś z niemieckich pań domu zaczęła wypytywać, skąd takie zmiany w kuchni. Ktoś powiedział o przyprawach. Ktoś inny dodał, skąd pochodzą. Ktoś mądry zwierzył interes i niedaleko otworzył drugi sklep z podobnym asortymentem. I choć przyprawy nie były tak aromatyczne, a kawa tak dobrze palona, to niemieckie nazwisko właściciela wypisane na szyldzie oraz powiewająca nad sklepem czerwona flaga ze znakiem swastyki wystarczyły za drogowy znak.

– Dlaczego tutaj stoją bawole rogi? – spytała, nie odrywając wzroku od wystawy. – A tam tarcze i oszcypy? To teraz można tutaj kupić?

– Może polaczek się przebranzowił? – zauważył Frank.

– I sprzedaje portrety Wissmanna i Petersa? – nie dowierzała.

– To tylko wystawa.

– Wystawa czego? – Nela przeniosła wzrok na drzwi, na których na wywieszonej tabliczce napisano, że lokal jest do wynajęcia.

– To trofea z zamorskich kolonii Rzeszy. My też powinniśmy takie mieć – wyjaśnił Wilhelm.

– Kolonie? – Zmrużyła oczy, nie rozumiejąc, w czym rzecz.

– A według ciebie w czym jesteśmy gorsi od Niemców z Rzeszy?

– Na pewno w niczym nie jesteśmy gorsi, ale do czego nam są potrzebne kolonie? Przecież jesteśmy Niemcami. To też nasze kolonie.

– Nie rozumiesz polityki – powiedział dość ostro, czym ją zaskoczył. Nie lubiła takiego tonu. Najwidoczniej jednak zreflektował się, dlatego złagodził wyraz twarzy i rozchylił usta w uśmiechu. – Kochanie, twoja piękna główka

nie powinna zajmować się takimi głupstwami. To my jesteśmy od tego, żeby dbać o to miasto i walczyć o jego rozwój.

Nela nie mogła pojąć, dlaczego stan posiadania jest tak ważny i dlaczego manierą większości Niemców żyjących na Pomorzu jest chęć przejęcia wszystkiego, co należy do Polaków. Jakby chcieli zatrzeć ich ślady istnienia na tym terenie.

– Chodźmy już – odezwał się Frank.

W ciszy ruszyli za nim. Wilhelm poprawił marynarkę na ramionach przyszłej narzeczonej i poszli dalej. Frank szybko wrócił do tematu spotkania partyjnego. Wilhelm dzielił się z nim spostrzeżeniami. Ich towarzyszki milczały.

Kilkanaście metrów przed nimi zaparkowało czarne auto ze złożonym dachem. Wsiadły z niego cztery osoby i zaczęły głośno rozmawiać, śmiejąc się przy tym w głos. Wilhelm podniósł rękę i pomachał do nich.

– To Eryk i Hans – powiedział. – Znamy się ze studiów. Nie wiedziałem, że przyjechali do Gdańska.

Turyści przypatrywali im się i w chwili, w której rozpoznali przyjaciela z dawnych lat, podbiegli w ich stronę. Gdy dopadli Wilhelma, koleżeńskim szturchańcom i śmiechom nie było końca. Pozostali obserwowali to spotkanie z wycekiwaniem.

– Kopę lat! – Wilhelm poklepał towarzyszy po plecach. – Co tutaj was przywiało?

– Właśnie zwiedzamy lokale w mieście, żeby wybrać ten najlepszy.

– A który to już dzisiaj? – wtrącił Frank.

– Przepraszam! Tak się zagadałem, że zapomniałem wam przedstawić moich przyjaciół i przyszłą narzeczoną! – zawołał Wilhelm, po czym dokonał prezentacji.

Mężczyźni ucałowali dłonie kobiet i uścisnęli dłoń Franka. W tym czasie dołączyły do nich ich partnerki, które, jak się okazało, pochodziły z Gdańska i od kilku dni towarzyszyły im w zwiedzaniu okolicznych restauracji.

– Zapraszamy na kolację – odezwał się Eryk, pokazując na lokal, przed którym zaparkowali samochód.

– To ja was zapraszam – powiedział Wilhelm. – W końcu jesteście tutaj gośćmi.

Roześmiana grupa weszła do restauracji. Duszący dym papierosowy zatańczył nad głowami nowo przybyłych, otulając ich swoim zapachem. Ober, widząc tak liczną grupę, natychmiast do nich doskoczył i skinął na kelnera, by pomógł mu złączyć dwa stoliki. Już po chwili skrętnie zapisywał zamówienie. Goście wyglądali na takich, co co nie liczą się z groszem.

Kelner uwijał się jak w ukropie, stawiając na stole kolejne dania i dbając o to, by w kieliszkach nie było pusto.

– Nie powiedzieliście jeszcze, dlaczego tutaj przyjechaliście – zagadnęła Nela, gdy już wszyscy się posilili, a pierwsze lody zostały przełamane.

– Właściwie chcieliśmy poznać miasto, które nam zabrano, a które budowli nasi dziadowie.

Nela nieraz słyszała to stwierdzenie, choć wszyscy doskonale wiedzieli, że w rozwój miasta olbrzymi wkład wnieśli też Polacy. Żadnemu z nich ta prawda nie przeszłaby przez gardło.

– To miasto powinno do nas powrócić – podchwycił Eryk, łapiąc za kieliszek.

– Popieram w całej rozciągłości. – Frank też podniósł szkło.

Reszta szybko dołączyła.

– Za utraconą wolność! Za naszą wolność! – krzyczeli, nie zwracając uwagi na innych gości w lokalu.

– Potrzeba zmian... Musicie działać na rzecz tego miasta i jego mieszkańców – zauważył nad wyraz trzeźwo Hans.

– Na rzecz Rzeszy! – dodał Eryk, przegryzłszy dopiero co wypity kieliszek wódki jajkiem z majonezem.

– Może z waszego punktu widzenia nic nie robimy w tej sprawie, ale wierz mi, że codziennie każdy prawy Niemiec podejmuje trud borykania się z polską tłuszcą, która chce nas opleść kagańcem i wyrwać nam nasze serca – obruszył się Wilhelm.

Przez chwilę panowała krępująca cisza. Wszyscy wpatrzeni w stojące przed nimi talerze rozgniatali widelcami resztki.

– Może coś jeszcze państwu podać? – Chwilę ciszy wykorzystał kelner.

– Jeszcze półmiskę cynaderek cielących z rusztu, butelkę ginu i po kieliszku likieru wiśniowego dla pań – oznajmił Wilhelm.

Gdy na stole pojawiły się zamówione trunki, Frank wzniósł toast.

– Za zgodę i jedność wszystkich Germanów! *Heil Hitler!*

Zebrani przy stole zawtórowali mu, a w ślad za nimi do toastu dołączyli inni goście siedzący przy pozostałych stolikach. Na sali zawrzało i z kilkudziesięciu gadał wyrwał się gromki okrzyk chwalący Hitlera.

Po chwili goście wrócili do przerwanych rozmów i przy stoliku Neli również zapanowała przyjaźniejsza atmosfera.

– A może powinniście zorganizować plebiscyt? – zauważył Hans, oburącz uderzając o uda, jakby właśnie odkrył coś, o czym nikt wcześniej nie pomyślał.

– Chcieliśmy – przyznał Wilhelm.

– Nie dalej jak w minionym tygodniu miało się odbyć głosowanie nad przyłączeniem do Rzeszy<sup>8</sup> – dodał Frank.

– I co stanęło na drodze? – zapytał Eryk.

– Rząd Polski – wyjaśnił Wilhelm. – Odrzucili nasz pomysł, bo dokładnie wiedzieli, że to najprostsza droga do ucieczki spod ich drapieżnych szponów.

– Stchórzyli – wtrącił Frank, waląc pięściami w stół.

Talerze i kieliszki zaczęły podskakiwać w rytm uderzeń. Alkohol rozlewał się po białym obrusie. Nela chwyciła dłoń brata i spojrzła na niego. Nie miała wątpliwości, że powinni wracać do domu. Od zakończenia przedstawienia minęły dwie godziny, więc jeśli rodzice się zorientują, że nie wrócili, zrobią zamieszanie.

– Powinniśmy się już pożegnać – zwróciła się do Wilhelma.

– Oczywiście. – Poderwał się na równe nogi i odsunął jej krzeselko. – Zabierz marynarkę. Odbiorę ją od ciebie jutro.

Nie musiała pytać, czy ich odprowadzi. Najwyraźniej decyzja już została podjęta. Klara chwyciła Franka pod rękę, a Nela wsunęła swoją pod jego drugie ramię. Mężczyzna chwiejnym krokiem wyszedł z restauracji. Nie miał głowy do pożegnań.

Wilhelm patrzył za nimi, a gdy upewnił się, że sobie dobrze radzą z prowadzeniem Franka, wrócił do przyjaciół. Nareszcie mogli się poczuć swobodnie.

Dopiero wtedy rozpoczęły się tańce na niewielkim parkiecie tuż przy gramofonie. Tego wszyscy potrzebowali. Śmiech rozbrzmiewał w ich uszach, a w głowie coraz bardziej szumiał alkohol.

Grubo po północy właściciel restauracji grzecznie ich wyprosił, tłumacząc, że znacznie przedłużył godziny otwarcia. Wyszli więc z lokalu, ale nie byli w stanie wsiąść do samochodu. Zanim któreś otworzyło drzwi, drugie albo się przewróciło, albo przez nieuwagę je zamknęło. Po kwadransie nieudolnych prób Wilhelm wyszedł na środek ulicy i zatrzymał przejeżdżającą dorożkę. Woźnica usiłował go wyminąć, ale nie było to proste, gdyż mężczyzna słał się na nogach i w każdej chwili mógł wpaść pod końskie kopyta. A wtedy nikt by nie uwierzył w to, że próbował pijanemu ocalić życie.

– Zjeżdżam do stajni, panie – powiedział woźnica, zatrzymawszy się przed Wilhelmem.

– To jeszcze tylko nas podwieszysz i jesteś wolny jak ptaszek... – Zaśmiał się, wciąż słał się na nogach.

– Jest już późno. Żona będzie marudzić, zem się gdzieś szlajał – tłumaczył, widząc, w jakim stanie są potencjalni pasażerowie i z jakimi problemami to się wiąże.

– Żony się boisz? – zażartował Wilhelm.

– Te polaczki siedzą pod butami swoich bab – zawtórował mu Eryk i wskoczył do dorożki.

Koń przestraszył się i szarpnął. Woźnica mocno pociągnął za lejce, ale to nie uchroniło zwierzęcia przed zderzeniem z człowiekiem. Wilhelm upadł na bruk. Kobiety krzyk przeszył powietrze niczym wystrzały z karabinu maszynowego.

– Co jest?! – krzyknął. – Rzucił się na mnie!

– Widziałem, że cię zaatakował – wtrącił Hans i dopadł do woźnicy, żeby ściągnąć go na bruk.

Mężczyzna spadł na kamienie. Próbował się bronić, ale trzy pary rąk szybko oplotły się wokół jego ciała, bijąc w niego, przyduszając, szczypiąc i uderzając, gdzie popadnie.

Gdy popłynęła krew, a mężczyzna zwinięty w kłębek leżał, osłaniając głowę, kwiat niemieckiej młodzieży odszedł, głośno się śmiejąc.

## Rozdział V



### Na łódzie i na wodzie

Czerwcowe wieczory stawały się coraz dłuższe i coraz cieplejsze. Delikatna bryza niosła wilgotne powietrze od Zalewu Wiślanego. Krystaliczna woda oblewała brzeg. Mewy łopotały wysoko nad wodą, szukając wartego uwagi kęsa. Słońce chowało się za niewielkimi obłokami, oświetlając je na różowo.

To była wyjątkowa pora roku dla funkcjonariuszy celnych. Zaczynał się sezon urlopowy, dlatego zmniejszyła się obsada, a w związku z tym było więcej obowiązków dla tych, którzy pełnili służbę. Ostatnie miesiące pokazały, jak ważna jest ich praca i zaangażowanie.

– Jak sądzisz, powinienem jechać z rodzicami do krewnych na Mazury? – zapytał Rajmund, przykładając lornetkę do oczu, by zlustrować tafle zalewu. – Komary mam tutaj na co dzień, to po co mi jeszcze walczyć z tymi krwiopijcami na wczasach...

– Wychodzi na to, że walka to twój żywioł, nawet w czasie urlopu – zauważył ze śmiechem Iwo.

– A daj żyć! – Rajmund zawiesił lornetkę na szyi, po czym wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował towarzysza.

– Wciąż się nie nauczyłem palić – odparł Iwo.

Rajmund z niedowierzaniem pokręcił głową, po czym wyjął papierosa, włożył go sobie do ust i zapalił zapalkę. Po chwili biały kłąb dymu zatańczył ponad jego głową.

– A może przyjedziesz do mnie na wieś? – Iwo wyczekująco patrzył na przyjaciela.

– Co?

– No, na ten urlop.

– Nie masz mnie dość w robocie? – zażartował i znowu się zaciągnął.

– Może i jesteś szajba, ale... traktuję cię jak brata – dodał i odruchowo poklepał ramię mężczyzny.

– I myślisz, że twoi rodzice się zgodzą?

– Latem potrzeba rąk do pracy w polu, to co mają się nie zgodzić? – Iwo mrugnął porozumiewawczo.

– To takie wczasy mi oferujesz! – zagrmiał Rajmund. – A już cię zaczynałem lubić – dodał i zaniósł się śmiechem.

– Taka transakcja wiązana: świeże powietrze i spanie na sianie w zamian za pomoc w żniwach albo sianokosach.

– Najbardziej zaintrygowało mnie to spanie na sianie – zaczął. – Ale musisz mi obiecać jedno... Postarasz się dla mnie znaleźć jakąś sąsiadeczkę, która przygotowuje mi posłanie na tym sianie. – Zaśmiał się i z całej siły klepnął przyjaciela między łopatki. – No dobra, masz coś do zagryzienia?

– Znowu nie zrobiłeś sobie kanapki?

– Myślałem, że nie będzie chciało mi się jeść.

– Ty zawsze jesteś głodny – jęknął Iwo, otwierając swoją przewieszoną przez ramię niewielką torbę.

– Ale staram się ograniczać – oświadczył z miną niewiniątka.

Iwo podał przyjacielowi zawiniętą w gazetę kanapkę. Rajmund odwinął zatłuszczony papier i powąchał jedzenie. Uśmiechnął się i oblizał usta.

– Smalczyk ze skwarkami? – zapytał.

– Z dużymi skwarkami, cebulką i jabłkiem – wyjaśnił Iwo rzeczowo, gdy sam usmażył kawał słoniny i boczku.

W jego domu rodzinnym to matka zajmowała się gotowaniem, a robiła to doskonale. Gdy zbliżało się Boże Narodzenie albo Wielkanoc, nadchodził czas na świniobicie. Większą część mięsa rodzice Iwa marynowali w solance przez dwa tygodnie, a później je wędzili. Iwo, gdy był w domu, pomagał, dokładając do paleniska gałęzie z rosnącej w sadzie czereśni. Pamiętał, że później przez kilka dni nie mógł się pozbyć zapachu dymu spod wędzarni, który wgrzyzał się w jego skórę i włosy. Mięso jednak smakowało wybornie.

W domu Iwa nic się nie marnowało, dlatego każdy skrawek mięsa znajdował swoje przeznaczenie. Wytapianie smalcu nie stanowiło więc dla niego najmniejszej trudności, a kiedy zamieszkał z daleka od domu, nie mógł się mięgać. W niewielkim Sztutowie nie było mowy o stołowaniu się u gospodarzy. Po pierwsze, szkoda im było pieniędzy, które każdy z nich ciułał, żeby kiedyś móc kupić skrawek ziemi i wybudować na nim swój dom, a po drugie – już tylko w nielicznych miejscach ktokolwiek rozmawiał z Polakami, zwłaszcza celnikami, którzy byli na cenzurowanym.

– Ty to umiesz zachęcić człowieka do jedzenia... i weź tu schudnij – rozczulał się nad sobą Rajmund, rozdzielając kanapkę na dwie pojedyncze pajdy. Jedną z nich dobrodusznie wręczył przyjacielowi.

Przysiedli na piasku, delektując się kolacją. Każdy z nich zabrał butelkę wody, więc gdy zjedli, napili się i ruszyli dalej wzdłuż wybrzeża. Zdążyło się ściemnić. Wiedzieli, że zbliża się najgorszy czas ich zmiany. Aż do rana mieli patrolować brzeg. Jak zwykle zaczęli od pieszej kontroli pasa przybrzeżnego. Porastające brzegi trzciny tworzyły dostateczną ochronę przed wzrokiem przemytników, których codziennie się tu spodziewano.

– Koniec tego dobrego – zakomenderował Rajmund i stanął na nogi. – Idziemy popływać.

Iwo schował butelkę do torby i ruszył w ślad za przyjacielem. Mieli do pokonania kilkaset metrów. Księżyc zdążył już wyrzec zza chmur, ale jego nikły blask niedostatecznie oświetlał im drogę, dlatego posuwali się z wolna, co chwilę przystając, by sprawdzić, czy nie słychać odgłosów płynących łodzi.

Właśnie dotarli do ujścia Wisły Królewieckiej, gdy dostrzegli zacumowaną łódź należącą do wyposażenia urzędu celnego. Weszli na krótki pomost. Iwo zdjął linę okręconą wokół jednego z bali, na którym wsparty był pomost, i wszedł do łodzi, a potem chwycił za wiosła. Rajmund jednym silnym ruchem odepchnął niewielką drewnianą łódź, po czym do niej wskoczył. Iwo umiejętnie balansował pomiędzy szuwarami. Postanowili, że najpierw przepłyną w górę rzeki, a gdy zawrócą, to wypłyną na Zalew Wiślany.

Księżyc zdążył się skryć za chmurami. Płynęli więc, wypatrując kolejnych znanych sobie punktów na lądzie. Niewielki dom starego rybaka, który stracił żonę w czasie Wielkiej Wojny. To dla niej przyjechał tu aż ze Śląska i nauczył się nowego fachu. Gdy więc został sam, nie miał dokąd wracać. Jego domem pozostało Wybrzeże. Teraz całe dnie spędzał na łowieniu ryb, ale nie sprzedawał ich na targu, by więcej zarobić. Zamiast tego codziennie przyjeżdżał do niego Polak, pracownik dużej restauracji w Gdańsku, który zabierał cały asortyment. Rybak wiedział, że za te same ryby od Niemców otrzymałby znacznie wyższe wynagrodzenie. Nie miał jednak zamiaru pomagać mordercom, bo tak ich nazywał.

Dalej Iwo skierował łódź w stronę rozległych pól o tej porze roku obsianych zbożem. Po drugiej stronie rzeki dostrzegli cienie wielkości głazów przytulonych do ziemi. Tylko odgłosy cichego porykiwania zdradzały, że to nie kamienie, tylko jałówki na noc pozostawione przez gospodarzy.

– Cisza i spokój jak makiem zasiał – szepnął Iwo.

– Jeszcze kawałek i zawracamy – zarządził Rajmund, sięgając po butelkę z wodą. A gdy wypił resztkę, wystawił flaszkę za łódź i nabrał wody. Potem potrząsnął nią kilkukrotnie, by się upewnić, że nic innego nie znalazło się w jej wnętrzu. – Kiedyś tak zrobiłem na Wiśle w stolicy i miałem niespodziankę. – Zaśmiał się cicho.

– Coś złowiłeś?

– A żebyś wiedział. Butelka miała dość szeroką szyjkę, a my z chłopakami zagadaliśmy się i kiedy wyjąłem ją z wody, natychmiast przechyliłem, żeby się napić. Wtedy poczułem, że coś mam w ustach. Coś żywego i śliskiego, ale za późno było, by to wypłuć. Próbowałem, bo zaraz po połknięciu wzięło mnie na wymioty, ale się nie udało. Wszyscy zanosili się śmiechem, a ja nie miałem pojęcia, co tam pluska w moim brzuchu.

– To dlatego tak często bulgocze ci w bebeczach. – Iwo zachichotał, nieco zwalniając tempo, bo poczuł już zmęczenie.

– Daj, cherlaku, to ci pokażę, jak się wiosłuje.

– Ja nie mam takiego wsparcia jak ty – odgryzł się przyjaciel cicho.

Przez chwilę płynęli wzdłuż brzegu, ale rzeczywistość cisza niosąca się od pól i pastwisk dowodziła, że to będzie spokojna noc. Zdążyli już minąć Kobylą Kępę i rzeka poczęła się zwęzać, Rajmund więc zawrócił. Teraz płynęli z prądem, zatem mógł czuć jedynie nad tym, by nie wpłynęli w szuwały.

Iwo zgarbił się w łódce i spojrzał w niebo. Chmury powoli odpłynęły na boki, odsłaniając wygięty w pałąk miesiąc, którego srebrzysty blask odbijał się od tafli rzeki. Dookoła niego na niebie wykwitły niczym grzyby po deszczu migoczące gwiazdy. Iwo nieraz marzył, by móc je podziwiać z kobietą bliską jego sercu. To marzenie jednak wciąż było niedoścignione. Dużo pracował, a jego fach nie cieszył się uznaniem w oczach społeczności niemieckiego pochodzenia, która tak licznie zamieszkiwała Wolne Miasto Gdańsk. W samym Sztutowie było ledwie kilka polskich rodzin, które żyły ze sobą w komitywie, bo to stanowiło gwarancję bezpieczeństwa. Jednak od urzędników celnych wszyscy woleli się trzymać z daleka, by nie napytać sobie biedy. To dlatego wiele razy czuł się jak trędotawy, omijany

przez wszystkich szerokim łukiem. W takich chwilach podwójnie tęsknił za domem, rodziną i Halżką, której kiedyś skradł całusa, gdy wybrali się na spacer w jedno z letnich popołudni, kiedy zakończył edukację w Bydgoszczy i wrócił do Niw.

Halżkę znał od dziecka. Choć była od niego młodsza o dwa lata, to przyjaźniła się z jego siostrą Marianną, a że dziewczynki były rówieśnicami, razem poszły do szkoły. Halżka była dzieckiem nad wyraz ruchliwym, które nie usiedzi ani chwili w jednym miejscu. Nieraz dostawała za to razy od rodziców, a później od nauczyciela, który ponad wszystko cenił sobie święty spokój. Gdy miał już dość prób ujarzmienia dziewczynki, oddał ją pod opiekę Iwa; chłopak nie tylko bardzo dobrze się uczył, ale też miał cierpliwość do tłumaczenia młodszemu, w jaki sposób można użyć palców, by obliczyć wynik dodawania lub odejmowania. To był genialny ruch. Nauczyciel znów mógł tylko pracować z najstarszymi uczniami, a zwłaszcza uczennicami, które jakoś tak dziwacznie uśmiechały się do niego, choć na swoich rówieśników sarkają.

Iwo polubił trzpiotkę, która codziennie zanim przeszli do lekcji, musiała mu opowiedzieć o gołębiach podarowanych jej przez dziadka. Uwielbiała je i właśnie tę pasję Iwo wykorzystał do tego, by pokazać jej, jak ważna jest umiejętność liczenia. Od tej chwili przeliczali wszystko: gołębie z podziałem na samice i samce, ziarna, które dostawały do zjedzenia, jajka zniesione przez gołębicę, gniazda zajmowane przez matki z młodymi. To była niekończąca się lekcja matematyki, której Halżka nie chciała przerywać, by wrócić do domu. W efekcie najszybciej ze wszystkich uczniów przyjętych do klasy pierwszej nauczyła się operować cyframi w zakresie dziesięciu. Nawet Marianna, pilnie ucząca się rachunków pod okiem brata, nie potrafiła tak szybko liczyć.

W drugiej klasie Halżka nie chciała słyszeć o nauce z kimś innym, więc kontynuowała edukację pod skrzydłami Iwa, ale ten po skończeniu czwartej klasy wyjechał do Bydgoszczy, a wtedy jej pęd do wiedzy nagle minął. Znowu kręciła się, nie potrafiąc usiedzieć na miejscu. Nauczyciel pokrzykiwał. Ona stroiła miny albo płakała, gdy dostała różgą po rękach. Wreszcie dziewczynka podjęła decyzję. Choć codziennie wychodziła do szkoły, to się w niej nie pojawiała. Znikała gdzieś w niewielkim zagajniku, nad którym fruwały jej gołębie. Nauczyciel odetchnął z ulgą i przestał sobie zawracać głowę Halżką.

Gdy Iwo żegnał się z nią przed wyjazdem na Wybrzeże, obiecała, że na niego zaczeka. Na początku pisali do siebie, ale widział, że szło jej to bardzo nieporadnie. On równym pismem zapełniał długie stronicę, w których opisywał swoją codzienność, podczas gdy ona kreśliła ledwie kilka zdań koślawymi literami. Nie mógł się więc doczekać ich pierwszego spotkania po powrocie do Niw, w których obydwójce mieszkali. Gdy zjawił się w domu, myślał tylko o tym, by biec do dziewczyny i choć przez chwilę z nią pobyc sam na sam. Marianna szybko to wyczuła i zanim wyszedł z domu, zdążyła go uprzedzić o zaręczynach Halżki z bogatym właścicielem ziemskim, który w poszukiwaniu nowych pól do kupienia zawitał pod strzechę rodziców dziewczyny i długo stamtąd nie wychodził. A gdy w końcu opuścił ich starą, drewnianą chatę, Halżka przestała się pokazywać we wsi. Dopiero po kilku dniach jej matka podzieliła się z najbliższymi sąsiadkami nowiną o zrękowinach córki, która zamieszka kilkadziesiąt kilometrów stąd w murowanym dworku.

Iwo przełknął gorzką prawdę, ale pomimo że już dawno pogodził się ze swoją stratą, to dziewczyna gościła w jego snach i marzeniach.

– Zamiana – zakomenderował Rajmund, gdy wypłynęli na wody zatoki.

– Jak to jest, że ty zawsze w prądem, a ja pod prąd? – zastanawiał się Iwo, sadowiąc się na miejscu przyjaciela.

– Bo ja jestem w czepku urodzony – odparł mężczyzna, gdy przeszedł na miejsce naprzeciwko Iwa.

Dochodziła północ, gdy tafla wody zrobiła się niemal całkowicie gładka. Wiatr jakby wstrzymał oddech, co było wyjątkowym zjawiskiem. Tylko nocne ptaki od czasu do czasu przerywały ciszę. Iwo starał się jak najciszej zanurzać wiosła w wodzie, ale było to wyjątkowo trudne. Wreszcie na chwilę schował wiosła do łodzi i obydwaj celnicy usiedli na dnie łodzi.

– Pospałby człowiek trochę – powiedział Rajmund zaspanym głosem.

– Kładź się, pierwszy wezmę wartę – zaproponował Iwo.

Rajmund wsadził sobie pod głowę torbę. Nie zamierzał grymasić. Już wiele nocy tak spędzili. Dobre i kilka godzin snu, a skoro wszystko sprawdzili, póki co mieli chwilę wytchnienia. Rajmund szybko przeniósł się do krainy Morfeusza.

Iwo starał się zachować trzeźwość umysłu. Co jakiś czas przystawiał lornetkę do oczu i lustrował przestarzałe wołki łodzi. Prądy znosiły ją na środek.

Tuż przed drugą w nocy pojawił się wiatr. Najpierw delikatnie powiało, ale z każdą minutą poddmuchy stawały się coraz silniejsze. Iwo usiadł na ławeczce i znów spojrzął przez lornetkę. Ledwie widoczny księżyc stanowił marne oświetlenie. Miał wrażenie, jakby w oddali zamajaczył jakiś wieloryb. Wyregulował ostrość, nie odrywając wzroku od miejsca, na które zwrócił uwagę. Czarne monstrum sunęło wprost na nich. Wiejący wiatr skutecznie ograniczał odgłosy, ale mężczyzna nie miał wątpliwości, że żadne tak duże morskie zwierzę nie wpłynęłoby na wody zatoki.

– Mundek – szepnął, ale przyjaciel nawet nie drgnął. – Mundek! – tym razem zawołał nieco głośniejszym głosem i wciąż nie odrywając wzroku od czarnej masy, nachylił się i wymacał ramię chłopaka. – Wstawaj! – warknął, pociągając go za rękaw.

– Co jest? Co się dzieje?

– Właśnie nie wiem – przyznał. – Spójrz tam!

– O jasna anielka!

– Myślisz, że to coś dużego?

– I to bardzo – przyznał Rajmund, chwytając za lornetkę.

– Co robimy?

– Spływamy na bok, żeby nas nie zauważyli, i siedzimy im na ogonie, aż się przekonamy, co przemycają.

Iwo chwycił za wiosła, a Rajmund odwrócił się, by wszystko dobrze widzieć. Już nie miał wątpliwości, że w ich stronę zmierzają dwie duże łodzie.

Szczęściem zdążyli dopłynąć do pobliskich zarośli. Dwie łodzie sprawnie przepłynęły kilkadziesiąt metrów od nich. Iwo odczekał chwilę i ruszył w ślad za nimi.

– Nie mogę dojrzeć, co mają na pokładzie – szepnął Rajmund.

– Jeśli podpłynę bliżej, to się pokapują.

Coraz głośniejszy gwizdzący wiatr skutecznie zagłuszał odgłosy wiosłowania, jednak Iwo był czujny. Wiedział, że przede wszystkim muszą zachować zdrowy rozsądek. Być może to tylko drobiazgi przemycane przez jakiegoś handlarzynę. Później tacy cwaniacy tłumaczyli się, że nie mieli pojęcia, że każdy towar wjeżdżający do Polski przez Wolne Miasto Gdańsk właśnie w nim musi zostać oclony. Na początku służby kilka razy dali się na to złapać i przyomykali oko na łodzie wpływające do zatoki pod osłoną nocy. Teraz już wiedzieli, że to wierutne kłamstwa Niemców, którzy za nic mieli polską granicę, a cały Gdańsk i przylegające do niego terytorium wciąż uważali za swoje ziemie.

Nagle Rajmund szarpnął przyjaciela za ramię i jak na komendę obydwaj niemal położyli się na dnio łodzi.

– Ktoś świeci w naszą stronę – szepnął Rajmund, nie podnosząc głowy.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, a gdy już nieco zdrętwiały im kończyny, Rajmund ostrożnie podniósł głowę ponad łódź.

– Chyba nas nie widzieli – stwierdził, patrząc na oddalające się łodzie.

– Płyniemy za nimi. Nie odpuszczamy.

Tym razem Rajmund chwycił za wiosła i usadowił się na ławeczce. Iwo zdjął z jego szyi lornetkę i przytknął do oczu. Czarne punkty oddalały się od nich. Rajmund najwidoczniej wziął sobie za punkt honoru, by je dogonić, bo nie szczędził sił i mocno machał wiosłami. Po kilkunastu minutach dyszał jak szalony, ale łodzie mieli w zasięgu wzroku.

– Płyną do ujścia Nogatu – zawyrokował Iwo.

– Oby nie próbowali przepłynąć rzeki, bo nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

– Oni też nie są z żelaza. Miejmy nadzieję, że na dzisiaj im wystarczy.

I rzeczywiście kilkadziesiąt metrów dalej łodzie zbliżyły się do przybrzeżnych zarośli. Rajmund podpłynął jeszcze kawałek i schował wiosła. Z tej odległości nie widzieli zbyt dobrze. Nie odważyli się jednak wysiąść na brzeg. Było zbyt ciemno, by dojrzeć, gdzie dokładnie zaczyna się ląd. Woleli nie ryzykować.

– Nic tu po nas, skoro nie wiemy, co mają na łodziach – stwierdził pośpiesznie Rajmund.

– Podpłynę do łodzi i się rozejrzę – powiedział Iwo i zaczął zdejmować buty.

– Zwariowałeś? – Rajmund postukał się w czoło. – Nie będziesz ryzykował życia.

Tyle że decyzja już zapadła. Byli równi stopniem, więc nie mógł nakazać przyjacielowi, by ten pozostał na miejscu. Wziął więc od niego lornetkę i pistolet z kaburą.

Iwo cicho wszedł do wody. Przyjaciel śledził go wzrokiem, co rusz spoglądając na cumujące łodzie. Od czasu do czasu dochodziły do niego głosy ludzi, którzy wyciągali łodzie bliżej brzegu. Czarne postacie przemykały w te i z powrotem, jakby szukały dogodnego miejsca do rozładunku.

Iwo miał ich na oku i wciąż się do nich zbliżał. W pewnej chwili dotknął drewnianej łajby wypełnionej spiętrowanym ładunkiem. Celnik wyciągnął dłoń, by odchylić plandekę. Pod nią stały drewniane skrzynie ledwie widoczne w blasku częściowo schowanego za chmurami księżycy. Z tej pozycji Iwo nie mógł zrobić nic więcej. Zerknął na brzeg. Wiosłarze na chwilę przysiedli, ćmiąc papierosy po wyczerpującej podróży. Wiedział, że ma tylko jedną szansę i zamierzał ją wykorzystać. Podciągnął się i jak najciszej wślizgnął na łódź. Od razu schował się za ładunkiem



i przez moment nasłuchiwał, czy ktoś nie nadchodzi. Upewniwszy się, że jest sam, wymacał pokrywę. Spróbował ją zdjąć, ale była zabita gwoździami.

Ostrożnie przesunął się na koniec łodzi. Tam również stała skrzynia. Ta nie była niczym okryta. Dotknął jej wieka. Drgnęło bez większego problemu. Nieco je przesunął i włożył rękę do środka. Pod palcami wyczuł chłód stali. Szybko policzył, ile skrzyń przyplynieło w dzisiejszym transporcie. We dwóch z Rajmundem niewiele zdołają zrobić. Najważniejsze, aby powiadomić przełożonego, a ten niech poda informację dalej, aż do Warszawy. Robili tak za każdym razem, gdy trafiali na nielegalny transport broni czy amunicji. Tych ostatnio pojawiało się coraz więcej.

Iwo, obserwując pozostałych na brzegu wiosłarzy, zaczął wycofywać się z łodzi. Raptem poczuł, że jego głowa dotknęła czegoś zimnego. Spróbował się odwrócić, ale w tej chwili ktoś go mocno kopnął. Celnik jeszcze usiłował złapać równowagę i utrzymać się na nogach, ale kolejne ciosy w okolice nerek sprawiły, że osunął się na kolana i począł łapać oddech, którego wciąż mu brakowało. Do jego uszu dochodziły kolejne obelgi wymawiane w języku niemieckim. Nie skupiał się na nich, usiłując zebrać myśli i zmusić ciało do działania.

Im usilniej próbował się podnieść, tym szybciej lądował na kolanach. Kolejna próba i kolejny cios.

– Zabij szmatę! – zakomenderował jeden z drabów.

– Nie potrzeba nam kłopotów – odparł drugi, rozcierając dłoń, którą chwilę wcześniej wyprowadził celny cios w twarz szpiega.

– Przecież wiadomo, że polecą do celników i na nas doniesie – nie ustępował pierwszy, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

– Jak tutaj zginie, to też będzie nielicha awantura!

– To co zrobimy z tym patałachem? – spytał kolejny z przemytników, który wrócił po skrzynię.

– Najpierw spokojnie rozładujmy towar, a potem zabierzemy go ze sobą i po drodze zrobimy z nim, co trzeba – obiecał i wymierzył następnym cios w głowę Iwa.

Ten osunął się na dno łodzi. Zasyłane słowa wirowały ponad nim i coraz trudniej przychodziło mu je rozpoznać. Ból pleców stawał się nie do zniesienia, a umysł jakby nie chciał dopuścić do siebie tych bodźców, skutecznie odpychając wszystkie myśli. Postanowił skupić się na oddechu. Z każdą chwilą wychodziło mu to coraz lepiej.

Wciąż leżał, nie dając znaków życia. Na szczęście głosy wokół przycichły. W zamian za to słyszał przesuwane na łodzi skrzynie. Otworzył oczy i ostrożnie zlustrował przestrzeń wokół. Nikt nad nim nie czuwał, spojrzął za siebie. Naprawdę był sam. Przeczłogał się bliżej burty, a potem wprawnych ruchem chwycił się jednego boku łodzi i niemal wyturlał się z niej do wody. Uderzył o płytkie dno, ale to dodało mu odwagi. Począł płynąć, ile sił, jednak dostrzegli to przemytnicy, którzy jak na komendę rzucili skrzynie i natychmiast ruszyli w jego stronę. Strzały przeszywały wodę. Iwo nie oglądał się za siebie. Wiedział, że to jedyna szansa na ucieczkę. Parł do przodu.

Nagły ból pozbawił go tchu. Chciał biec dalej, ale już nie mógł. Miał wrażenie, że spada w jakąś głębię i choć próbuje się czegoś chwycić, to jego dłonie ześlizgują się i nie znajdują zaparcia. Pojawiającą się wokół pustkę wypełniły krzyki, które z każdą sekundą się oddalały.

## Rozdział VI



# Tanecznym krokiem

Długie czerwcowe dni i ciepłe noce stanowią wyjątkowe dobrodziejstwo dla tych, którzy po długiej zimie są spragnieni zabawy. Zimowe wieczory skłaniają do niekończących się rozmów o polityce czy o planach na nadchodzące lato. To czas intensywnych swatów i szukania jak najlepszych możliwości współpracy i rozwoju. To dlatego latem wszyscy liczący się kupcy, przedsiębiorcy i urzędnicy mogą się oddać rozrywkom, nie martwiąc się o to, co przyniesie kolejny rok. Paradoksalnie właśnie wtedy Anders Witt, który miał wsławić się swoją pracowitością, przyszedł na świat.

Gdy był dzieckiem, rodzice w dniu jego urodzin zabierali go na lody i do kina. Dzięki nim pokochał filmy i nie obrażał sobie życia bez nich. Z czasem zrozumiał, że całe jego życie to rodzaj filmu, w którym on jest głównym aktorem, a umiejętnie pociągając za sznurki, może kreować rzeczywistość wokół siebie. Owa rzeczywistość wyglądała całkiem obiecująco.

W wieku pięćdziesięciu lat miał troje dzieci. W stosunku do dwojga starszych był pewien, że pomógł im wybrać właściwą drogę na resztę życia. Trzecie dziecko wciąż stanowiło dla niego zagadkę. Bardzo się starał zrozumieć Tomasa, ale w tym chłopaku było coś, czego nie potrafił zaakceptować. Może dlatego, że sam nie był tak otwarty i wrażliwy na świat. Miał swój własny, dość hermetyczny, w którym lubił przebywać. Jego znajomi cenili go za posiadane koneksje i pieniądze. Nie przeszkadzało mu to. Przeciwnie, wykorzystywał swój status, żeby na dwie kadencje trafić do Volkstagu<sup>2</sup>. Później przestało mu to wystarczać i od razu zamarzyła mu się rola senatora pobocznego wybieranego na czas nieokreślony, ale z tym kazano mu się wstrzymać. Najpierw miał zostać wybrany na czteroletnią kadencję jako senator główny. Przelknął ten afront, czekając na swoją drugą szansę i mocno angażując się w życie towarzysko-kulturalne miasta.

Miał plan, jak zbudować pozycję, której tak pragnął. Dobrze, że córka doskonale rozumiała jego potrzeby. Była jego najjaśniejszą gwiazdą, o którą dbał i którą kochał ponad wszystko, do czego nigdy przed nikim nie zamierzał się przyznać. Teraz też pokładał w niej duże nadzieje. Po cichu kibicował jej związkowi z Wilhelmem. Takiego człowieka chętnie przyjąłby na łono rodziny.

Nela zbiegła ze schodów i niczym strzała wpadła do salonu, gdzie Marta układała sztucce na długim stole nakrytym śnieżnobiałym obrusem haftowanym kolorowymi nićmi. Zdążyła już rozłożyć tuzin nakryć, a po drugiej stronie stołu piętrzyły się jeszcze nierozłożone talerze. Po południu miały przyjść do pomocy jeszcze dwie kelnerki, bo sama nie zdołałyby obsłużyć takiej liczby gości. Kucharka, którą zatrudniała rodzina Wittów, gotowała już od dwóch dni. Słodkości i trzypiętrowy tort Ana Witt zamówiła w najlepszej cukierni w Gdańsku.

– Gdzie mama? – dopytywała Nela, lustrując salon, z którego wyniesiono niepotrzebne meble, pozostawiając tylko długi stół.

– Wyszła do modystki, bo odczepiła się koronka przy rękawie jej sukni – wyjaśniła służąca Marta, nie odrywając wzroku od sztucców.

– Klara! Klara musi mi doradzić – zawyrokowała, widząc, że nie ma na kogo liczyć.

– A może ja panience pomogę? – spytała nieśmiało.

– Ty lepiej skup się na sztuccach, żeby nie zdenerwować mamy, bo jak dostanie migreny, to wszyscy oberwiemy za swoje – ostrzegła.

Marta skrzywiła się i wróciła do swoich obowiązków. Pracowała w domu Wittów już piętnaście lat, nauczyła się więc, by lepiej nie narażać się pani domu, która wymagała wiele, a nie chwaliła wcale.

Nela wyszła do dużego holu, w którym na niewielkim drewnianym stoliku stał telefon, i podniosła słuchawkę. Wykręciła numer na okrągłej tarczy i zaczekała na połączenie, nieświadomie obrywając delikatne płatki białych róż ułożonych w wazonie stojącym obok aparatu telefonicznego.

– Cześć, Klara – powitała przyjaciółkę.

– Ty nie u fryzjera?

– Zaraz lecę, ale najpierw musisz mi doradzić. Czy mam go włożyć na przyjęcie, czy dopiero wtedy, gdy wszyscy się dowiedzą?

– Skoro to była tajemnica i dotychczas go nie nosiłaś, to nie zbawi cię godzina czy dwie.

– Słusznie – przyznała Nela. – Buziaki i do zobaczenia wieczorem.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, pognąła na górę. Teraz czuła się znacznie pewniej. Usiadła na łóżku i zerknęła na zawieszoną na szafie sukienkę, którą zamierzała dzisiaj włożyć. Od miesiąca planowała ten dzień. Wszystko było zapięte na ostatni guzik, a jednak podskórnie czuła dreszcz niepokoju. Podeszła i odsunęła szufladkę w toalecie. W szkatułce ozdobionej bursztynem leżał jej największy skarb. Przez chwilę na niego patrzyła, a potem wyjęła go i położyła na toalecie. Tutaj miał zaczekać na wielki dzień.

Zerknęła na mały mosiężny zegar ustawiony na blacie obok i stwierdziła, że najwyższy czas, żeby wyjść do fryzjera. Na plecy narzuciła cienki sweter, a szminką w odcieniu koralowym podkreśliła usta. Wybiegła, zamknąwszy pokój.

Kiedy dwie godziny później wróciła do domu, jej nozdrza polechtały mieszające się ze sobą zapachy smakowitych dań. Przelotne spojrzenie na swoje odbicie w lustrze zawieszonym zaraz przy wejściu do holu utwierdziło ją w przekonaniu, że wygląda dobrze. Ba, mogłaby się nawet pokusić o stwierdzenie, którego użyła jej fryzjerka – zjawiskowo. I tak miało być.

Zajrzała do salonu. Na godzinę przed przyjęciem urodzinowym ojca wszystko było gotowe. Na stole lśniła zastawa przywieziona od babci z Drezna. W centralnym miejscu stołu stał olbrzymi wazon wypełniony nastroszonymi, bordowymi piwoniami. Kryształowe szklanki i kieliszki mieniły się w promieniach popołudniowego słońca z zaciekawieniem zagląającego przez wysokie okna.

Serce Neli szybciej zabiło. Czas płynął. Pobiegła na górę, by nieco się odświeżyć. Gdy tylko weszła do pokoju, jej wzrok spoczął na toalecie. Zamarła. Poczła zimny dreszcz na plecach. Podbiegła bliżej i omiotła wzrokiem toaletkę i podłogę wokół niej. Nerwowym szarpnięciem otwierała kolejne szufladki, by sprawdzić, czy jej skarb jakimś dziwnym trafem nie znalazł się w środku. Po kilkuminutowych poszukiwaniach opadła na wyściełane błękitnym aksamitem krzesło i zwiesiła głowę na ramię.

Jak ma się przyznać do tego, że gdzieś zawieruszyła pierścionek zaręczynowy?

Nie zakładała, że ktokolwiek mógłby go ukraść. W ich domu nie było złodziei. Ufali służbie. Zarówno Marta, jak i kucharka Adela od lat należały do ludzi, którym można było zaufać. Milczały jak zakłete o tym, o czym mówiło się w domu Wittów, a spotkań i rozmów na różne ważne tematy nigdy nie brakowało. Anders postawił swojej żonie tylko jeden warunek, który miała spełnić przy wyborze służby. Miały to być osoby, którym warto byłoby zapłacić nieco więcej guldenów na rzecz ich oddania dla rodziny Wittów.

Nela zastanawiała się, czy to możliwe, by zahaczyła o niego i zrzuciła pierścionek na podłogę. Na tę myśl schyliła się i poczęła na czworakach przeszukiwać swoją sypialnię. Zajarzała wszędzie. Zguby jednak nie znalazła.

– Szukałaś mnie – odezwała się Ana Witt, jak zwykle wchodząc do pokoju córki bez pukania.

Na te słowa dziewczyna podskoczyła, a że była właśnie pod łóżkiem, uderzyła głową o deskę. Poczła pulsujący ból na czubku głowy i wbijające się w skórę szpilki podtrzymujące kok. Nawet nie próbowała rozetrzeć bolącego miejsca. Wiedziała, że nie zdoła do niego dotrzeć w tym kłębowisku misternie ułożonych włosów. Ostrożnie wycofała się spod łóżka.

– Zamiast się wyglupiać, zacznij się ubierać.

– Szukałam pierścionka – przyznała.

– Nie rozumiem, jak można nie wiedzieć, gdzie się ma swoje rzeczy – oświadczyła Ana. – Gdybym ja tak lekko-myślnie podchodziła do biżuterii, to teraz nosiłabyś kamyki znalezione przez Martę na plaży. – Zaśmiała się i wyszła, pozostawiając jedynaczkę w konsternacji.

Nela odprowadziła matkę wzrokiem, po czym ciężko opadła na łóżko, zastanawiając się, co wymyślić, by nie zejść na przyjęcie i się nie ośmieszyć. Matka miała rację, mówiąc, że powinna zacząć się ubierać. Niebawem zaczną się schodzić goście, a oni powinni stać ramię w ramię z ojcem i wszystkich witać. Ta myśl niemal ją obezwładniła. Pukanie do drzwi wyrwało ją z osłupienia.

– Tak?

– Serwus, siostra, pomożesz mi z tym szcurem? – odezwał się Tomas, wchodząc do pokoju siostry. – Ojciec nie daruje mi, jak go nie założę – dodał, wyciągając w stronę siostry długi i wąski czarny kawałek materiału.

– Możesz sobie wybić z głowy ten krawat – zauważyła z rezygnacją w głosie. – Oprócz muszki nic go nie usatysfakcjonuje.

– Zawiążesz mi, jak przyniosę? – spytał niemal błagalnym głosem. Zanim jednak wyszedł, przyjrzał się siostrze. – Co jest?

– Zgubiłam pierścionek.

– Zaraz, zaraz! Ten pierścionek?

Dziewczyna skinęła i schowała twarz w dłoniach.

– Kiedy ostatnio go widziałas?

– Rano, jak się szykowałam do wyjścia – wyjaśniła. – Później poszłam do fryzjerki, a gdy wróciłam, to weszłam na górę, ale wtedy już go tam nie było – dodała, spoglądając w stronę szafki.

– Czyli jeszcze rano leżał na toaletce? – upewnił się.

– Tak! – jęknęła.

– A nie mierzyłaś go przypadkiem przed wyjściem?

– Mierzyłam – przyznała niczym dziecko przyłapanie na zjedzeniu deseru jeszcze przed obiadem.

– To może go nie zdjęłaś? – zapytał i podniósł wysoko brwi.

– Jestem pewna, że go odłożyłam na miejsce.

Tomas zmarkotniał, ale nie zamierzał się poddać.

– Mogę zajrzeć do toaletki?

– Przeszukałam cały pokój.

– To mamy do sprawdzenia resztę domu. Lecę podpytać Martę i Adelę, a ty sprawdź korytarz i hol. Przecież nie rozplynął się w powietrzu – dodał i wybiegł z pokoju.

Poszukiwania i przepytывanie służby nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Z nosem na kwintę Nela wróciła do swojego pokoju.

– Ty jeszcze niegotowa? – Matka zgromiła ją wzrokiem, stając w drzwiach. – I co ty masz taką skwaszoną minę? To przyjęcie urodzinowe, a nie stypa – oświadczyła, nie spuszczać córki z oczu. – Zabawa nie zaczeka. Za chwilę będzie pełno gości. Weź się w garść i przyjdź na dół.

Nela nie miała siły odpowiedzieć. Wiedziała, że to i tak nic by nie dało, a gdyby tylko wyjawiała matce swoje obawy, ta natychmiast znalazłaby winnego, a raczej winną. Domownicy już przywykli do tego, że w tym domu wszystkimu winna była służba. Ana Witt szczególnie długo nie mogła przekonać się do Adeli; choć miała wyjątkowy smak i doskonale gotowała, to polskie korzenie jej męża kłuły w oczy panią domu. Wreszcie jednak deklaracje Adeli o tym, że polskość męża umarła wraz z jego rodzicami, trafiły do serca, a jej dania do żołądka Andersa, który osobiście wstał się za nią u małżonki. Ana wciąż jednak nie ufała kucharce i gdy w domu cokolwiek zniknęło, wówczas niczym huragan wpadała do kuchni i bez zbędnych konwenansów przepytывała przestraszoną kobietę, której zależało na posadzie, bo w domu miała pięć gęb do wykarmienia.

Skoro jednak i Adela, i Marta oświadczyły, że niczego nie wiedzą o jej pierścionku, to nie zamierzała robić rabanu i angażować w sprawę matki.

Teraz bez przekonania sięgnęła po sukienkę uszytą z muślinu w modne w tym roku drobne groszki, przewiązaną na boku paskiem. Wprawdzie wolałaby, żeby była znacznie krótsza i odsłaniała kolana, ale suknie wieczorowe rządziły się swoimi prawami i po prostu musiały sięgać kostek, idealnie dopasowane w pasie i mocno rozszerzone na dole oraz w ramionach. Poprawiła wpiętą we włosy spinkę z dużym bursztynem i nałożyła naszyjnik z zawieszką w kształcie lilii ze srebrnymi płatkami, środek zaś stanowił gładko obrobiony i wypolerowany złocisty bursztyn z niewielkim pączęczkiem pośrodku. Przepudrowała policzki, a potem nałożyła na nie odrobinę szminki i umiejętnie roztarła. Wypróbowały ten pomysł z Klarą.

Kiedy spojrzała na efekt końcowy, nie uśmiechnęła się do siebie. Zamiast tego głośno westchnęła i wyjęła z szafy elegancie czółenka z odkrytymi palcami, zapinane z boku na cienki pasek.

W końcu zeszła na dół i ustawiła się pomiędzy ojcem i starszym bratem.

– Nareszcie w komplecie – powiedział senior rodu i poprawił guzik przy marynarce opinającej jego pokaźnych rozmiarów brzuch.

Kilka minut później w drzwiach pojawili się pierwsi goście. Wśród nich dwaj senatorowie, z którymi Witt utrzymywał bliskie kontakty, oraz ich żony i córki, które z lubością spoglądały na dwóch młodych kawalerów stojących za jubilatem. Nela bez słowa ruszyła w stronę dziewcząt. Wiedziała, że to nie jej towarzystwa oczekują, ale póki co, to do jej obowiązków należało zajęcie się gośćmi. Rodzice przez chwilę rozmawiali ze sobą, po czym zaprosili wszystkich do salonu. Marta wraz z dwoma innymi służącymi już stała na swoim stanowisku, podtykając przybyłym małe kanapeczki z serem lub szynką. Tego wieczora na stole miały gościć przepiórki, homary i kawior, Adela więc dwoiła się i troiła, by sprostać oczekiwaniom pani domu.

Ana z uśmiechem zerknęła w stronę suto zastawionego stołu. Tego wieczora na niczym nie oszczędzali. Wiedziała, że zarówno Anders, jak i Nela na długo go zapamiętają.

Tymczasem Nela starała się słuchać wywodów nieco młodszych od niej panien Wolf, które ściagały się w opowiadaniu o tym, jak to szukały odpowiedniego materiału na suknie włożone tego wieczora. Szczęśliwie Frank wprowadził trzech młodzieńców, którzy natychmiast otoczyli uwagą i zainteresowaniem młode damy. Nela odetchnęła i z czystym sumieniem wyszła po angielsku.

Gdy tylko pojawiła się w holu, dostrzegła wchodzącego Wilhelma Meyera. Jego uśmiech sprawił, że niemal się rozplynęła, a poczucie winy mocniej ścisnęło jej serce. Dwudziestoosmioletni mężczyzna przywitał się z jej rodzicami, a następnie lekko pocałował jej dłoń. Delikatny dreszcz przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa. Czuli, że się rumieni. Uśmiechnęła się, gdy wsunęła swą dłoń pod jego ramię. Ruszyli w stronę biblioteczki. Gdy nieco oddalili się od wciąż napływających gości, Nela zatrzymała się i rzewnym wzrokiem spojrzała na mężczyznę.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – zaczęła. – Nie wiem, jak do tego doszło, ale... Jest mi bardzo wstyd, bo... – Poczęła szlochać, a jej oczy się zaszklily.

– Kochanie, co się dzieje? – zapytał przejęty Wilhelm, podając jej chusteczkę.

Zanim jednak zdołała zdobyć się na odpowiedź, rozbrzmiał głos pana domu zapraszającego wszystkich na kolację. Blisko trzydzieści osób ruszyło w stronę przestronnego salonu, który przy okazji większych uroczystości pełnił też rolę jadalni. Z biblioteki wyległa młodzież, która otoczyła Nelę i Wilhelma.

– Idziecie? – spytała Klara, która dopiero co weszła do domu Wittów.

Nela bez przekonania skinęła głową.

Gdy weszli do salonu, goście poczęli się sadowić na miejscach, dbając o to, by zapewnić sobie pożądane towarzystwo. Młodzież miała usiąść na końcu stołu, by się nie nudzić, słuchając rozmów dorosłych. Nikt nie musiał im tego mówić, bo od dziecka wiedzieli, że przebywanie we własnym towarzystwie ma istotny cel. Ich rodziny liczyły się na płaszczyźnie polityczno-społecznej w Wolnym Mieście Gdańsku. Ci młodzi ludzie czuli się ważni, a nawet wyjątkowi, dlatego tak dobrze się rozumieli i chętnie się ze sobą spotykali.

Wreszcie gospodarz wstał, wziął do ręki kieliszek napełniony koniakiem i zaczął, aż wszyscy goście będą mieć podane trunki. Dopiero wtedy wzniósł toast.

– Za moich gości, którzy jak co roku pamiętali o moich urodzinach i zechcieli ten wieczór spędzić w towarzystwie mojej rodziny – zaczął, patrząc na twarze zgromadzonych Niemców. – Niebawem owa rodzina się powiększy – dodał, po czym odszukał wzrokiem miejsce, w którym siedziała Nela. Wzrok wszystkich gości powędrował w tę samą stronę. – Córeczko, serdecznie ci gratuluję, bo znam Wilhelma i wiem, że to wspaniały młody człowiek i wzorowy obywatel Rzeszy. Jestem przekonany, że stworzycie idealny związek – dodał i na znak zakończenia toastu zamoczył usta w alkoholu, którego wprost nie znośił.

Goście poszli w ślad za nim i ochoczo poczęli opróżniać kieliszki, a potem gratulować młodej parze. Na ten właśnie znak czekał Wilhelm, który poderwał się z miejsca i chwycił dłoń Neli.

– Teraz już oficjalnie – zażartował, okraszając swój żart uśmiechem. – Czy zostaniesz moją żoną? – spytał, nie spuszczać wzroku z Neli.

Dziewczyna zagryzła drżącą wargę. Jej policzki płonęły ze wstydu, który trawił ją od chwili, gdy odkryła, że gdzieś zapodziała pierścionek zaręczynowy. Nabrała powietrza w płuca. Uznała, że najwyższy czas przyznać się do swojej głupoty.

– Tak czy nie? – syknęła siedząca obok Klara.

– Co? – Nela zerknęła na nią zaskoczona.

– Jest tak zakochana – stwierdziła przyjaciółka, patrząc na zaciekawione twarze gości. – Zatkano ją – tłumaczyła.

– Nela? – Wilhelm patrzył na nią, w napięciu oczekując odpowiedzi.

– Przepraszam... – bąknęła, usiłując zapanować nad cisnącymi się do oczu łzami.

– Że co?

– Przepraszam cię, ale... – Jej głos łamał się przy każdym wypowiedzianym słowie.

– Nie chcesz? – szepnął, nachyliwszy się nad nią.

– Chcę, ale...

– To nie ma żadnego „ale” – oświadczył i nim się zorientowała, wcisnął jej na palec pierścionek.

– Ale...

– Dziewczyno, co ty znowu z tym „ale”? – zbeształa ją Klara. – Masz narzeczonego i pierścionek na palcu, więc przestań marudzić i zacznij się cieszyć.

Nela uśmiechnęła się i podniosła dłoń tak, by wszystkim pokazać odnalezioną zgubę. Gromkie oklaski sprawiły, że poweselała i w przyptywie emocji cmoknęła Wilhelma w policzek.

– Już się bałem, że mnie wystawisz i narobisz mi wstydu przed wszystkimi – szepnął odrobinę zbyt kąśliwie.

– Nigdy, przenigdy – odparła, chwyciwszy jego dłoń. – Nawet nie wiesz, jak się martwiłam, że zgubiłam pierścionek.

Mężczyzna uśmiechnął się i raz jeszcze pocałował dłoń, na której błyszczał pierścionek. Nela łagodnie opadła na krzesło. Aromat pieczonych mięs szybko przypomniał jej o tym, że od śniadania nie miała niczego w ustach. Kolejne toasty za zdrowie jubilata i przyszłej młodej pary sprawiły, że szybko zaszumiało jej w głowie. Nałożyła więc sobie dużą porcję jedzenia.

Kiedy półmiski, salaterki i patery nieco opustoszały, Frank włączył ustawiony przy oknie tarasowym gramofon, włożył płytę szelakową i opuścił na nią stalową igłę. Już przy pierwszym obrocie wszyscy usłyszeli szybki rytm foxtrota.

– Zatańczymy? – spytał Wilhelm, wyciągając dłoń do narzeczonej.

Nela ochoczo poderwała się z miejsca i choć wciąż odczuwała skutki zbyt szybkiego wypicia dwóch kieliszków szampana, to ruszyła na parkiet, który stanowił przestronny taras z widokiem na wypielęgnowany ogród.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę – szepnął Wilhelm, ale głośna muzyka zagłuszyła jego słowa, dlatego zaczął, aż melodia się zmieni i gdy popłynęły dźwięki walca, powtórzył swe wyznanie znacznie głośniej.

Nela wtuliła się w jego opiekuńcze ramiona. Czują prześlizgującą się po jej plecach dłoń. Miała nadzieję, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Wolałaby uniknąć wścibskiego wzroku gości ojca, jednak dotyk Wilhelma sprawiał jej przyjemność. Zapach jego wody kolońskiej rozgrzewał jej myśli.

– Kocham cię – powiedział, nachylając się nad jej uchem. – Jesteś najważniejszą kobietą w moim życiu.

– Ja ciebie też kocham – wyznała, tuląc się do niego jeszcze mocniej. – Powiedz mi tylko, skąd wzięłeś mój pierścionek? Myślałam, że go zgubiłam... Ale byłby wstyd...

Meyer dotknął idealnie ogolonym policzkiem jej czoła, a później jeszcze mocniej ją przytulił. Przez chwilę milczał, delektując się zapachem jej ciała.

– Wili... – ponagliła go.

– Frank pomógł mi znaleźć pierścionek i zabrać go z twojego pokoju. Chciałem, żebyś była zaskoczona i żeby się nie wydało, że to wszystko wcześniej zaplanowaliśmy. Wiem, że twoi rodzice przykładają wielką wagę do konwenansów, więc nie chciałem ich stawiać w trudnej sytuacji przed gośćmi. Rozumiesz to, prawda? – Odchylił się i z nadzieją spojrzął jej w oczy. – Takie małe kłamstewka dodają pikanterii każdemu związkowi. – Zaśmiał się i lekko musnął ustami jej nagą szyję. Zaraz jednak odsunął się na bezpieczną odległość, by nikt nie dostrzegł jego czułości.

Uśmiechnęła się, nie potrafiąc się na niego gniewać, choć jeszcze kilkanaście minut wcześniej niemal umierała ze strachu o ich wspólną przyszłość.

– Może czas na coś bardziej skocznego? – Głos Franka przerwał im rozmowę.

Po chwili cała młodzież płaśała na zewnątrz w rytmach polki, tanga i foxtrota. Starsi goście z sentymentem, a czasem z zazdrością spoglądali w ich stronę. Też mieli ochotę wyjść zza stołu, ale na razie zbyt wypili, by się bawić przy takiej muzyce. Rozumiejąc konsternację swoich gości, Anders Witt wznosił kolejny toast.

– Za Rzeszę i wszystkich mądrych ludzi, którzy ją tworzą – powiedział z dumą w głosie. – Oby wszyscy obywatele zrozumieli geniusz Hitlera i wsparli wysiłek, jaki wkłada, pchając nasz naród na szczyt.

– Za naszego wodza! *Heil Hitler!* – rozbrzmiały głosy wokół stołu.

Marta uwijała się z napełnianiem kieliszków. Dwie pozostałe kelnerki wynajęte do obsługi przyjęcia urodzinowego donosiły półmiski pełne wędlin. Goście coraz chętniej i bardziej otwarcie dzielili się swoimi poglądami.

– Myślisz, że zdołamy odzyskać to, co straciliśmy po Wielkiej Wojnie? – spytał siedzący w połowie stołu Artur Klimke, z którym do niedawna zasiadali w ławach poselskich.

– Arturze, wążpisz w Hitlera? – Witt spojrzął na przyjaciela z niedowierzaniem.

– Nigdy! – obruszył się Klimke.

– To nie zadawaj tak infantylnych pytań. Miałem zaszczyt spotkać wodza i choć nie zdołałem z nim porozmawiać, bo jako skromny senator Wolnego Miasta Gdańska wciąż jestem nikim, to zdążyłem doświadczyć atmosfery wiary w potęgę naszego narodu. Hitler to wybitny strateg o nader łagodnym usposobieniu, ale o przytłaczającej charyzmie – tłumaczył cierpliwie, wręcz napawając się swoimi słowami. – Myślę, że wszyscy razem wzięci nie mamy takiej pewności siebie i odwagi jak ten jeden skromny człowiek.

Klimke przytaknął, podobnie jak reszta siedzących przy stole gości.

– Hitler to jedyny człowiek, który wie, jak pokierować naszym narodem, by ten odzyskał to, na co zasługuje – wtrącił Luft, jeden z zaproszonych posłów. – Tylko on stoi na straży czystości rasowej.

– Co tu ukrywać, dzięki niemu można wyjść na ulicę i nie bać się, że jakiś żydek albo inny śmierdzący polaczek cię okradnie – powiedział gorliwie Klimke, żeby zatrzeć wcześniejsze złe wrażenie.

– Do tego, Kochani, jeszcze długa droga przed nami, ale wiem, że te ideały mają sens i muszą zostać wdrożone w życie z dużą starannością. Już nasze działania odnoszą skutek – przyznał Witt z dumą w głosie. – Jeszcze chwila i oczyścimy ziemię z brudu i robactwa, dając naszym dzieciom nowe perspektywy rozwoju.

– Danzig<sup>19</sup> to miasto z duszą. Wy tu naprawdę dużo w tym względzie robicie – pochwaliła żona zaprzyjaźnionego przemysłowca z Berlina, który wciąż rozwijał rynek i aktualnie jego zainteresowania oscylowały wokół pozyskania nowych kanałów zbytu dla wysokiej jakości importowanej kawy i herbaty.

Kilkanaście głosów poparcia natychmiast rozbrzmiało w salonie. Rozmowa jeszcze bardziej się ożywiła. Każdy chciał zaimponować siedzącemu obok sąsiadowi, który z uznaniem mógłby pochwalić szerzącą się wokół myśl socjalistyczną.

Wreszcie muzyka ucichła. Zdyszana młodzież wskoczyła do środka w poszukiwaniu chwili odpoczynku.

– Teraz coś dla nas – zarządziła Ana Witt i podniosła się od stołu gotowa do wyjścia na parkiet. – Tomasiu, włącz walce Straussa. Nikt tak dobrze ich nie komponował.

Młodszy z synów przełożył płytę i uruchomił mechanizm gramofonu. Kilku starszych wiekiem gości wstało, kłaniając się przed swoimi partnerkami. Ana przebierała nogami, wzrokiem zaś prowokowała męża do tego, by również się podniósł. Ten zdawał się tego w ogóle nie dostrzegać.

– Staramy się tłumaczyć nasze poglądy tym, którzy chcą ich słuchać – ciągnął gospodarz niczym w transie.

– A tym, co nie chcą słuchać, teorię wbijamy do głów w sposób praktyczny. – Frank zaśmiał się, stając tuż obok ojca, który w przypiływie ojcowskich uczuć poklepał go po plecach i uśmiechnął się do niego z uznaniem.

Już na pierwszy rzut oka byli do siebie bardzo podobni, choć Frank był znacznie szczuplejszy i nieco wyższy. Również w sferze poglądów dużo ich łączyło.

Pozostający przy stole goście z uznaniem pokiwali głowami. Większość z nich już należała do NSDAP i gorąco proklamowała politykę partii.

Frank zamierzał dodać coś jeszcze, ale dźwięki dobywające się z gramofonu poczęły przyciągać kolejnych gości. Obrośnięty pnąciami różami taras w mig zapelniał się zwolennikami płasów. Wreszcie i sam jubilat podniósł się i wyszedł zaczerpnąć powietrza. Jego żona zdążyła już znaleźć godnego siebie partnera i teraz głośno się śmiała, rytmicznie podrygując. Jej długa bordowa sukienka podskakiwała wraz z każdym jej ruchem, a niewielkie fałdki na ciele Any falowały w rytmie walca. Dla Andersa taniec mógł nie istnieć. Od wysiłku fizycznego wołał ten intelektualny i na przestrzeni lat widać było tego efekty.

Nela i Wilhelm nie schodzili z parkietu. Tu czuli się znacznie swobodniej niż pośród wścibskich spojrzeń gości. Nawet obejmując się, nie zwracali na siebie niczyjej uwagi.

– Może chcesz odpocząć? – zainteresował się Wilhelm, spojrzawszy na narzeczoną.

– Muszę się czegoś napić – odparła.

Gdy wrócili do stołu, Wilhelm nalał wody do jej szklanki i napełnił alkoholem swój kieliszek. Siedzący przy stole goście ochoczo dołączyli do toastu. Później jeszcze kilka razy go powtórzono. Zimne przekąski szybko zniknęły ze stołu. Wreszcie Marta zebrała brudne nakrycia i rozłożyła czyste talerze. Później z pomocą innych służących postawiła na stole półmiski z pieczoną dziczyzną i klopsiem z wieprzowiny. Do tego młode ziemniaki i zasmażane buraczki z odrobiną chrzanu.

Tomas nie przyciszył muzykę, a Ana zaprosiła gości z tarasu.

Wilhelm odstawił pusty kieliszek na stół. Zakręciło mu się w głowie. Wiedział, że przesadził z ilością wypitego alkoholu, ale chciał uczcić ten wyjątkowy dzień. Jego rodzice byliby z niego dumni. Tyle zrobili, aby zapewnić mu dobre wykształcenie i start w dorosłość. A teraz małżeństwo z najlepszą partią w mieście. Nie mógł trafić lepiej.

– Mogę się odświeżyć? – zapytał Wilhelm, patrząc na narzeczoną.

– Oczywiście – przyznała i już nachylała się do Tomasa, by zapytać, czy pójdzie z Wilhelmem na górę.

– Ty chodź ze mną – poprosił narzeczony.

– Wili... A co jak rodzice zobaczą? – szepnęła, przysuwając się do niego.

– Przecież nawet na nas nie patrzą – zauważył i zanim Nela zarzuciła go kolejnymi wątpliwościami, chwycił jej dłoń i pociągnął ją za sobą. – Zaraz wracamy. – Mrugnął porozumiewawczo do siedzących najbliżej rówieśników.

Nela wykrzywiła usta, ale nie zabrała swej dłoni. Szybkim krokiem wyszli z salonu i nie oglądając się za siebie, weszli na długie dębowe schody wyłożone dywanem z motywem kwiatowym. W mig je pokonali i ukryli się za

drzwiami pokoju dziewczyny.

Gdy weszli do środka, Nela zrzuciła buty i usiadła na łóżku.

– Nareszcie chwilę sami – zauważył Wilhelm. – Wiesz, że wyglądasz zjawiskowo? – Spojrzał na nią, a w jego oczach załśniło pożądanie.

Znała to spojrzenie. Nieraz tak na nią patrzył. Od dawna przyciągali się jak magnes. Odkąd Wilhelm zaczął mówić o oświadczeniach, dążyli do tego, by nieco bardziej okazywać sobie uczucia. Uwielbiali chodzić do kina, bo tam bez wścibskich spojrzeń mogli się trzymać za ręce, a tuż przed pojawieniem się na ekranie napisów, gdy wokół panowała ciemność, mogli się pocałować.

– Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje – wyjąwała, nie uciekając od jego dotyku.

– Za kilka miesięcy już nic nam nie przeszkodzi w tym, żebyśmy byli razem.

– Już nie mogę się doczekać.

– Za długo czekałem z tymi oświadczeniami.

– Dlaczego zwlekałeś?

– Nie byłem pewien, czy twoi rodzice zgodzą się na nasz związek.

– Dlaczego?

– Ja od dawna interesowałem się polityką i wiedziałem, jak ważna jest dla twojego ojca, ale moi rodzice nie chcieli się do niej mieszać. Wolą być obserwatorami, co bardzo mnie drażni, bo uważam, że człowiek powinien stawiać sobie wyzwania i uparcie do nich dążyć. Nie można być nijakim, bo życie przemknie przed nosem.

Lubiła go słuchać i patrzeć, gdy się czymś emocjonował. Niewątpliwie taką iskrę rozpałała w nim polityka, choć Nela lubiła też myśleć, że i ona miała w tym swój udział.

– Najważniejsze, że odważyłem się zapytać, a twoi rodzice nie odmówili mi twojej ręki.

– Całe szczęście, bo w innym razie mieliby starą pannę w domu. – Roześmiała się perlistym śmiechem.

Wtedy Wilhelm nachylił się nad nią i delikatnie pocałował jej usta. Nie odepchnęła go, więc coraz mocniej ich smakował, nieco je rozchylając, by wślizgnąć się do środka. Ta słodycz sprawiła mu przyjemność, dlatego zapragnął pójść dalej. Powoli popchnął narzeczoną na łóżko.

– Nie... – natychmiast zaprotestowała. – Nie możemy.

– Przecież nic złego nie robimy – wyjaśnił. – Jesteśmy prawie małżeństwem.

– Prawie – podkreśliła, kładąc dłonie na jego torsie. Natychmiast poczuła ciepło jego ciała, które przyprawilo ją o drżenie rąk. – Wiesz, że gdyby ojciec nas przyłapał, to wpadłby w szal.

– Twój ojciec zajęty jest gośćmi na dole, więc na pewno nie dostrzeże, że nas nie ma.

– Wili... wytrzymałiśmy tyle, to damy radę zaczekać jeszcze trzy miesiące.

– Dlaczego ty jesteś tak piękna? Nie mogę przestać o tobie myśleć – oznajmił, głaszcząc jej jasne kosmyki, które pod wpływem tanecznych płasów powysuwały się z misternego upięcia.

– Wili, proszę, wracajmy – nalegała Nela coraz bardziej zagubiona w sytuacji. – Nie chcę kłopotów.

– Wiesz, że cię kocham i nie potrafię przestać o tobie myśleć... Tak bardzo cię pragnę – wyjaśnił i mocno do niej przywarł, niemal przygniatając ją swoim ciałem.

Usiłowała odwrócić twarz, by uniknąć pocałunku, na który straciła ochotę, ale Wilhelm jednym silnym ruchem przekreślił jej głowę tak, by dosięgnąć jej ust.

– Wili, nie... – szepnęła, zanim zakrył jej usta pożądliwym pocałunkiem.

– Kochanie, daj spokój, już teraz nie musisz udawać cnotki – oświadczył, wciąż się z nią siłując. – Do pewnego momentu to było nawet słodkie, ale ile można?

– Proszę... – powtórzyła, starając się zapanować nad ciszącymi się do oczu łzami.

Narzeczoną znowu zakrył jej usta pocałunkiem, ale nie czuła już w nim miłości, tylko zwierzęce pożądanie. W tej samej chwili uświadomiła sobie mocny napór w okolicach podbrzusza. Kiedyś odważyła się zapytać o to Klarę. Długo się śmiały, zanim zaczęły wymieniać się wiedzą na temat męskiego przyrodzenia. Żadna z nich nigdy go nie widziała, dlatego ich wyobrażenia miała spore pole do popisu. A teraz czuła je na sobie i nie było jej z tym dobrze.

Miała wrażenie, że się dusi, a wokół brakuje powietrza. Wyrывała się, ale jej ciało nie miało na tyle siły, by się przeciwstawić silnemu mężczyźnie. Czuła na sobie jego dłonie prześlizgujące się w dół. Jej pomięta sukienka odsłaniała cienkie pończochy podtrzymywane przez pas. Na co dzień rzadko go zakładała, ale do wieczorowej sukni był wręcz obowiązkowy. Spocona dłoń Wilhelma wędrowała wciąż do góry. Dopiero teraz w jego oddechu poczuła alkohol. Najwidoczniej to on go tak ośmielił. To jednak dawało Neli jakąś możliwość. Zebrała się w sobie i z całej siły uderzyła męczyznę w tors.



- Przestań! – Spojrzał na nią zaskoczony. – To boli!
- To ty się uspokój – odparła i raz jeszcze z całej siły uderzyła pięściami w jego klatkę piersiową.
- Mówiłem, żebyś przestała! – syknął, odchylając się do tyłu, by uniemożliwić jej kolejny atak.
- Zostaw mnie w spokoju – warknęła, zbierając w sobie siłę.

Mężczyzna począł rozmasowywać obolałe miejsce.

Wykorzystała moment i zeskoczyła z łóżka, starając się obciągnąć sukienkę i wyprostować powstałe zagniecenia. Głośno przy tym dyszała, jakby dopiero co pokonała dystans z domu na wybrzeże. Kątem oka co rusz spoglądała na narzeczonego. Jego pobladła twarz wskazywała na to, że rzeczywiście cierpiał, a jasne zmierzwiłone włosy opadały na czoło oblane zimnym potem.

- Co się dzieje? – spytała odruchowo, jakby to, co się przed chwilą wydarzyło, odeszło w zapomnienie. – Kiepsko wyglądasz.

- A jak mam wyglądać, jak mnie okładasz pięściami? – sarknął nieco głośniej.

Niespodziewane pukanie do drzwi przerwało rozmowę.

- Kto tam? – spytała Nela, starając się zapanować nad drżeniem w głowie.

- Nelcia, wszystko w porządku? – upewniła się Klara.

- Tak – skłamała i podskoczyła do drzwi, by wpuścić przyjaciółkę.

- Szukałam cię, bo zaraz wjedzie tort dla twojego taty – wyjaśniała, wchodząc do środka. – Wszystko w porządku? – ponowiła pytanie, widząc nietęgę miny przyjaciółki i jej narzeczonego.

- Wili trochę słabo się czuje i właśnie zbiera się do wyjścia – podchwyciła Nela, wyczekując patrząc na mężczyznę.

- Może ktoś powinien cię odwiedzić? – zaproponowała Klara, widząc ból odmalowany na twarzy Wilhelma.

- Wystarczy, że wezwiecie mi dorożkę.

- Odprowadzimy cię – zaferowała Klara i pierwsza chwyciła mężczyznę za ramię. – Pomożesz, Nelcia?

Ta bez słowa przeszła i ujęła drugie ramię narzeczonego.

- Biedaku, ale cię zmogło – użalała się Klara, ostrożnie stąpając po schodach.

Gdy tylko stanęli w holu, obok nich pojawił się Frank, a widząc, w jakim stanie jest przyjaciel, nie miał wątpliwości, że powinien wracać do domu. Chwycił go pod ramię i wyprowadził na dwór.

- Poradzimy sobie, wracajcie do domu, bo ojciec czeka z tortem – rzucił Frank.

Młode kobiety wróciły do środka. Nela stanęła w holu. W głowie miała mętlik. Nie potrafiła zrozumieć tego, co się przed chwilą wydarzyło. Człowiek, którego kochała, zachował się jak ktoś zupełnie obcy. Dotychczas nigdy nie widziała go w takim stanie. Najpewniej alkohol zrobił swoje.

Nie miała ochoty na zabawę. Przeprosiła ojca, wymawiając się bólem głowy, i powlokła się na górę. Leżąc w łóżku, przyglądała się pierścionkowi. Zachwycił ją od pierwszego spojrzenia, teraz jednak pojawiła się na nim niewielka rysa. Rysa, która zmieniła jego wygląd.

## Rozdział VII



### W świecie barw i emocji

Czwartkowe popołudnia na pozór nie różniły się od innych dni tygodnia. Mieszkańcy Wolnego Miasta Gdańska zatrudnieni w fabrykach, sklepach czy urzędach spieszyli do swoich domów na kolację. Zmęczeni pracą i codziennymi obowiązkami nie zawsze mieli czas i siłę, by się delektować zapachem kwitnącego jaśminu, bielą stokrotek rozsianych po trawnikach czy widokiem dumnie przężących się w stronę słońca lilii.

Jednak właśnie czwartkowe popołudnia kryły w sobie coś więcej, bo pozwalały zapomnieć o codzienności, zabierając co wrażliwszych mieszkańców miasta w świat kolorów i emocji. Na to też liczył Iwo, powolnym krokiem zmierzający w stronę kilkupiętrowego nowoczesnego budynku zaprojektowanego kilka lat wcześniej przez Romana Piotrowskiego<sup>11</sup>. Na wyższych kondygnacjach swoją siedzibę miały towarzystwa, spółki czy redakcje czasopism, ale to na parterze tętniło życie towarzysko-kulturalne, którego dzisiaj zapragnął doświadczyć Iwo Koźmiński.

Od kilku dni nie mógł pracować, bo rana postrzałowa wciąż się zagoiła. Niemal cudem nie zginął, ujawniając przemyt broni z Prus. Na szczęście był wytrawnym pływakiem i choć dosięgły go aż dwie kule wystrzelone z karabinu, to zdołał dopłynąć do brzegu, choć tak bardzo opadł z sił, że nie dał rady iść dalej. Później dzięki determinacji Rajmunda odnaleziono go leżącego na brzegu. Stracił sporo krwi, zanim trafił na stół operacyjny i lekarze wyjęli luże, które poharatały jego wnętrzności. Po tygodniowym pobycie w szpitalu mógł wreszcie wrócić do domu, ale o pracy na razie nie miał co marzyć. Usiłował więc zabić czas, sprawdzając, jakie rozrywki zapewnia okolica.

W „Dzienniku Gdyńskim”, który wpadł w jego ręce, gdy leżał w szpitalu, znalazł informację o organizowanych Wieczorach Czwartkowych<sup>12</sup>. Wcześniej nie miał czasu i sposobności, by w nich uczestniczyć, ale teraz, gdy umierał z nudów, postanowił wyrwać się z domu i przyjechać do Gdyni.

Poprawił bandaż, z którego lekarze wykonali temblak dla jego zranionej ręki i drugą, która pozostała całkowicie sprawna, pchnął przeszkłone drzwi. Wszedł do kawiarni i cukierni w jednym. W Cafe Bałtyk roilo się już od przybyłych na spotkanie gości. Dym papierosowy unosił się ponad głowami i osiadał na ubraniach, mieszając się z zapachem świeżo parzonej kawy i herbaty. Stożące za wąską ladą kelnerki uwijały się, krojąc szarlotkę i nakładając do szklanych pucharków lody śmietanowe. Z gotowymi zamówieniami zgrabnie przemykały pomiędzy klientami, którzy ochoczo dyskutowali na temat twórczości wybitnych Polaków i z tęsknotą w głosie wspominali spotkania z Melchiorzem Wańkowiczem, Magdaleną Samozwaniec czy Marią Kuncewiczową.

Iwo chłonał atmosferę, jednocześnie rozglądał się w poszukiwaniu jakichś znajomych twarzy. Rajmund miał dzisiaj popołudniową zmianę, ale nawet gdyby nie musiał iść do pracy i tak nie zgodziłby się mu towarzyszyć. Śmiał się, gdy tylko Iwo zaproponował mu wyjście na dzisiejsze spotkanie, twierdząc, że nie rozumie sztuki i nie zamierza się nią katować.

Iwo czekał na swoją kolej, by złożyć zamówienie, najwidoczniej jednak jego zabandażowane ramię wzbudziło litosc w mijającej go kelnerce, bo zapytała, co może mu podać.

I tak chwilę później zmierzał w głąb sali, niosąc szklankę z zimną lemoniadą, idealną na to ciepłe popołudnie. Z każdym krokiem tłum zainteresowanych dzisiejszym odczytem gęstniał. Wiele osób stało, bo wszystkie miejsca przy stolikach były zajęte. Właściciel kawiarni dostawił pod ścianą kilkanaście krzeseł, które natychmiast się zapełniły.

– Przejdź pan dalej, bo nam tu padniesz – odezwał się barczysty mężczyzna w cienkiej, jasnej marynarce, który z litością patrzył na Iwa.

– Nie trzeba. Postoję – oponował młodzian.

– Nie tacy nie wystali całego spotkania. Lepiej pan siadaj i nie marudź – dodał ktoś inny, stojący obok.

Iwo począł przepychać się w stronę dwóch ostatnich wolnych krzeseł. Przysiadł na jednym i nieco wyeksponował zabandażowaną rękę, żeby nie narazić się na komentarze ze strony starszych osób, które musiały stać.

Wreszcie rozległy się oklaski i na parkiecie pojawił się szczupły, wysoki blondyn w okularach, organizator spotkania Zygmunt Cywiński<sup>13</sup>. Iwo z zainteresowaniem oczekiwał zapowiadanego gościa. Gdy ten wreszcie wyszedł, zgromadzeni powitali go brawami. Starszy mężczyzna z głową przyprószoną siwizną przysiadł na krześle i cichym głosem opowiadał, jak rozumie równość człowieka. Słowa płynęły z jego ust niczym fala chcąca dotrzeć do brzegu, by na nowo wezbrać i ze zdwojoną siłą ponownie uderzyć.

Iwo chłonał jego słowa. Po dwóch latach pracy na granicy doskonale rozumiał w czym rzecz. Wcześniej nie miał pojęcia, jak wygląda życie Polaków w tym miejscu. A przecież traktat wersalski i konstytucja Wolnego Miasta Gdańska gwarantowały wszystkim jego mieszkańcom równość.

Dopił resztę lemoniady. Kelnerka przechodząca obok spojrzała na jego szklankę, poprosił więc o dolewkę. Nawet nie spostrzegł, gdy minęły dwie godziny, odkąd wszedł do kawiarni.

Wreszcie Cywiński zakończył wykład, a publiczność podziękowała mu owacjami na stojąco. Później kolejne osoby podchodziły do mężczyzny i ściskając jego dłoń, dziękowały za wszystkie słowa. Iwo nie zdobył się na odwagę, by podejść. Z daleka obserwował topniejący tłum, czując, że to, co robi prelegent, ma sens. Polska zasługuje na jedność i suwerenność. Mieszkający w okolicy polscy artyści nie są gorsi od tych, którzy mieszkają w głębi kraju, dlatego więc oni narażeni są na szykany? Dlaczego coraz trudniej jest im wyjść na ulice miasta, w którym przyszli na świat?

– A pan coś przeszkrobał, że po łapach tak dostał? – Z zamyślenia wyrwał go głos, który już usłyszał tego wieczoru.

– Wypadek przy pracy – oświadczył wymijająco.

– Jakos ostatnio tych wypadków coraz więcej – powiedział Cywiński.

– Takie niespokojne czasy...

– Słyszał pan o naszych kolejarzach?

– Ostatnio leżałem w szpitalu i nie bardzo wiem, co się dzieje.

– Schupo wchodzi do domów i zabiera kolejarzy, jak stoją, a potem przez wiele godzin przesłuchują jakoby pod zarzutem szpiegostwa przeciwko Rzeszy.

– To przecież kpina.

– Pan to wiesz i ja to wiem, ale nie niemieckie psy, które w ten sposób paraliżują ruch tranzytowy na linii Rzesza-Prusy, a później oskarżają Polskę o to, że nie potrafi zapewnić płynności w przepływie towarów pomiędzy nimi.

– To jakiś obłąd!

– I to niemały, dlatego cieszy, że tacy młodzi ludzie jak pan widzą ogrom zagrożenia ze strony Rzeszy i biorą udział w takich spotkaniach, by mieć świadomość, do czego to wszystko może doprowadzić, jeśli władze naszego kraju wciąż będą wierzyć w czcze zapewnienia Hitlera, że nic nam nie grozi.

– Wiem, co ma pan na myśli... Jestem funkcjonariuszem celnym i widzę, ile broni szmugluje się przez Prusy.

– A widzisz pan, czyli to święta prawda... Meldujecie o tym waszemu dowództwu?

– Za każdym razem, ale oni nic z tym nie robią.

– Jak się mleko rozleje, to już nic nam nie pomoże – zasmucił się Cywiński. – Przychoź pan częściej. Im nas więcej, tym lepiej.

Iwo uściśnął dłoń malarza i wyszedł z kawiarni. Kotłujące się w jego głowie myśli prowadziły go nad morze. Szedł wzdłuż głównej drogi, licząc na to, że łatwiej będzie mu znaleźć dorożkę, by wrócić do Gdańska.

W niewielkim parku, na trójkątnym skwerku z ławkami skrytymi pośród listowia, siedział staruszek karmiący gołębie, których wciąż przybywało. Dreptały wokół jego stóp, bez skrępowania wydziubując wysypane dla nich okruszki. Gołębie klóciły się ze sobą o każdą okruszynę, jednocześnie gotowe poderwać się do lotu, gdy tylko dostrzegą zagrożenie.

Iwo zwolnił kroku, gdy zauważył zbliżające się w kierunku gołębi dzieci. Chłopiec dopiero co nauczył się biegać, a dziewczynka wciąż jeszcze nie opanowała sztuki prowadzenia kółka przy użyciu patyka. Obydwoje już mieli przy kołnierzykach przypięte swastyki. W pewnej chwili dzieci nabrały piasku w dłonie i rzuciły je wprost pod nogi ptactwa, które w pierwszym odruchu dopadło do niego, myśląc o jedzeniu. Dopiero po chwili gołębie zorientowały się, że zostały oszukane. Małe dzieci ze swastyką zagrały na dziobach starym gdańskim gołębiom.

Iwo ruszył dalej. Przeszedł na drugą stronę ulicy, by pozostać w cieniu drzew, i właśnie wtedy dostrzegł nadjeżdżającą dorożkę. Woźnica natychmiast zareagował na podniesioną rękę mężczyzny i zatrzymał konia. Po chwili ruszyli w stronę Gdańska.

Do odjazdu kolejki pozostało jeszcze pół godziny, dlatego Iwo wysiadł kawalek przed stacją, by móc się przespacerować ulicami Gdańska. Właśnie uregulował należność z woźnicą i stanął na ulicy, gdy wśród przechodniów wyłowił zmierzające w jego stronę dwie postacie. Jedna z nich wydała mu się znajoma. Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją spotkał, ale gdy tylko podszedł bliżej, nie miał wątpliwości, kim jest.

– Dzień dobry – przywitał się płynną niemiecką.

Stojąca naprzeciwko niego para się uśmiechnęła.

– Aż tak bardzo wtedy pan ucierpiał? – spytała Nela na powitanie.

– Nie, to zupełnie inna sprawa – wyjaśnił, nieco podnosząc zabandażowane ramię. – Ale jest już prawie dobrze. Lekarze naprawdę świetnie się spisali.

– Przyciąga pan kłopoty.

– To raczej one się do mnie pchają drzwiami i oknami. Choć, jak się okazuje, czasem może też wynikać z tego coś dobrego – dodał, patrząc na nią wymownie. – Pewnie inaczej nigdy bym panią nie spotkał.

Nela ponownie się uśmiechnęła, nieco skrępowana otwartością nowego znajomego odruchowo przeczesala palcami splecione włosy, których nie ochronił noszony na głowie kapelusz. Tego dnia słońce wyjątkowo mocno świeciło, dlatego jej zwykle blada twarz mocno się przyrumieniła, gdzieniegdzie odsłaniając jasne piegi. Stojący obok niej chłopak odchrząknął, przypominając o swojej obecności. Nela natychmiast powróciła do rzeczywistości.

– Przepraszam, nie przedstawiłam panu mojego brata – przypomniała sobie nagle. – Mój młodszy brat, Tomasz.

– Tak naprawdę to ja też się nie przedstawiłem – zauważył Iwo i szybko zdjął kapelusz z głowy, po czym przełożył go do zabandażowanej ręki i dopiero wówczas wyciągnął dłoń w stronę dziewczyny. – Iwo Koźmiński – powiedział zdecydowanym głosem, po czym podniósł i ucałował dłoń dziewczyny, nieco zbyt długo się jej przyglądając.

– Nela – przedstawiła się i uśmiechnęła promiennie.

Wreszcie cofnęła dłoń, a Iwo wyciągnął prawą rękę do chłopaka i ponownie wymienił swoje imię. Tomasz lekko odwzajemnił uścisk.

– Nie chcę cię pobrudzić – przyznał, pokazując obie dłonie. – Wracamy znad morza.

Dopiero wtedy Iwo zwrócił uwagę na dużych rozmiarów blok rysunkowy wetknięty pod pachę Tomasa i kosz niesiony przez Nelę.

– Tomasz przygotowuje szkice na studia artystyczne, na które we wrześniu wyjedzie do Paryża.

– Robię swoje portfolio – przyznał młodszy brat Neli, który był do niej bardzo podobny, choć w przeciwieństwie do siostry jego włosy lśniły ciemną barwą.

– Tomasz kocha malować krajobrazy – tłumaczyła. – Choć ja uwielbiam patrzeć na tworzone przez niego portrety. Potrafi wyjątkowo dobrze dostrzec piękno człowieka i uchwycić jego wnętrze.

– Natura jest wdzięczniejszym modelem... – zauważył chłopak.

– Ale też bardziej wymagającym, dlatego zanim powstanie obraz, najpierw kilka razy go szkicuje na papierze.

– Fascynujące, choć chyba żmudne zajęcie? – zapytał Iwo.

– Nie, jeśli to, co robisz, ma dla ciebie głęboki sens – przyznał Tomasz.

– Racja – potwierdził Iwo i nagle znów się znalazł na wybrzeżu pośród świstających obok niego wystrzałów karabinów. Pewnie ktoś inny już dawno spakowałby swoje rzeczy i uciekł w głąb kraju, licząc na posadę w bezpiecznym miejscu. On jednak nie potrafił ot tak odejść.

– A ja dzięki bratu nie nudzę się w domu i podziwiam uroki wybrzeża.

– To prawda. Znamy je już na wylot – zauważył Tomasz. – Ile razy można malować ten sam widok...

– W takim razie zapraszam nad Zalew Wiślany. Na pewno znajdziecie wiele wyjątkowych miejsc.

– A wiesz, że nigdy tam nie byliśmy? – przyznała Nela i postawiła koszyk, który najwyraźniej nieco jej ciążył.

– W takim razie musicie jak najszybciej to nadrobić. Zapraszam do Stutthof<sup>44</sup>. Tu niedaleko jest dworzec, więc łatwo dostaniecie się na miejsce kolejką wąskotorową.

– Tam nie jest niebezpiecznie? – zainteresowała się Nela. – Podobno przy granicy Polacy napadają na Niemców, grabią i plądrują ich majątki.

Iwo szeroko otworzył oczy. Dotychczas nigdy nie spotkał się z czymś podobnym. Rzeczywiście zdarzały się ataki Polaków, ale przede wszystkim w odwecie za prowokacyjne zachowania Niemców, których mieszkala tu przytłaczająca większość.

– Nigdzie nie jest spokojnie, ale u nas są naprawdę piękne widoki i nawet społeczne nieporozumienia nie są w stanie ich zasłonić – spróbował zażartować.

Zdawał sobie sprawę z tego, że jego polskie korzenie nie zjedną mu przyjaciół wśród Niemców, a nie miał najmniejszych wątpliwości, że Nela i Tomasz reprezentowali ten naród. Obydwoje mówili płynną niemiecką, choć to akurat i on potrafił. Wiele lat nauki języka, a po przybyciu do Sztutowa codzienny kontakt z Niemcami przynosił efekt, którego sam się nie spodziewał.

– W takim razie czujemy się zaproszeni – podchwycił Tomas, okraszając swoją decyzję szerokim uśmiechem. – Przed wyjazdem na studia muszę zgromadzić jak najwięcej szkiców, bo później pozostanie mi tylko obraz paryskich budynków i ulic, a nie zamierzam ich malować.

– Nawet jeśli profesorowie tego zażądatają? – przestraszyła się dziewczyna.

– Tylko wtedy – zapewnił. – Ale chcę im pokazać coś więcej... Naszą ojczyznę.

– Ojczyznę... – powtórzył Iwo niczym zahipnotyzowany.

– Tutaj się urodziłem, Danzig to mój dom – dodał. Otworzył szkicownik i pokazywał mężczyźnie kolejne widoki wybrzeża oraz miasta.

Iwo z zaciekawieniem oglądał prace, tylko jedna myśl nie dawała mu spokoju. Czyżby chłopak chciał go sprowokować?

– Niektórzy uważają, że całe Wybrzeże powinno wrócić do Rzeszy. – Zawiesił głos gdzieś pomiędzy pytaniem a stwierdzeniem.

– Nasi rodzice dokładnie tak sądzą – przyznał Tomas. – Ale dla mnie nieważna jest przynależność terytorialna. Liczy się to, co nas łączy z danym miejscem. Ja nie wyobrażam sobie życia poza tym miejscem, dlatego odwlekałem wyjazd na studia. Myślałem, że tu u nas wreszcie otworzy się jakaś akademia sztuki, ale choć o tym coraz głośniejsze, to matka nie chce czekać i woli wysłać mnie w świat.

– To dla ciebie olbrzymia szansa – przekonywała Nela. – Poznasz środowisko. Będziesz mógł się uczyć od największych artystów. Nawiądziesz znajomości, które otworzą ci wiele drzwi.

Tomas głośno westchnął, bo widocznie nie to stanowiło dla niego największą wartość. Iwo jednak nie chciał zachęcać do kolejnej dyskusji. Póki co niewiele wiedział o tym rodzeństwie, choć miał ochotę poznać je znacznie lepiej.

– To co, najbliższa sobota? – zasugerował.

– Sobotni plener bardzo mi pasuje – przyznał Tomas.

– Liczę na to, że dołączysz do brata – zagaił Iwo.

– Postaram się – stwierdziła Nela, mając nadzieję, że ani ojciec, ani Wilhelm nie będą mieli nic przeciwko.

– Muszę już uciekać, bo maszynista na mnie nie zaczeka. – Iwo uściśnił na pożegnanie dłonie nowych znajomych. Później włożył kapelusz i skierował się w stronę stacji kolejki wąskotorowej, którą zamierzał dotrzeć do domu.

Nela chwyciła odstawiony na bok koszyk i ruszyła w ślad za odchodzącym Tomaszem.

– Będę czekał na was na stacji przed południem – dodał Iwo, gdy odszedł kilka kroków.

Para pomachała mu na znak, że zrozumiała, a Iwo podreptał w swoją stronę. Tak miłego popołudnia nawet się nie spodziewał. Poklepał swoje zabandażowane ramię i raz jeszcze zerknął za odchodzącymi, zastanawiając się, czy zbyt pochopnie nie oceniał narodu niemieckiego. Ani Nela, ani Tomas nie wyglądali na zajadłych nazistów.

Nagle przyszło mu do głowy jeszcze jedno, znacznie ważniejsze pytanie. Kim był narzeczony Neli? Przecież dokładnie widział pierścionek zaręczynowy, gdy całował jej dłoń...

## Rozdział VIII



### Wiatr od morza

Błękitne niebo sięgające hen za horyzont łączyło się z zielenią pól obsianych zbożem i obsadzonych burakiem cukrowym, który nadawał tej ziemi wyjątkowej słodyczy. Drobne poszarpane obłoczki od czasu do czasu przysłaniały ciemny dym buchający wprost z żelaznego brzucha lokomotywy ciągnącej kilka przyczepionych do niej wagonów. Siedzący w nich nieliczni o tej porze pasażerowie pochłonięci byli rozmową o tym, co widzieli, zanim wsiedli do pociągu.

W kiosku na dworcu doszło do przykrego incydentu. Czekaający na odjazd pasażerowie widzieli, jak Schupo zabrała z niego wszystkie polskie gazety. Mężczyzna, który w obstawie funkcjonariuszy dokonał tego zawłaszczenia, nawet nie znał języka polskiego, choć przedstawił się jako urzędnik z wydziału do spraw cenzury. Polskiemu sklepi-karzowi po niemiecku wyjaśnił, kim jest. Palcem przeskakiwał z gazety na gazetę, szukając w jej treści słów: Gdańsk, Hitler czy Niemcy. To wystarczyło. Gdy dumny z siebie wyszedł z dworca, w kiosku pozostały jedynie pisma dla dzieci, tygodniki sportowe i „Praktyczna Pani”. Nawet „Bluszcz”<sup>15</sup> skonfiskowali.

Nela nie pojmowała w czym rzecz. Widocznie jednak urzędnik od propagandy znalazł coś, co uznał za zagrożenie dla Trzeciej Rzeszy. Od jakiegoś czasu miała wrażenie, że takich sytuacji jest coraz więcej. Nie nadążała za nimi, ale wiedziała, że wszystkie irytowały jej ojca, który uwielbiał przywoływać te sprawy przy wspólnych kolacjach. Cóż z tego, że ani ona, ani Tomasz nie chcieli tego słuchać. Zawsze potem bała się wyjść na ulicę, myśląc, że zaatakuje ją jakiś oszalały Polak.

– Pamiętasz, co mamy powiedzieć, gdyby ojciec zapytał, gdzie dzisiaj szkicowałeś? – upewniła się, przypatrując się bratu, który nie odrywał oczu od widoku za oknem.

– Mogę kłamać, ale przecież on się domyśli, gdzie byliśmy, gdy tylko zobaczy moje prace.

– To wcale ich nie pokazuj.

– W sumie ojca i tak to nie interesuje – oświadczył, nie kryjąc zawodu.

– Nie mów tak. On po prostu nie rozumie sztuki tak dobrze jak mama.

– On nie rozumie niczego oprócz polityki... i nic innego go nie obchodzi...

– Najważniejsze, że masz wsparcie w mamie. – Nela poklepała go po ramieniu, przysuwając się nieco bliżej na drewnianym siedzeniu. – I we mnie – dodała.

– Pewnie, gdyby nie małżeństwo, mieszkała byś w Paryżu i rozwijała swój talent.

– Ale teraz to ty dostałaś tę szansę i musisz zrobić wszystko, by dobrze ją wykorzystać.

– Wiesz, z czego cieszę się najbardziej? Że zejdę ojcu z oczu... Już nie będzie na mnie patrzył jak na nieudacznika.

– Przesadzasz – zaprotestowała, choć doskonale rozumiała rozgoryczenie brata. – Jesteś wyjątkowy.

– Jestem kimś zupełnie innym, niż chciałby mnie widzieć ojciec.

Trudno było jej znaleźć argumenty, którymi mogłaby usprawiedliwić oziębłość i zbyt częste milczenie ojca wobec najmłodszego syna. Potrafiła dostrzec jego nadopiekuńczość wobec niej i najstarszego syna. Może właśnie dlatego miała wyrzuty sumienia i starała się Tomasa otoczyć opieką, by dać mu wsparcie, którego nie doświadczył ze strony ojca.

– Nie myśl o tym. Dzisiaj masz inny cel – przekonywała. – Tylko nie piśnij słówka mamie, bo cała konspiracja na nic.

– Wiesz, że ona natychmiast zauważy, że to nie nasza zatoka?

– To pokaż jej jakieś stare prace, a w przyszłym tygodniu napomknij, że wybierasz się na poszukiwania inspiracji.

– A ty?

– Ja umówię się z Klarą.

Chłopak pokiwał głową z uznaniem. Siostra nieraz potrafiła uratować mu skórę, kłamiąc przed rodzicami. Obydwoje doskonale wiedzieli, że matka, a tym bardziej ojciec nie pozwoliliby jej na tę wyprawę. Każde inne miejsce niż Danzig traktowali jak głęboką dzicz, w której roi się od niebezpieczeństw, zwłaszcza ze strony Polaków.

Pociąg właśnie zahamował i zatrzymał się na stacji Stutthof. Nela chwyciła koszyk, w którym oprócz przyborów do szkicowania znalazł się całodzienny prowiant.

Tomas jako pierwszy stanął na niewielkiej stacji i pomógł Neli wysiąść z pociągu. Dzisiaj obydwójce włożyli spodnie i trykotowe bluzki z krótkim rękawem. Nela przerzuciła przez ramiona sweter, który wzięła na wypadek, gdyby się schłodziło. Tomas poprawił kanotier<sup>16</sup> na głowie, który nieco się przekrzywił przy wysiadaniu przez wąskie drzwi wagonu.

– Już myślałem, że nie przyjedziecie – powitał ich Iwo, gdy tylko ich dostrzegł.

– Takiego zaproszenia nie mogłem odrzucić – przyznał Tomas, wyciągając dłoni.

– Serwus – odezwała się Nela.

– Pomogę ci – zaproponował Iwo, wyjmując koszyk z jej rąk.

– A gdzie twój bandaż? – zainteresowała się, powoli idąc w stronę wyjścia z peronu.

– Już czas najwyższy, żeby się go pozbyć. Tylko mi przeszkadzał i wzbudzał niepotrzebne zainteresowanie.

– Sama jestem ciekawa, co zmagistrowałaś, że aż tak cię potraktowano.

– Nie warto o tym mówić. – Iwo machnął ręką. – Lepiej pokażę wam miejsce, o którym myślałem.

Ruszyli kamienistą drogą, wzdłuż której stało kilkanaście niewielkich drewnianych domów z bielonymi okiennicami. Pośród nich dumnie górowały murowane domostwa, które latem mieściły sporą liczbę letników.

Po chwili zabudowania zaczęły się przerzedzać, a droga zmieniła się w bity trakt po bokach zarośnięty wysoką trawą. Rosnące po jednej stronie drogi drzewa dawały chłód, bo słońce z każdą minutą grzało coraz mocniej.

Nela zdjęła z ramion sweter i wsunęła go do koszyka, wyjęła za to swój słomkowy kapelusz. Iwo tłumaczył Tomaszowi, że zaledwie kilka kilometrów stąd znajduje się miejscowość Stegny, która z każdym rokiem zyskiwała na popularności wśród letników i już dorobiła się miana uzdrowiska.

W końcu dotarli nad zalew. Iwo poprowadził ich wzdłuż brzegu, pokazując, w których miejscach w trzcinowiskach porastających brzegi swoje gniazda mają czaple, żurawie, perkozy, łabędzie czy kormorany. Goście z uwagą przysłuchiwali się opowieściom ich gospodarza. Nela podążyła wzrokiem za każdym razem, gdy Iwo wymienił nazwę któregoś z ptaków. Tomas co chwila przystawał i twierdził, że to tutaj chce zostać i szkicować, po czym szedł w inne miejsce i robił to samo.

– Tutaj miałbym co robić przez całe lato – zachwycał się.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś tu zaglądał tak często, jak zechcesz – zapewnił Iwo zadowolony z siebie, że zdołał zaspokoić oczekiwania młodego artysty.

Wreszcie mogli rozłożyć zabrane przez Nelę koc. Tomas natychmiast zbliżył się do brzegu i wprawnymi ruchami ręki zaczął szkicować obraz. Zdawał się nie dostrzegać niczego innego. Mrużył oczy przed oślepiającym słońcem, ale nie rezygnował. Od dawna nie odczuwał takiej ekscytacji. W tej chwili nie liczyło się nic innego.

Nela usiadła na kocu i zdjęła buty. Nie zabrała kostiumu kąpielowego, choć teraz poczuła ochotę, by się orzeźwić. Może i była pruderyjna, w dodatku towarzystwo obcego mężczyzny peszyło ją jeszcze bardziej. Nie potrafiłaby leżeć obok niego roznegliżowana. Zamiast tego odłożyła sweter i rozpięła dwa guziki bluzki, a potem podwinęła nogawice szerokich spodni. Dopóki siedziała, nie musiała się obawiać, że opadną. Twarz odwróciła od słońca. Zdążyła się już przyzwyczaić do pojawiających się na jej czole i nosie piegów.

– Czym się tutaj zajmujesz? – odezwała się.

Iwo spojrział na nią zaskoczony. Wiedział, że prawda nie przyniesie niczego dobrego, a jednak nie zamierzał kłamać.

– A co można robić w tak małej miejscowości? – Zaśmiał się, odwołując chwilę prawdy.

– Łowić albo zbierać – odpowiedziała odruchowo.

– Dokładnie – podjął. – Łowię i zbieram – powtórzył, nie precyzując.

– Cała twoja rodzina to rybacy?

– Pochodzę z Kujaw. Tam zostawiłem bliskich, a tu przyjechałem za chlebem.

Przez chwilę w milczeniu śledzili płynące po niebie chmury. Małe obłoki gonily te duże, naburmuszone, opasłe, chcąc brać z nich przykład w przyszłości. Taka już była kolej rzeczy, że młodzież czerpie wzorce z dorosłych.

– Ja nie umiałabym żyć bez najbliższych – przyznała, okręcając wokół palca kosmyk włosów tuż nad uchem. – Nawet na wakacje jeździmy zawsze razem.

On nawet nie marzył o podróżach w czasie lata. Wtedy na Wybrzeżu było najwięcej pracy. Tych kilka dni urlopu, które mu się należały, brał wtedy, gdy w jego rodzinnych Niwach rozpoczynały się żniwa. Tak spędzał czas z rodziną, której zawdzięczał edukację. I choć jego starszy brat został na roli, Iwo wciąż czuł, że niedostatecznie spłacił dług wobec najbliższych, którzy odmówili sobie wielu przyjemności, aby to właśnie on mógł zdobyć wykształcenie.

– Bardzo tęsknię za rodziną – przyznał. – Ale na razie nie wracam na wieś.

– I całe szczęście, bo któżby nam pokazał tak cudowne miejsca?

Przez chwilę siedzieli w ciszy, delektując się powiewem ciepłego wiatru i widokiem przybrzeżnej roślinności. Wreszcie Nela wyjęła butelkę z wodą, wzięła łyk, po czym podała ją chłopakowi. Ten przejęty wizytą zapomniał o zabraniu picia z domu, więc teraz nie odmówił. Później Nela położyła się i przymknęła powieki. Nie zamierzała spać, ale jej ciało ogarnęło błogie lenistwo. To dziwne, ale w obecności tego chłopaka czuła się bezpieczna. Wciąż jeszcze nie zdecydowała, co powinna zrobić ze swoim życiem. To ją przytłaczało. Miała wrażenie, że od przyjęcia urodziny ojca nie żyje swoim życiem, a jedynie ogląda je przez szybę. Dzisiejsza wycieczka przyniosła zapomnienie.

– Czym się zajmujesz na co dzień? – Iwo przerwał ciszę.

Usłyszała pytanie, ale nie otworzyła oczu, zastanawiając się, co powinna odpowiedzieć. Nigdy wcześniej nikt jej o to nie zapytał. Jej znajomi wiedzieli o niej wszystko. Nie musiała się tłumaczyć. Rzadko poznawała kogoś nowego, a jeśli już, był to ktoś, kto znał jej braci albo Wilhelma.

– Chyba... niczym specjalnym – wyjaśniła cichym głosem.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał. – Jeśli nie chcesz mówić, to nie nalegam – dodał w obawie, by nie potraktowała go jak impertynenta.

– Niedawno skończyłam szkołę pielęgniarstwa, ale nie zatrudniłam się w szpitalu.

– To dlatego tak fachowo udzieliłaś mi pomocy, gdy tamci nas obili.

– Cóż, byliście w oplakany stanie.

– Wiem, ale to nie była nasza wina.

– A właściwie o co wtedy poszło? – zainteresowała się niespodziewanie.

Spojrzała na nią z obawą. Prawda nie była w tej chwili potrzebna.

– Mieliśmy inne poglądy na to, kto pierwszy powinien wejść na most – skłamał.

– Nigdy nie zrozumieję mężczyzn. Wystarczy iskra, a wy palicie za sobą niejednego most.

Znowu umilkli, wystawiając twarze do słońca.

Kiedy godzinę później zjawił się Tomas, najpierw wspólnie obejrzeni jego szkic, a później Nela rozpakowała koszyk i zjedli zabrany przez nią prowiant. Iwo nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek jadł tak pyszną pastę jajeczną z odrobiną chrzanu i koperkiem. Każdy kolejny kęs przenośli go do świata kulinarnych doznań, których tak rzadko doświadczał, pozwalając sobie na wyjście do restauracji.

Wszyscy funkcjonariusze celni wspólnie mieszkający mieli też jedną zasadę – oszczędność. Zarobione ciężką pracą guldeny ciułali dla rodzin obecnych lub przyszłych, dzieląc się między sobą obowiązkami domowymi i kosztami jedzenia. Żaden z nich nie umiał przyrządzać wyszukanych dań. Liczyło się zaspokojenie głodu. Nieraz nawet podstawowych produktów, jak ziemniaki czy mąka, nie szło kupić od niemieckich rolników. Jak się zaparli, to nic nie sprzedali zniechęconym polaczkom.

Po obiedzie przenieśli się kilkaset metrów dalej aż do ujścia Wisły Królewieckiej. Tomas z zacięciem przystąpił do rysowania. Nela, nie mogąc zapanować nad zmęczeniem, zasnęła nie wiedząc kiedy. Iwo zaś spacerował ścieżką wydeptaną wzdłuż brzegu rzeki. O tej porze dnia było tu nadzwyczaj spokojnie. Nocą to miejsce zamieniało się w zupełnie inną przestrzeń.

Złocista kula chyliła się ku horyzontowi, gdy Nela się przebudziła. W oddali dostrzegła brata rozmawiającego z Iwem. Najwidoczniej mężczyźni uznali, że czas się zbierać, bo po chwili ruszyli w jej stronę. Spakowała więc koc i puste butelki po wodzie, a potem upewniła się, ile czasu pozostało im do odjazdu kolejki.

– Chyba trochę się zapomnieliśmy – zauważyła, gdy mężczyźni stanęli tuż przed nią.

– Właśnie Iwo mi uświadomił, że jeśli nie zdążymy, to kolejny kurs dopiero jutro rano.

– Poprowadzę was skrótem – zapewnił Iwo i podniósł koszyk.

Nela nie oponowała. Wiedziała, że czeka ich szybki marsz. Bez słowa ruszyli w drogę powrotną. Szli naprawdę szybko i ani razu się nie zatrzymali nawet na krótki postój.

Iwo widział, że wszyscy byli zmęczeni, więc zamierzał zaoszczędzić im drogi, modląc się w duchu, by nikt ich nie zobaczył przechodzących obok domu, w którym mieszkał. Miał nadzieję, że koledzy, którzy nie byli na służbie, siedzieli w ogródku za domem. Wolałby nie musieć im tłumaczyć, co robi z parą młodych Niemców.



Właśnie dochodzili do wsi, gdy dostrzegli kilku wyrostków biegnących z drugiej strony. Głośno krzyczeli i mocno gestykulowali. Jeden z nich wycierał dłonie o spodnie. Tuż nad podwiniętymi rękawami koszuli widniały ciemne ślady dymu.

Iwo wspiął się na palce, by dojrzeć wynajmowany dom. Niemal natychmiast dostrzegł biały dym unoszący się nad wejściem. Cały drżał ze zdenerwowania. To już kolejny taki incydent w tym roku.

– Co się dzieje? – spytała Nela, widząc dymiący krzew forsycji.

– Jakieś szczeniaki urządziły sobie zabawę – pośpiesznie wyjaśnił. – Przejdźmy na drugą stronę drogi, żeby ubrania nie przeszły dymem, bo wtedy na pewno ściągniecie na siebie pytania rodziców – wyjaśnił, kątem oka dostrzegając najstarszego z celników biegnącego z wiadrem w stronę krzewu.

Iwo spuścił nos na kwintę i narzucił jeszcze większe tempo, choć doskonale wiedział, że się nie spóźni.

– Może w przyszłą sobotę znowu przyjedziemy – odezwał się Tomasz, gdy weszli na stację.

– Zapraszam – odparł Iwo.

– Uważaj na siebie – ostrzegła Nela.

Iwo spróbował się uśmiechnąć, by nie dać po sobie poznać, co naprawdę czuł i o czym w tej chwili myślał. Miał tylko nadzieję, że nikomu z jego towarzyszy nic złego się nie stało.

## Rozdział IX



### Dom

Iwo już trzeci dzień pracował. Najbardziej cieszył go fakt, że mógł wyjść z domu. Miał dość siedzenia w niewielkim ogródku wokół domu albo w swoim pokoju, w którym z każdym dniem nieznośnych upałów stawało się coraz gorzej. Teraz znów mógł poczuć się potrzebny i choć miał świadomość, że koledzy znacznie go oszczędzają, to nie potrafił mieć im tego za złe. Ręka od czasu do czasu pobolewała nawet wtedy, gdy tylko siedział przy biurku i wypisywał dokumenty. Głupotą byłoby pchać się w takim stanie na patrol. Wiedział, że w ten sposób naraziłby na niebezpieczeństwo swojego partnera. Przybijał więc kolejne pieczęcie na dokumentach celnych, odliczając czas do powrotu do pełnej sprawności. Ostatnio zdał sobie sprawę, że jeszcze jedna data jest dla niego ważna. Spotkanie z Tomaszem i Nelą zbliżało się nieuchronnie i choć wiedział, że zachowuje się jak kłamca, to nie miał odwagi, by się do tego przyznać.

– Przerwa na papierosa? – spytał Jan, niewiele od niego starszy funkcjonariusz celny, który od ponad roku z nimi pracował.

– Nadal nie nauczyłem się palić. – Iwo zaśmiał się, wstając zza biurka. Rozprostował kości. – Wolę jabłko – stwierdził i wyjął twardą, zieloną papierówkę, która jeszcze kilkanaście dni powinna pozostać na drzewie, by dojrzeć.

– Może na jakiś czas pojedę do rodziców – wspomniał Jan. – Ojciec trochę zaniemógł, jest więc co robić na gospodarce. Matka schorowana, nie wstaje z łóżka, a siostry już dawno wyprowadziły się do mężów i zostawiły chałupę i ziemię mojemu młodszemu bratu. Tylko on jak gorzałkę poczuje, to przez tydzień śpi w stodole na sianie i nie w głowie mu obrządek krów i świń – tłumaczył mocno zafrapowany.

– Naczelnik na pewno się zgodzi, a jak nie, to ja wezmę twoją zmianę, a i Mundek na pewno pomoże – zaręczył.

– Jesteś jak brat. – Wysoki dryblas poklepał Iwa po ramieniu.

Ten nieco się skrzywił. Miejsce po ranie wciąż jeszcze pozostało niezbyt dobrze zabliznione.

– My tu wszyscy jak bracia – zapewnił. – Musimy trzymać się razem, inaczej te pioruny nas nie oszczędzą.

Iwo dokończył gryźć kwaśne jabłko i wyrzucił ogryzek pod rosnącą nieopodal lipę. Musieli się zabierać dalej do pracy, gdy jednak tylko weszli do niewielkiego, skromnie urządzonego biura, niemal natychmiast pojawił się w nim zaprzyjaźniony rybak. Często przynosił celnikom ryby, których nie zdołał sprzedać właścicielom restauracji rozsianych w Gdańsku i Gdyni.

– Pochwalony – przywitał się mężczyzna, gdy tylko otworzył drzwi.

– A pochwalony. – Iwo się odklonił. – A co tam tak gonicie?

– A bom właśnie gadał z jednym z panów z Gdańska – szybko wyjaśnił, miętoląc w dłoniach zdjętą z głowy czapkę. – To, co spotkało was w sobotę, to grubsza sprawa – oświadczył, zachowując konspiracyjny ton. – Ponoć dzieciarnia ma obiecane, że jak będzie wam dokuczać, to dostanie pochwałę od samego Hitlera.

– Niemożliwe – odezwał się Jan. – Niczego szuje się nie boją.

– Uważajta na siebie – dodał i poklepał stojącego przy nim Jana po plecach. – W was ostatnia nadzieja, że kiedyś naprawdę będzie tu Polska.

Iwo teraz już nie miał najmniejszych wątpliwości, że butelka z płonącą szmatą nasączoną benzyną tylko dzięki dużemu szczęściu albo nieporadności młodych nazistów nie trafiła w dom, wpadając do ogródka.

– Nie wiem, jak długo tu zostaniemy – powątpiewał Jan, wracając do wypełniania dokumentów.

– Póki życia, póty nadziei – odrzekł z westchnieniem Iwo i też pochylił się nad papierami.

Do końca zmiany mieli jeszcze sporo czasu i piętzący się stos dokumentów. Nie mogli tracić czasu na dywagacje.

Wieczorem powietrze stało się parne. W oddali nabrzmiałe deszczem chmury brały w objęcia coraz większe połacie nieba. Iwo przyspieszył kroku, choć czuł spływający po plecach pot. Jan też wycierał chusteczką krople z czoła.

Gdy doszli do domu, dostrzegli siedzącego na ganku Rajmunda. Rozpięta koszula i ogorzała od słońca twarz zdradzały zmęczenie całodzienną wędrówką wzdłuż wybrzeża.

– Chłódnik z owoców czeka – odezwał się na powitanie.

– To dobrze, bo już mi kiszki marsza grają – zauważył Jan.

Mężczyźni weszli do domu, obmyli kurz z twarzy i rąk, po czym usiedli do stołu. W ten upalny dzień chłódnik smakował nad wyraz dobrze, a łyżka gęstej śmietany bielącej kluski i kompot nadawała niewyszukanemu daniu wyjątkowego smaku.

Po późnym obiedzie Jan uciął sobie drzemkę, zaś Iwo dołączył do Rajmunda, który zdążył przejść do niewielkiego ogrodu za domem. Oprócz dwóch krzewów jaśminu i jednego lilaka, pod drewnianym płotem rozsiały się stokrotki i nagietki. Od czasu do czasu któryś z nich brał kosę i ścinał zbyt wysoką trawę.

Rajmund siedział na wiklinowym fotelu ustawionym tyłem do słońca i palił papierosa. Iwo usiadł na drugim wolnym fotelu, a na niewielkim drewnianym stoliku postawił glinianą miseczkę wypełnioną malinami zebranych w lesie.

– Wcinaj – zachęcał, ale przyjaciel jakby go nie słyszał.

– Ponoć w ubiegłym tygodniu Gestapo wpadło do wielu polskich mieszkań – zaczął Mundek, cedząc każde słowo. – Szukali nielegalnych pism i broni. Myślisz, że coś znaleźli?

Iwo pokręcił głową z przekonaniem.

– Właśnie. Niczego, ale i tak zabrali pocztowca, jego syna, a nawet matkę, bo podobno mogli być zamieszani w działalność spiskową przeciw Rzeszy.

– Kolarze, pocztowcy, celnicy, kto jeszcze?

Mundek zawiesił głos i splunął obok buta.

– Te ścierwa pomiatają urzędnikami państwowymi i plują w twarz polskiemu rządowi. Polują na nas jak na zwierzęta. Ktoś się tym martwi? Kogoś to obchodzi? Policja spisuje protokół i sprawa skończona. Sprawcy nieznani.

– Księża też lekko nie mają.

– I po co to wszystko?

– Żeby upodlić drugiego i zaznaczyć swoją wyższość.

– Co za parszywy świat...

Mężczyźni umilkli. Od czasu do czasu dochodziły do nich odgłosy z drogi. A to przejechał wóz konny ze skoszonym sianem, a to znów jakiś rowerzysta popędził na stację, by się nie spóźnić przed odjazdem ostatniego pociągu do Gdańska. Zapach jaśminu niczym jedwabny szal otulał siedzących w ogrodzie celników.

– Może w sobotę wybierzemy się na ryby – przerwał ciszę Rajmund i sięgnął po malinę.

Iwo zdążył poznać chłopaka i wiedział, że to był sposób odreagowania całotygodniowego stresu. Często zapuszczały się w mniej znane rejony zalewu i oddawali błogiemu lenistwu. Ryby dosłownie same czepiały się wędkę.

– Już się umówiłem na sobotę, więc w ciągu dnia nie dam rady, ale możemy pójść wieczorem i zostać na noc – zaproponował.

– Umówiłeś się? – podchwycił przyjaciel. – A z kim? I gdzie? A tak w ogóle to dlaczego ja nic o tym nie wiem? – drażył, choć jego humor wyraźnie się poprawił. – Mój przyjaciel idzie na randkę, a ja nic nie wiem... – Pogroził palcem młodzieńcowi.

– To żadna randka. – Wzruszył ramionami. – Będę służył za przewodnika.

– A komu, jeśli to nie tajemnica?

– Znajomym z Gdańska.

Rajmund szeroko otworzył oczy. Ich grono znajomych ograniczało się do pracowników urzędów celnych rozsiadanych przy granicach oraz ich najbliższych.

– A możesz konkretniej? Czyli komu?

– Wittom – wyjaśnił.

– Nie przypominam sobie tego nazwiska. Zresztą nie brzmi jak nasze.

– Bo nie jest – odparł znacznie ciszej.

– Nie bardzo rozumiem...

– Pamiętasz, jak nas napadnięto przy moście?

– I...?

– Pomogły nam dwie Niemki.

- One nam nie pomogły, tylko zlitowały się nad nami, bo nie miały pojęcia, kim jesteśmy – odparł bez ogródek.
- Iwo głośno westchnął. W jego przekonaniu dziewczyny przyszły im z pomocą i nie miało znaczenia, jakimi pobudkami się kierowały. Nie chciał jednak spierać się z przyjacielem, dlatego przemilczał jego uwagę.
- Jedną z nich, Nelę Witt, spotkałem kilka dni temu, gdy szła z bratem, który jest malarzem. Szukał nowych plenerów. Zaprosiłem ich do nas i pokazałem zalew.
- No to już wszystko wiedzą. Nie musisz służyć im za niańkę.
- To nie tak – obruszył się. – Mam tu wiele pięknych miejsc i chcę, żeby Tomas je uwiecznił na swoich obrazach.
- Ale Tomas i Nela to Niemcy. A Niemcy nas nie lubią. Tak?
- Oni są inni.
- Wcale nie. I ty doskonale o tym wiesz.
- Tomas jest artystą i kwestie polityczne go nie interesują. Neli też wydaje się to obojętne.
- Doprawdy? Tak dobrze zdążyłeś ich poznać?
- Daj spokój. O co ci chodzi?
- Nie chcę, żebyś wpadł w kłopoty. – Mundek poklepał przyjaciela po ramieniu i podniósł się, zabierając pustą paczkę po papierosach. – O ile już nie wpadłeś.

## Rozdział X



### Gusta i guściki

Połowa lipca według Any Witt była najlepszą porą na to, by wreszcie na poważnie zająć się przygotowaniem do ślubu jedynaczki. Termin ceremonii zbliżał się coraz większymi krokami, a Ana miała wrażenie, że nikt oprócz niej samej nic sobie z tego nie robi. Czas uciekał, Ana więc uznała, że muszą zmienić ustalenia i odwołała planowany wyjazd wakacyjny. Już trzeci raz w tym tygodniu zaszła do modystki, by wybrać materiał na suknię ślubną. Póki co Nela nie zajrzała tam ani razu, jakby było jej wszystko jedno, w czym pójdzie. Nie! Ona się na to nie zgodzi, dlatego dzisiaj pójdą tam razem. Zdołała też namówić Klarę, żeby im towarzyszyła. Tym razem Nela się nie wykręci.

Ana dopiła herbatę podaną przez Martę i odstawiła filiżankę na długi stół, przy którym oprócz niej i jej męża zebrała się okazała grupa dyskutantów. Dobrze, że nakazała kucharce upiec nie dwa, a trzy ciasta, bo patery szybko opustoszały. Nie lubiła tego widoku. Od swojej matki wiedziała, że to źle świadczy o pani domu. Teraz śledziła każdy ruch gości sięgających po ciasto, w duchu modląc się, by go nie zabrakło do końca spotkania śmietanki towarzyskiej Danzig. Te obawy skutecznie odciągały jej uwagę od słów wypowiedzianych przez jej męża. Jak zwykle mówił długo o tym, jak ważne jest wyswobodzenie się spod jarzma polskiej niewoli i przyłączenie do Rzeszy.

Kilkanaście głów zaprzyjaźnionych posłów i senatorów potakiwało za każdym razem, gdy Anders wygłaszał hasła zagrzewające do walki przeciwko woli narzucanej im przez rząd polski. Ana uśmiechała się, słuchając przemowy męża. Nie miała wątpliwości, że wybrała wyjątkowego człowieka i obdarzyła go uczuciem. Dzięki jego olbrzymiej determinacji i odwadze mieszkali w pięknym domu i nie martwili się o jego utrzymanie. Nigdy nie wyobrażała sobie, że kobieta mogłaby pracować. Jej mąż mądrze zainwestował pieniądze w odradzający się po Wielkiej Wojnie przemysł zbrojeniowy. Dochodu wystarczyło, by utrzymać rodzinę.

Ana od dawna wiedziała, że wieczorne, a czasem nawet nocne eskapady jej syna Franka bywały niebezpieczne. Nieraz ślady tych przygód nosił na twarzy i ciele. Z dumą patrzyła na te rany. Jej mąż walczył słowem, zaś syn poszedł o krok dalej i nie bał się własnym ciałem bronić idei socjalistycznych.

Kiedyś Ana marzyła o tym, by zostać artystką. Kochała sztukę i wiele lat uczyła się malarstwa pod okiem wielu znanych twórców z Francji, Włoch i Niemiec, których w Dreźnie ochoczo gościli jej rodzice. A później pojawił się Anders i wszystko inne przestało mieć znaczenie, bo tak została wychowana. Teraz sama musiała dowieść, że zdołała dobrze wychować własną córkę. Podniosła się więc zza stołu, lekko skinęła głową gościom, po czym wyszła z salonu.

Nela już czekała na matkę. Włożyła jasną sukienkę i podpięła włosy, żeby było jej chłodniej. Fala upałów powróciła nad Wybrzeże. Tylko przelotne opady deszczu pozwalały przetrwać trawionej słońcem roślinności.

– Wybrałaś już model z żurnala? – upewniła się matka, widząc w ręku córki kilka czasopism modowych specjalnie zamówionych w Paryżu i przysłanym Wittom.

– Coś tam mam – odparła bez większego entuzjazmu.

– Nela, co z tobą? Wyglądasz, jakbyś szła na ścięcie, a nie do krawcowej.

– Kiepsko się czuję.

– Ostatnio wciąż to słyszę. O co chodzi?

– Nie wiem – skłamała.

– Jesteś pielęgniarką, więc powinnaś się orientować w chorobach – narzekała. – Może to jakaś kobieca przypadłość? – Spojrzała na nią podejrziwie.

– Nie, mam – zareagowała natychmiast. – Po prostu mam gorszy okres.

– A może ty się boisz?

– Czego?

– Życia małżeńskiego... Wprawdzie wcześniej nie było okazji, by o tym porozmawiać, ale czas najwyższy...

– Mamo – przerwała jej Nela. – Idźmy już, bo Klara będzie się na nas złościć.

– Wróćmy do tego tematu – ostrzegła Ana i włożyła kapelusz na głowę.

Chętnie wzięłaby też wykończony delikatną koronką parasol, by nieco bardziej ochronić się przed palącymi promieniami słońca, ale był to relikwini minionej epoki, a tych kolorowych papierowych w stylu japońskim nie znosiła. Podobno opalenizna była w modzie, ale ona wciąż nie dała się do tego przekonać.

Kobiety wyszły z domu i wsiadły do czekającej na nie bryczki. Choć do pracowni modystki nie było daleko, to droga przy tej temperaturze znacznie by się wydłużyła. W czasie podróży obydwie milczały, spoglądając na boki. W parku pod drzewami siedziało kilka starszych osób, czytając gazety i rozmawiając. Dzieci bawiły się na niewielkim skrawku trawnika, próbując doskoczyć do rzuconego kamyka.

Nela bezwiednie uśmiechnęła się na wspomnienie z dzieciństwa – wraz z braćmi często w ten sposób się bawiła. Ona rzucała blisko siebie, by móc doskoczyć za pierwszym razem. Tomasz rzucał znacznie dalej, choć nie zawsze udawało mu się dotknąć kamyka. Frank rzucał najdalej, a później denerwował się, nie mogąc osiągnąć celu. I choć za każdym razem przegrywał, to nie zmieniał taktyki. Z czasem po prostu przestał z nimi grywać.

Właśnie dotarły na miejsce, gdy dostrzegły chodzącą w tę i z powrotem Klarę. Różnobarwny papierowy parasol chronił jej głowę i wąskie ramiona przed słońcem. Gdy tylko dostrzegła bryczkę, natychmiast złożyła parasolkę. Wiedziała, że Ana Witt będzie się z niej śmiała, a bardzo tego nie lubiła.

– Już jesteśmy – odezwała się seniorka, wysiadając z powozu. – Mam nadzieję, że nie usmażyłaś się w tej spiekocie – dodała, oszczędzając dziewczynie wywodów, gdyż czuła wyrzuty sumienia związane z ich spóźnieniem.

– W takim razie nie traćmy czasu – zachęciła Klara i popchnęła drzwi do pracowni.

Maleńki dzwoneczek zawieszony tuż nad wejściem obwieścił przybycie klientek. Niemał natychmiast w pracowni pojawiła się sama szefowa. Wiedziała, jak ważna klientka wybrała jej pracownię. To zamówienie mogło jej przysporzyć wielu nowych klientów.

Nela uśmiechnęła się i położyła na niskim stoliku wszystkie przyniesione ze sobą czasopisma.

– Proszę pokazać, jaki wzór panienka wybrała – zachęciła dobiegająca czterdziestki kreatorka mody w eleganckiej sukience z beżowego jedwabiu w drobne groszki.

Nela otworzyła trzy czasopisma i pokazała suknie. Pierwsza koronkowa, suto umarszczona od pasa w dół, sięgająca kolan. Druga, choć dotykała łydek, to miała długi tren przyczepiony do paska, a trzecia z olbrzymim dekoltem z przodu i z tyłu miała kolor bladnoróżowy.

– Co to ma być? To na ślub? – dopytywała Ana, z niedowierzaniem spoglądając to na córkę, to na fotografie w czasopismach. – Żadna z nich się nie nadaje.

Z torebki wyjęła batystową chusteczkę, by obtrzeć nią krople potu, które niemał natychmiast wystąpiły na jej czole. Choć nikomu o tym nie mówiła, to od jakiegoś czasu miewała kiepskie samopoczucie. Nagłe fale gorąca potrafiły skutecznie pozbawić ją siły i chęci do działania. Miała nadzieję, że nie doświadczy tej przypadłości właśnie w tej chwili, która miała być tak istotna dla jej córki.

– Dlatego chcę je połączyć – wyjaśniła spokojnie dziewczyna.

– A czy cokolwiek z tego nadaje się do połączenia? – spytała i wymownie spojrzała na modystkę, która od kilku minut gryzła się w język i lustrowała swoją pracownię, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Zapewne damy radę coś z tego wybrać – odparła kobieta.

Lata praktyki nauczyły ją trzymać buzię na kłódkę i wyrażać swoją opinię tylko wtedy, gdy ktoś o nią poprosi. Nie raz już miewała klientki, które miały zupełnie inny gust niż ich matki, więc musiała się mocno nagimnastykować, by wszystkim dogodzić. Interes jednak wymagał poświęcenia. Musiała wykorzystać szansę, jaką dały jej polskie modystki, wynosząc się z miasta. Kilkanaście lat temu konkurencja była znacznie większa.

– Długa czy krótka? – zwróciła się do Neli.

– Długa – odparła matka.

– Krótka – stwierdziła córka.

– Szanowne panie muszą się co do tego porozumieć. – Modystka ponownie się uśmiechnęła, choć przychodziło jej to z coraz większym trudem.

– Jak ty sobie wyobrażasz wziąć ślub w krótkiej sukience? Tak nie można. Wszyscy nas wyśmieją. Myślałam, że trochę bardziej znasz się na modzie.

– Ani na modzie, ani na ludziach... – stwierdziła Nela i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wybiegła na ulicę. Oparła dłonie na kolanach i ciężko dyszała.

Bała się tego, co chciała powiedzieć, tego, co powinna zrobić. To wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej, a tymczasem musiała sprzeciwić się matce. Rzadko się to wcześniej zdarzało. Powód był banalnie prosty: zwykle robiła to,

czego rodzice od niej oczekiwali, tylko teraz czuła, że nie potrafi... Nie umie ich zadowolić... Ale też boi się postąpić wbrew ich woli...

– Co z tobą? – usłyszała głos Klary stojącej tuż obok. – Źle się czujesz?

– Ostatnio ciągle chodzi jakaś markotna – tłumaczyła Ana. Zatrzymała się po drugiej stronie córki. – Wiecznie nieobecna i niczym niezainteresowana. Czas najwyższy dorosnąć, moja panno. Za chwilę wyjdiesz za mąż i nie możesz być taka rozkapryszona. Wilhelm to porządny człowiek i nie zniesie tych twoich humorków.

Twarz Any poczerwieniała ze zdenerwowania i upału. Kolejny raz niczego nie załatwiły, a czas nie był ich sprzymierzeńcem. Na szczęście sama zdążyła wybrać model sukni dla siebie. Już nawet była na pierwszej przymiarce. W przyszłym tygodniu odbierze swoje cudencko i nie pokaże go nikomu aż do dnia ślubu córki.

– Mam pomysł – stwierdziła Klara, widząc rosnącą frustrację Any. – Pójdziemy na długi spacer i do kawiarni, bo ostatnio tak rzadko się widzimy.

– Rzadko? – zdziwiła się Ana. – Przecież Nela ciągle spieszy się na spotkanie z tobą. Widzę, że wam nigdy dosyć. Mam nadzieję, że ją przekonasz do uszycia porządnej sukienki – oświadczyła, patrząc wymownie na dziewczynę.

Ta jedynie skinęła głową, po czym chwyciła przyjaciółkę pod ramię i poprowadziła do kawiarni.

Ana machnęła na dorożkę i zmęczona wsiadła do środka. Miała dość na dzisiaj.

– Co z tobą? – zagaiła Klara, gdy skręciły za rogiem w boczną ulicę.

Cień budynków dawał wytchnienie. Nela przystanęła i spojrzała na przyjaciółkę. W jej oczach kryła się niepewność.

– Dlaczego twoja matka mówiła, że ciągle się widzimy? Przecież spotykamy się nie więcej niż raz na tydzień, bo ciągle się wykręcasz.

Nela błędziła wzrokiem, unikając spojrzenia w oczy Klary. Znały się od dziecka. Nieraz wzajemnie kryły swoje wpadki, a jedno spojrzenie wystarczyło, by się zroszczyły. Teraz jednak Nela nie miała odwagi, by opowiedzieć o swoich obawach.

– Nie wiem, co mam zrobić. – Westchnęła.

– Najpierw rurka z kremem, a później najprawdziwsza prawda o tym, co się z tobą dzieje – zawyrokowała Klara i pociągnęła Nelę za rękaw.

Kilkadziesiąt metrów dalej weszły do cukierni i zamówiły rurki z kremem. Gdy usiadły przy stoliku, Klara zaczęła opowiadać o planowanym wyjeździe na Mazury w okolice Olsztyna. Jej rodzice chcieli tam kupić jakiś majątek, żeby dobrze ulokować pieniądze. Aby lepiej poznać miejsce, najpierw mieli kilka dni spędzić w okolicy.

– Oczywiście zdążymy wrócić przed twoim ślubem – zapewniła, choć przyjaciółka wcale o to nie pytała. – Nelia, czy ty jesteś chora? Ostatnio cię nie poznaję.

– Nie mogę tego zrobić – wycedziła przez zęby.

– Czego? – Spojrzała żałośnie na przyjaciółkę i chwyciła jej lodowatą dłoń.

– Wyjść za Wilhelma – wyznała, a łzy popłynęły jej po policzkach.

– Nelia, co ty bredzisz? Jesteście dla siebie stworzeni.

– On nie jest taki, jak sądziłam.

– Przecież znacie się od dawna...

Dziewczyna pobladła i poczęła mówić drżącym głosem.

– On... on chciał... chciał mnie wziąć siłą... – wyszeptwała, rozglądając się na boki, by się upewnić, że nikt ich nie usłyszy.

Klara zasłoniła usta dłonią i przez dłuższy czas nic nie mówiła. Osobiście nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. Owszem, miała kilku adoratorów, ale dopiero ostatni poprosił ją o rękę. Cóż z tego, jeśli nie zdążyła się nacieszyć myślą o zamążpójściu, a już oddała pierścionek zaręczynowy niewiernemu narzeczonemu.

– Ale że Wili? Znamy się od dawna i zawsze świetnie się bawiliśmy, więc nigdy bym nie przypuszczała, że może mu odbić. A może był pijany?

– Był, a jakże – przyznała Nela.

– To wszystko tłumaczy. Po prostu nie wiedział, co robi. Poniosło go i tyle – stwierdziła i wygodniej oparła się o krzesło.

– To nie zmienia faktu, że był wobec mnie agresywny.

– A co mówił, gdy wytrzeźwiał?

– Nic.

– Jak to nic? – Klara wysoko podniosła brwi.

– Ani słowem nie zająknął się o tamtym dniu. Jakby nic się nie stało.

Klara chwilę analizowała słowa przyjaciółki.

– Pewnie niczego nie pamięta.

– Pewnie... ale ja nie potrafię zapomnieć.

– A może powinnaś? Skoro to tylko incydent... Może nie warto do niego wracać?

Nela popijała lemoniadę w milczeniu. Czuła się jak w pułapce, z której choć są wyjścia, to każde z nich grozi jej wewnętrzną porażką i wstydem dla całej rodziny.

Pierwsza wrześnieiowa sobota zbliżała się nieuchronnie, a ona czuła się jak dziecko zagubione w gęstej mgle.



## Rozdział XI



# Kompromisy

Iwo od rana nie mógł znaleźć sobie miejsca i chociaż powinien cieszyć się dniem wolnym, to chodził jak struty. Przez ostatnie dni miał wyjątkowo dużo pracy, a na nocnych dyżurach wcale nie było spokojniej. W takich chwilach zastanawiał się, czy warto tak wiele ryzykować. Wciąż dochodziły do nich głosy o kolejnych aresztowaniach Polaków przez Gestapo z błałego powodu. Później długie godziny przesłuchiwań, a i tak nie było pewności, czy po ich zakończeniu aresztowani powrócą do domów. Ten strach pęczniał z każdym dniem. Wgryzał się w świadomość mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska i siał spustoszenie w ich umysłach. Wrażliwsi już dawno uciekli w głąb kraju albo w ogóle wyjechali za granicę.

Iwo czuł się w obowiązku służyć państwu polskiemu, ale przytłaczała go niepewność o jutro. Już od dawna żaden z nich nie wychodził samotnie z domu. Dzisiaj też miał zaczekać na Rajmunda, ale ten po nocnej warcie nie mógł się dobudzić. Wymknął się więc sam, a teraz szedł pośród trzciniowiska porastającego zalew. Za dnia było tu znacznie bezpieczniej. Potrzebował spokoju, by zebrać myśli.

Pewnie gdyby pozostał w swojej rodzinnej wsi, już dawno by założył rodzinę. Jego brat ledwie skończył dwadzieścia wiosen, a już się ożenił. Niespełna rok później na świecie pojawił się jego pierworodny, a później bratowa powiła jeszcze dwie córeczki. Teraz w ich domu panował gwar i śmiech dzieci. Iwo kochał te szkraby i gdy był w mieście, nie mógł się oprzeć sklepowym wystawom, na których stały piękne zabawki. Tylko nieliczni mogli sobie na nie pozwolić, dlatego umiejętnie wybierał prezenty dla dzieci. Długo się zastanawiał nad kupnem szmacianej lalki z porcelanową główką i kręconymi włosami. Uznał jednak, że nie stać go na zakup dwóch, a nie chciał doprowadzić do kłótni między siostrami. Wybrał więc dwie – całe szmaciane, a dla bratanka kupił drewnianą lokomotywę, a potem co roku, gdy wracał na wieś, przywoził mu kolejny wagonik, który chłopiec doczepiał.

Te szkraby sprawiały, że nie czuł się aż tak samotny, jednak to wciąż były dzieci brata. Gdyby Iwo posiadał własną rodzinę, miałby się do kogo przytulić w takie posępne dni jak ten. Tymczasem wpatrzony w niebo zmrużył oczy i nakrył twarz kapeluszem. Sen przyszedł niespodziewanie.

– Iwo? – usłyszał znajomy głos, ale go nie rozpoznał.

– Tomas? – odezwał się, mrużąc oczy, oślepiiony promieniami słonecznymi.

– Dawno się nie widzieliśmy – zauważył, a jego głos podszyty był wyrzutem. – Czy coś się stało?

– Nie, skąd.

– Odniosłem wrażenie, że nas unikasz.

– Po prostu wróciłem do pracy i nie mam tyle wolnego czasu. Poza tym pewnie potrzebujesz spokoju do rysowania, więc moje towarzystwo jest zbędne.

– Nie mów tak. Jesteś najlepszym przewodnikiem i gdyby nie ty, nigdy bym tutaj nie trafił.

Iwo przyglądał się chłopakowi, który chwilę wcześniej ostrożnie ułożył na trawie sztalugi, szkicownik i niewielki kosz z prowiantem.

– Jesteś sam? – upewnił się Iwo, choć nikogo innego nie dostrzegł.

– Pytasz o Nelę? – Tomas uważnie spojrzał na Iwa. – Ona ma teraz sporo spraw na głowie, więc sam tutaj przyjeżdżam.

Niespodziewanie poczuł ukłucie zawodu. Ta dziewczyna miała w sobie coś, co nie pozwalało mu przestać o niej myśleć. I im więcej razy powtarzał sobie, że powinien o niej zapomnieć, tym częściej wspominał ich ostatnie spotkanie. Wydawała mu się taka delikatna, a jednocześnie dojrzała. W jej wzroku krył się jakiś smutek, którego nie potrafił zdefiniować. Intrygowała go ta dziewczyna, choć wiedział, że powinien posłuchać Rajmunda.

– Pewnie już wszystko dokładnie naszkicowałeś, więc możesz spokojnie jechać do Paryża – próbował zażartować Iwo, ale Tomas odparł bez entuzjazmu:

– Tak, malować brudne ulice i pomniki obsrane przez gołębie. – W obecności Neli na takie stwierdzenie by się nie zdobył.

– Mimo to zazdrościsz ci szansy, jaką dostałeś...

– A ja boję się jak diabli...

Iwo patrzył na chłopaka z coraz większym zainteresowaniem. Sam nawet nie marzył o podróży za granicę. Szczytem jego możliwości był przyjazd na Wybrzeże. Tutaj też po trosze czuł się jak na obczyźnie. Na ulicach obcy język. W urzędach coraz trudniej było załatwić cokolwiek bez znajomości niemieczyny.

– Nie cieszysz się, że poznasz artystów z całego świata? Tutaj nigdy nie zdobyłbyś takich znajomości i doświadczenia.

– Tutaj liczy się tylko to, czy wierzysz w Rzeszę i Hitlera. Sztuka płynie ryzostokiem.

– Ale ponoć Hitler to koneser sztuki.

– Gówniany z niego koneser, skoro nie wspiera tych, którzy mają talent, ale potrzebują nauki i nauczycieli. Najchętniej zabralby nam pędzle i dał broń, żeby w razie czego każdy umiał strzelać do wszystkiego, co się rusza. – Przerwał, z przerażeniem patrząc na twarz Iwa. Czyżby powiedział zbyt dużo? Zdradził się? Zapomniał?

– Dzielenie ludzi na lepszych i gorszych nie przyniesie niczego dobrego – podjął Iwo ostrożnie, starając się wysondować, czy Tomasz go nie podpuszcza.

– Właśnie! – potwierdził chłopak ochoczo. – I obawiam się, że to nie tylko Niemcy cierpią na manię wielkości. Francja hołubi swoich artystów, więc pewnie nikt nie czeka na cudzoziemców z otwartymi ramionami.

– Nie znam się na tym. Nigdy nie byłem we Francji ani nigdzie indziej poza granicami kraju, ale gdyby w Paryżu prześladowano obcokrajowców, to tak chętnie by tam nie jeżdżono.

Tomasz zamyślił się nad słowami mężczyzny. Miał sens. Obawiał się czegoś, co widział tutaj. Nie wszyscy musieli żyć tak samo jak mieszkańcy Wolnego Miasta Gdańska. Słowa Iwa sprawiły, że poczuł ciekawość i z coraz większą nadzieją myślał o przyszłości.

– Pokażesz mi inne miejsca, które mógłbym uwiecznić? Na pewno jest tu jeszcze coś ciekawego do zobaczenia – powiedział Tomasz już z większą energią.

Iwo pomógł nieść znajomemu sztalugi. Teraz kroczyli obok siebie. Tomasz opowiadał, ile szkiców wykonał, odkąd zaczął tutaj przyjeżdżać. Cieszył go każdy i z żadnym nie potrafiłby się rozstać. Były dla niego niczym pamiątki po cudownych chwilach, których doświadczył nad zalewem.

– Pójdziemy wzdłuż Wisły Królewieckiej. Może tu znajdziesz ciekawe miejsca – odezwał się Iwo, oddalając się od brzegu zalewu.

Słońce zdążyło wzbic się wysoko ponad horyzont, ale w oddali widać było kłębiące się chmury. Od kilku dni pod wieczór padało, a pioruny na oslep cięły niebo. Iwo miał to na uwadze, dlatego nie oddalał się zbyt od wsi. Wędrując wzdłuż koryta rzeki, widzieli kolorowe kwiaty wabiące owady. Woda cicho szemrała, ukazując czyste dno. Nieopodal pasące się stado krów zeszło do wodopoju.

– Zostanmy tutaj – zdecydował Tomasz i w jednej chwili począł wyjmować ołówki.

– Nie będę ci przeszkadzał. Wracam do siebie.

– Zaczekaj, będzie mi rażniej, a i do pociągu nie poblądzę.

Właściwie nigdzie mu się nie spieszyło, dlatego Iwo rozłożył sweter i usiadł, obserwując młodego artystę. Szczyt chłopak w ustach trzymał źdźbło trawy, które cały czas gryzł i co chwilę odgryzione kawałki wypluwał. Kiedy rysował, wstąpił w niego jakby innych duch. Był tylko on i przyroda, nawet na moment nie przerwał pracy, dopóki nie skończył.

Wtedy wrócił do Iwa i zjedli przyniesiony prowiant. Po posiłku Tomasz pokazał mu ułamek swoich szkiców, które wykonał nad zalewem. Ich piękno, realizm i precyzja sprawiły, że Iwo nie mógł od niech oderwać wzroku.

Napływające nad ląd chmury zaczęły się piętrzyć, zasłaniając słońce. Iwo zarządził, że najwyższy czas wracać. Wprawdzie kolejka miała odjechać dopiero za godzinę, ale nie mogli tutaj dłużej zostać.

Iwo chwycił sztalugi i poprowadził Tomasza do wsi. Szli dość szybko. W oddali już widać było toczącą się na niebie awanturę. Błyskawice rozjaśniały pociemniałe niebo. Duże krople moczyły ziemię. Tomasz starał się okryć swój największy skarb – szkicownik. Iwo podał mu sweter, by owinał nim prace.

– Nie zdążymy do stacji – zawyrokował Iwo, w myślach szukając miejsca do schronienia przed deszczem.

– Może gdzieś po drodze znajdziemy jakąś karczmę?

Nawet gdyby jakaś była, Iwo na pewno nie zaprowadziłby do niej Tomasza. Powód był prosty. Wszyscy w Sztutowie wiedzieli, kim jest i gdzie pracuje. Nikt by go nawet nie wpuścił do środka. Tylko napytałby sobie biedy.

Deszcz padał coraz mocniej. Nasilał się też wiatr. Zdążyli wyjść na drogę na skraju wsi, gdy lunęło. Trzaskające pioruny niemal natychmiast rozbłysły nad ich głowami. Deszcz począł lać się strugami z nieba, a wiatr na ich oczach rwał liście i szarpał gałęzie. Biegli co sił w nogach. Iwo jeszcze szybciej, niż biegł, myślał, co dalej począć. Wyjście było tylko jedno.

Gdy dopadł do plotu wynajmowanego domu, był przemoczony do suchej nitki. Nie miał wyjścia. Pchnął furtkę i co tchu wskoczył na ganek. Tomas deptał mu po piętach.

– Żyjesz? – Spojrzał na ociekającego wodą artystę, który natychmiast zaczął ze swetra rozwijać szkicownik. Na szczęście tylko rogi kartek były mokre, a kreski rozmazane.

– Wszystko dobrze – przyznał Tomas i oparł szkicownik o ścianę, by móc wytrzeć twarz.

Iwo zastanawiał się, czy w domu ktoś jest. Być może Rajmund, gdy się obudził i zobaczył, że jest sam, wyszedł z domu po chleb albo kartofle.

Iwo powoli uchylił drzwi i na palcach wszedł do środka, nie zważając na to, co sobie pomyśli Tomas. Najpierw zajrzał do kuchni. Na szczęście nikogo w niej nie znalazł.

– To twój dom? – spytał Tomas, stając tuż za nim.

– Wynajmuję go tylko.

– Ładny – pochwalił, rozglądając się po kuchni. – Masz może herbatę?

– Zaraz rozpalę w kuchni – odrzekł i włożył do środka kaflowej kuchni kilka cienkich, dobrze wysuszonych gałązek.

Po chwili ogień buchnął, liżąc czerwonymi językami kolejne gałązki. Po jakimś czasie Iwo dorzucił grubszego drewna, pogrzebaczem odciągnął żeliwną fajerkę i ustawił czajnik. Niebawem woda zaczęła się gotować. Zalał więc wrzucone do kubków listki herbaty i postawił naczynia na stole. Tomas zdążył zdjąć przemoczoną koszulę i wytrzeć się wiszącym nad miską ręcznikiem. Mokre włosy okalały jego twarz, a ciałem poczęły wstrząsać dreszcze. Iwo przyniósł dwie czyste koszule i swetry, by mogli się przebrać. Później wypili herbatę, a gdy tylko nieco się przejaśniło za oknem, Iwo nie nalegał, by gość został dłużej. Grubym kocem owinęli szkicownik, a ponad ich głowami Iwo trzymał parasol. Teraz mogli wyjść na zewnątrz, żeby nie spóźnić się na stację.

Właśnie dochodzili do furtki, gdy stanął przed nimi Rajmund. Z jego parasola kapła woda. W drugiej dłoni ścisnął torbę z chlebem, który kupił od Goryniakowej. Wziął trzy bochenki, żeby wystarczyło im na dłużej. Wolał nie kusić losu i zbyt często nie zaglądać do oddalonego od wsi gospodarstwa. Nikt nie chciał się nadmiernie afiszować ze swoją narodowością. Na wsi jednak wszyscy się znali i trudno było nie wchodzić innym w oczy.

– Serwus, nie zdążyłem przed burzą – oświadczył, widząc przyjaciela. – Wychodzisz gdzieś?

Iwo wstrzymał oddech, słysząc słowa wypowiedziane w języku ojczystym. Później uśmiechnął się i uchylił furtkę, by wpuścić Rajmunda do środka. W milczeniu wyszedł na drogę i zaczękał na Tomasa, który machnął do przybyścia na pożegnanie.

Po chwili ruszyli w stronę dworca. Szli w zupełnej ciszy, ściśnięci pod jednym parasolem. Burza się oddalała, a wiatr przestał szarpać parasol.

– Dlaczego on do ciebie mówił po polsku? – spytał Tomas, przerywając niezręczną ciszę.

Iwo głośno przelknął ślinę, ale milczał, udając, że bębniący w parasol deszcz zagłuszył pytanie.

## Rozdział XII



### Oczy szeroko zamknięte

Niespokojne morze krztusiło się spienionymi bałwanami wypluwanymi na rozgrzany piasek. Szum fal i rozbijającego się o nie wiatru wymuszał na spacerujących głośne mówienie. Nela nie lubiła podnosić głosu, nawet jeśli nie miała niczego złego na myśli, dlatego szła wzdłuż brzegu, od czasu do czasu spoglądając w stronę towarzyszącego jej Wilhelma. Początkowo mężczyzna próbował przekrzyczeć wiatr, ale ona z trudem wychwytywała pojedyncze słowa, więc dopytywała go o sens. To go irytowało. Postanowili więc w milczeniu pospacerować.

Nela mocniej naciągnęła na głowę kapelusz i dodatkowo trzymała go ręką, by nie odfrunął. Wilhelm miał potargane włosy, które co rano pieczołowicie układał przed wyjściem do kancelarii. Wiatr łopotał połami jego rozpiętej marynarki. Nie oszczędził też sukienki Neli, która powiewała niczym żagiel rozpięty na maszcie.

Wreszcie poddali się i wyszli z plaży. Piasek nie ułatwiał im chodzenia, mieląc się pod ich bosymi stopami.

– Lepiej było pójść do kawiarni – psioczył Wilhelm, gdy tylko zeszli z plaży i włożyli buty.

– Ale tu jest przyjemniej – zauważyła, lekceważąc jego protekcyjny ton.

– To może teraz pójdziemy na coś słodkiego?

– Powinnam wracać do domu – oświadczyła i nie czekając na narzeczonego, ruszyła przed siebie.

Ten pośpiesznie naciągnął skarpety i zawiązał sznurowadła. Znowu mu uciekała.

– Ostatnio masz dla mnie niewiele czasu – poskarżył się, gdy ją dogonił. – Neltcia, czy ty mnie unikasz? – Pociągnął ją za łokieć, by się zatrzymała.

Dziewczyna spojrzała na swoje przedramię i nie oderwała od niego wzroku, póki jej nie puścił.

– Nela, co z tobą? Jesteś, ale jakby cię nie było – jęknął wpatrzony w nią.

– Przesadzasz.

– Wiem, że masz sporo na głowie przez ten ślub, ale tak rzadko się widzimy, że wariuję bez ciebie. Zapominam, jak pachniesz. Jak całujesz. Jak czule mnie głaszczesz po głowie...

– Wili... – zaczęła. – Tak było kiedyś. Za chwilę będziemy małżeństwem... A to wszystko zmienia...

– Co zmienia? Jak zmienia?

– Po prostu zmienia... I mnie. I ciebie...

– Co ty pleciesz, Neltcia?

– Ciebie ta myśl już zmieniła, ale ty tego nie widzisz...

– Nela...

– Odprowadź mnie do domu. Później mam wizytę u modystki. Muszę się do niej przyszykować.

Szli obok siebie. Wilhelm spróbował wsunąć dłoń pod jej ramię, ale się odsunęła. Nie rozumiał, skąd ta oschłość narzeczonej. Dlaczego nie doceniała tego, że za chwilę zamieszkają w zupełnie nowym domu, który właśnie skończył budować. Wiele młodych małżeństw musiało gnieździć się ze swoimi rodzicami, zanim zebrali dostatecznie dużo pieniędzy na zakup własnego mieszkania. On się o to zatroszczył. Od kilku lat prowadził praktykę adwokacką. Na brak klientów nie narzekał. Myślał nawet o zatrudnieniu jakiejś lotnej sekretarki, która pomogłaby mu w sprawach biurowych. Teraz sam prowadził kalendarz spotkań z klientami i spraw trafiających na wokandę. Czasem zdarzało mu się, że coś pomylił albo o czymś zapomniał, ale miał jedną zasadę: nigdy się do tego nie przyznawał, powszechnie twierdząc, że albo klient źle mu podał termin albo sędzia coś pomylił. Ostatecznie zwykł spadać na cztery łapy i z tego był najbardziej dumny.

Właśnie doszli do jednej z bardziej ruchliwych ulic w mieście, gdy dostrzegli kilku młodych chłopców stroszących piórka i głośno się śmiejących. Tuż przed nimi klęczał starzec. W dłoni trzymał białą chusteczkę, którą wyjął ze swojej kieszeni. Chłopcy poszturchiwali go i podstawiali swoje buty. Starzec zagryzł wargi i powoli zaczął czyścić ich

buty. To wzbudziło powszechny aplauz wśród przechodniów, którzy poczuli przystawać, by podziwiać pokaz, jaki młodzież zgotowała staremu Żydowi chodzącemu tymi ulicami ponad siedemdziesiąt lat. Teraz to młodzi stanowili prawo i zgodnie z nim tresowali nierobów.

– Jak oni mogą coś takiego robić? – Nela pokręciła głową z niedowierzaniem. – To staruszek, który sam ledwie trzyma się na nogach.

– Pokazują mu, gdzie jest miejsce takich jak on – wyjaśnił Wilhelm bezbarwnym głosem.

– I gdzie ono jest według ciebie?

– Tam, gdzie nie ma dostępu do naszego narodu. Żydzi to brud, wszy i choroby, dlatego powinno się ich eliminować z naszego społeczeństwa. Nie ma tu miejsca ani dla nich, ani dla ich synagog.

Nela przeszła na drugą stronę ulicy i przyspieszyła kroku. Cały czas jednak spoglądała w stronę nękanego Żyda. Doskonale знаła te argumenty z własnego domu. Słuchała ich, bo wygłaszane były przy każdym rodzinnym spotkaniu, ale nie miały dla niej większego znaczenia. Dzisiaj dawały do myślenia, jak bardzo dziwny jest świat, w którym przyszło jej żyć.

Teraz sobie przypomniała, że na początku roku na ulicy Reitbahn zaczęto rozbiorę świątyni żydowskiej od lat goszczącej wiernych. Podczas gdy niemiecka firma dokonywała tego swoistego zamachu na synagogę, na rusztowaniach okalających budowlę zawieszono wielką płachtę z napisem *Komm lieber Mai und mach von den Juden uns jetzt frei*<sup>17</sup>. W całym mieście aż wrzało. Radość rozlała się po okolicy niczym czarna ospa. Kolejny ośrodek niedający się uchwycić w szpony nazizmu został zniszczony.

Wilhelm zerkał na narzeczoną z ukosa. To nowe oblicze dziewczyny zaczynało go coraz bardziej niepokoić.

– Dlaczego zawracasz sobie tym głowę? Kiedyś cię to nie obchodziło.

Nela przygryzła wargę. Ona też coraz mniej rozumiała otoczenie, w którym się wychowywała. Wcześniej żyli tu koło siebie Polacy, Niemcy i Żydzi i nikomu to nie przeszkadzało.

Nagle poczuła szarpnięcie. Zatrzymała się i spojrzała na Wilhelma.

– Tęsknię za tobą – wyznał.

– Przecież jestem. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Ten ślub wymaga wielu przygotowań. Już sama nie wiem, w co włożyć ręce – kłamała jak z nut.

Wilhelm puścił jej rękę. Jego narzeczoną kolejny raz mówiła o ich ślubie jak o wydarzeniu, które dotyczyło kogoś zupełnie obcego. Dla niego ten ślub był spełnieniem marzeń. Nela znał od dawna. Choć w czasie studiów w Berlinie nieraz sobie pofolgował i rankiem obudził się w obcym domu i łóżku, to nie wyobrażał sobie takiego życia. Tęsknił za stabilizacją. Dom miał stanowić jego ostoję, do której będzie mógł powracać po wyczerpującym dniu pracy czy po zakończonym spotkaniu członków partii. Nieraz już owe spotkania kosztowały go trochę zdrowia i pieniędzy, ale skłamałby, twierdząc, że źle się bawił, przyglądając się, jak jakiś cuchnący Żyd albo zawszawiony Polak wili się z bólu, nie chcąc posłać swoich dzieci do niemieckich szkół. Czasem tak bardzo szli w zaparte, że Wilhelm sam wkraczał do akcji, objając twarz uparciuchowi. Nie potrafił pojąć, jak ci ludzie mogą być aż tak głupi, by nie rozumieć, ile dostają od niemieckich obywateli Wolnego Miasta Gdańska. Niemiecka edukacja stanowiła gwarancję jakości i otwierała drzwi na wiele uczelni. Oczywiście pod jednym warunkiem, o którym akurat nikt nie wspominał. Bo i po co straszyć tę garstkę upartych ludzi? Szkoła w pierwszej kolejności miała odpowiednio przygotować młodych Polaków do tego, by pojęli, jak wiele dostali od swoich niemieckich przyjaciół i jak mało by osiągnęli bez ich pomocy. Dług wdzięczności nie mógł rosnąć w nieskończoność. A wystarczyło zmienić nazwisko i przychylnym okiem spojrzeć na Rzeszę.

Wilhelm znów spojrzał na narzeczoną. Tęsknił za dotykiem jej skóry i miękkich włosów. A zapach jej ciała doprowadzał go do pasji. Nie mógł odżałować, że przed ślubem nie zgodziła się na nic więcej oprócz pocałunków i kilku marnych pieszczot. Już on wiedziałby, jak obudzić w niej uczucie rozkoszy.

Kiedy weszli do domu Wittów, Wilhelm cmoknął narzeczoną w policzek, a ta bez słowa podreptała na piętro do swojego pokoju.

Marta zaprosiła gościa do salonu i zaproponowała podwieczorek. Od obiadu niczego nie miał w ustach, więc nie oponował. Chwilę później w ślad za służącą niosącą tacę z bułeczkami drożdżowymi i dzbanek z kawą weszła Ana Witt. Uściskała przyszłego zięcia i zaprosiła go do stołu.

– Widziałam, że spotkałeś się z Nela – zaczęła przy poobiedniej kawie. – Ostatnio jest nie do zniesienia. Mam nadzieję, że po ślubie wreszcie się uspokoi.

Mężczyzna westchnął.

– A może jest coś, o czym jako twoja przyszła teściowa powinnam wiedzieć? – Spojrzała znad filiżanki. Jej oczy zdradzały zaciekawienie, a jednocześnie lęk przed tym, co może usłyszeć. – Wili, takie rzeczy się zdarzają – tłumaczyła, chcąc go ośmielić. – Ja to rozumiem. Jesteście młodzi i czasem trudno z tymi sprawami czekać...

– Nie... – zaczął się jąkać jak nie on. Na sali sądowej nigdy nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Wiedział, że to by się równało z katastrofą, a przecież był profesjonalistą. – My nigdy... – spróbował wyjaśnić, ale znowu język mu się plątał.

Nie spodobało mu się to, co usłyszał. Zganił się za to w myślach. Nie mógł zachowywać się jak uczeń przyłapano na podglądaniu koleżanek. A nawet gdyby, to nie takie przewinienie wybaczano takim jak on.

– To znaczy wszystko jest z nami w porządku i nie musi się pani o nic martwić – obiecał, odzyskawszy pewność siebie. – Ręczę za to.

Najwidoczniej Ana nie chciała drażnić tematu, bo zaczęła opowiadać o swoich perypetiach związanych z szukaniem odpowiedniej liczby kelnerów na przyjęcie weselne. W pierwszej kolejności na jej ogłoszenie o pracę zamieszczone w niemieckiej prasie odpowiedzieli sami Polacy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ci ludzie w ogóle biorą do swoich brudnych rąk prasę, do której nie mają prawa zaglądać. Oczywiście żadnego z nich nie przyjęła, bo co by o niej pomyśleli wszyscy goście zaproszeni na ślub. Za drugim razem była już mądrzejsza i w ogłoszeniu zastrzegła, że praca jest zarezerwowana jedynie dla Niemców. Musiała jeszcze dwa razy odnowić ogłoszenie, ale wreszcie skompletowała kadrę.

Wilhelm pochwalił niedoszłą teściową za jej zapobiegliwość. A gdy przyszli Anders i Frank, pożegnał się z Aną i wyszli.

Na zebranie partyjne woleli się nie spóźnić. Przewodniczący partii wprowadził istic wojskowy dryl i każdy, kto nie zdążył na czas, po prostu nie mógł wejść do środka. Dlatego Anders wszedł do swojego auta i uruchomił silnik. Obok niego usiadł syn. Wilhelm zajął tylną kanapę. Anders nie szczydził silnika. Nie mogli się spóźnić.

Gdy dojechali na miejsce spotkania partii NSDAP, przed budynkiem stało kilkanaście innych aut prominentnych mieszkańców Danzigu. Przed wejściem panował tłok. Anders wysiadł z auta i począł się przeciskać do wejścia. W ślad za nim ruszyli Wilhelm i Frank. Nikt ich nie zatrzymywał. Wszyscy znali senatora, który tak dobrze walczył o ich prawa w senacie.

Anders wszedł do środka i ruszyli na sam początek. Dostrzegł kilka wolnych krzeseł. Zajął jedno z nich. Wiedział, że syn i przyszyli zięć pozostaną nieco dalej. On reprezentował nie tylko swoją rodzinę, ale też władzę wykonawczą.

Kiedy na mównicy pojawił się szef tutejszego oddziału partii, powitał go aplauz zgromadzonych członków partii. Wilhelm stanął z boku, opierając się o ścianę. Stąd miał dobry widok na mównicę, ale też na ludzi przychodzących na te spotkania. Ludzi, którzy na nowo konstruowali rzeczywistość wokół siebie.

Prelegent był powszechnie znany i mówił o doskonale znanych sprawach, bo któż nie wiedział o tym, że w Tiegendorf<sup>18</sup>, w Nytychu i Kalthofie, na wszystkich sklepach już wywieszono tabliczki informujące o tym, że obsługiwani są tylko klienci pochodzenia niemieckiego. Czy ktoś jeszcze wątpił, że do chorego Polaka nie przyjedzie lekarz? A matce głodnego polskiego dziecka nikt nie sprzeda kwarty mleka? Jednak w każdym jego słowie czuć było siłę wiary, że wszystkie te działania mają sens, a na ich końcu jest upragniona swoboda.

Zgromadzeni na sali niemal spijali słowa z ust przewodniczącego. Każde nowe odniesienie do działań wobec zniemawidzonych nacji witane było gromkimi brawami i gwizdami. Może to dym papierosowy, którym było przesycone powietrze, a może podszyte dumą słowa prelegenta niejednego doprowadziły do szaleństwa. Stawał taki delikwent z zaczerwienionymi oczami i z całych sił klaskał po każdym zdaniu wypowiedzianym przez działacza partyjnego. Ten pozornie starał się go uciszyć, ale w skrytości serca o takie zainteresowanie tłumu właśnie mu chodziło. Niebawem do niego dołączą pozostali. I tak kolejno wstawali następni i głośno oklaskiwali mówcę, aż wreszcie ten schodził upojony miłością mas.

To właśnie dlatego Wilhelm nie opuszczał żadnego z partyjnych spotkań. Oczywiście wyobraźni widział w tym miejscu siebie. Na razie szkolił się, obserwując innych. Sam ćwiczył na sali sądowej. Tam sprawdzał swój talent aktorski. Miał go, a jakże. Ale wiedział też, że zgubne jest popadanie w samozachwyty.

Uśmiechnął się do siebie, starając się skupić na wchodzącym na mównicę nowym prelegencie. Kojarzył tę postać, wolał jednak dokładnie zorientować się, z kim ma do czynienia. Tłum ucichł. Mężczyzna wyrecytował swoje stanowisko w partii.

– Przyjechałem z Tiegendorf. – Powiódł wzrokiem po zatłoczonej sali. – Nie mogę zacząć inaczej niż od złożenia hołdu człowiekowi zasłużonemu dla społeczności niemieckiej – dodał powoli. – Zgodzicie się, że takim właśnie człowiekiem był nasz przyjaciel Grünbau<sup>19</sup>. Człowiek, z którego każdy porządny Niemiec powinien brać przykład. Bo tylko dzięki takiej odwadze naród niemiecki odzyska swą dawną świetność i wzbudzi szacunek w innych narodach.

Tłum ochoczo wiwatował na cześć bohatera. Teraz już mogli usiąść, by posłuchać słów zacnego człowieka, który los swego narodu cenił ponad wszystko inne. Mężczyzna mimo dojrzałego wieku wyglądał młodo, ale jego głos był donośny. Nie musiał krzyknąć, by go usłyszała publiczność na końcu sali.

– Każde działanie ma sens – zaczął. – Musicie uwierzyć, że każdy z was ma możliwość zrobienia czegoś wielkiego. O jednych sprawach będą wiedzieli tylko wasi najbliżsi, o innych opowiecie nam na spotkaniu takim jak to. Ale będą też takie, za które pochwalą was sam wódz – powiedział, starając się nawiązać kontakt wzrokowy z każdym, kto znajdował się na sali.

Wilhelm poczuł na sobie spojrzenie mówcy. Kryła się w nim odwaga i wiara, że jego słowa mają istotne znaczenie. Widział jego dłonie zaciskające się na mównicy. Stał dumny z tego, kim jest i co robi. To potęgowało odczucie, że Niemcy mają prawo czuć się jak u siebie i ignorować całą resztę społeczeństwa Wolnego Miasta Gdańska.

– Bądźcie pewni, że każde działanie znajdzie właściwe wytłumaczenie – ciągnął dalej. – My nikogo nie zostawimy bez opieki i wsparcia. Jesteśmy po to, by wam pomagać, gdy tylko zajdzie taka potrzeba. A potrzeba jest wtedy, gdy robicie coś, co pomoże całemu naszemu społeczeństwu.

Oklaski na moment przerwały dywagacje prelegenta. Ze spokojem zaczekał, aż ucichną. Wiedział, że na nie zasłużył, ale wiedział też, że łaknie ich znacznie więcej. Dlatego mówił dalej.

– Macie prawo dbać o swoje żony, córki i matki, broniąc je przed obleśnym wzrokiem polskich lubieżników chowających się za mundurem pocztowca, kolejarza czy celnika! – zagrzmiał, a na jego czole pojawiła się pionowa pręga. – W Marianowie dobrzy Niemcy czuwalili nad podłym zawiadowcą stacji. To była wyższa konieczność. Nie myślcie, że nie było śledztwa. – Zaśmiał się, a chwilę później zawtórował mu tłum. Gdy podniósł dłoń, śmiechy ucichły. – Pamiętajcie, że nawet lampy przychodzą nam z pomocą! – Ponownie zaniósł się śmiechem, a tłum mu zawtórował.

Wilhelm kątem oka dostrzegł Franka patrzącego na działacza z niemalym zachwytem. Taki człowiek potrafił zainteresować i przekonać, że idee nazistowskie mają sens.

Gdy mężczyzna skończył wymieniać kolejne przykłady pożądanych postaw wśród społeczności niemieckiej, nagrodzony oklaskami zszedł z mównicy i uściśnął dłonie wszystkim działaczom partyjnym zasiadającym w pierwszym rzędzie.

Wilhelm dostrzegł, że przy Andersie zatrzymał się nieco dłużej. Mężczyźni wymienili kilka uwag. Na koniec Anders poklepał mężczyznę po ramieniu i wspólnie ruszyli do wyjścia. Dołączył do niech szef partii. Stojący w przejściu słuchacze rozstąpili się na boki, czekając na swoją kolej do wyjścia.

Wilhelm podszedł do Franka i wspólnie poczuli przesuwając się do drzwi. Kiedy stanęli przy samochodzie, dostrzegli Andersa żegnającego się po przyjacielsku z dwoma prelegentami. Wreszcie wsiedli do samochodu i w dobrych nastrojach odjechali.

– Moi panowie, wieje dla nas dobry wiatr – zaczął Anders, uśmiechając się pod wąsem. – W zasadzie to on wieje dla was! – Wymownie spojrzął na siedzącego obok niego syna, po czym powoli przeniósł wzrok na przyszłego zięcia. – Macie szansę zrobić coś wielkiego dla Rzeszy.

– Jesteśmy do dyspozycji – odparł Frank.

– Wiem, że ponad wszystko kochacie ojczyznę i nie zawahacie się, by za nią przelać krew. Tej krwi będzie potrzeba naprawdę dużo. Niebawem przyjdzie czas próby. Musimy mieć odwagę, by odzyskać to, co odebrano Niemcom: godność, szacunek i niezłomność.

Wilhelm był gotowy na to wyzwanie. Dumnie wyprostował się na siedzeniu i poprawił wpiętą w kołnierzyk swastykę. To był dobry czas na początek nowego, znacznie lepszego życia...

## Rozdział XIII



### Gospodarskim okiem

Pod koniec lipca bogaci mieszkańcy Wolnego Miasta Gdańska pakowali skrzynie i walizy, a później ładowali je do pociągów lub statków i wyruszali w podróż na zachód Europy. Nieco mniej zamożni upychali do bagaży wyprasowane przez służbę ubrania i wyjeżdżali do niewielkich nadmorskich wsi. Biedota zakasywała rękawy i szła w pole, by skosić zboże i trawę na paszę dla zwierząt.

Iwo, jak co roku latem, wsiadał do pociągu z niewielką walizką. Nie potrzebował wielu ubrań. W tak gorące dni najchętniej niczego by nie wkładał. Dzisiaj obok Iwa na drewnianym siedzeniu w pociągu usiadł Rajmund. Mimo otwartych wszystkich okien w wagonie wciąż było gorąco. Obaj siedzieli w rozpiętych koszulach, wachlując się kapełuszami. Rajmund po raz pierwszy jechał z Iwem na wieś. Później zamierzał też odwiedzić Warszawę.

Pociąg wjechał na stację w Bydgoszczy i głośnie zagwizdał, obwieszczając przybycie. Kłując w uszy pisk metalowych kół hamujących na szynach kazał pasażerom przygotować się do wyjścia. Młodzi mężczyźni wzięli niewielkie walizki i wyszli na peron. Tłum pasażerów wysiadających i wsiadających do pociągu nie pozwolił im dostrzec nikogo znajomego. Dopiero przed dworcem Iwo dojrzał starszego brata czekającego na nich przy wozie zaprzężonym w dwa konie.

– Już żem myślał, żeśta uciekli, gdzie pieprz rośnie, i same bedziem zniwować – oświadczył, widząc zbliżających się mężczyzn.

– Mielibyśmy sobie odmówić takiej przyjemności? – Iwo rozłożył ramiona, by powitać brata. – Jeszcze pomocnika przywozłem ze sobą. – Wskazał na Rajmunda, gdy skończyli się ścisnąć. – Mundek, chłop na schwał. Opowiadałem wam o nim.

– Poldek – przedstawił się starszy brat Iwa i chwycił Rajmunda w objęcia. – Gość w dom, Bóg w dom. Im więcej, tym lepiej, roboty zawsze w bród.

Po tym powitaniu mężczyźni wsiadli na wóz. Leopold zasiadł na prowizorycznie zrobionej ławeczce, którą stanowiła gruba deska zaczepiona pomiędzy dwoma bokami wozu, zaś goście, jako że się na niej nie zmieścili, usiedli na rozłożonym w wozie kocu.

– Jak za starych dobrych lat. – Iwo śmiał się, przekładając nogi za krypę wozu.

– Pamiętam, jak gospodarze spod Warszawy przywozili do nas na podwórko ziemniaki. Najpierw musieliśmy pomóc je rozładować i wrzucić do piwnicy, ale później mogliśmy wsiąść na wóz i przejechać się kawalek. Tym starszym chłopakom niektórzy pozwalali nawet powozić, ale mi to jakoś nie szło, bo konie w ogóle mnie nie słuchały – pożalił się.

Mężczyźni się zaśmiali. Potem rozmowa zeszała na temat planowanych żniw. Leopold wymienił nazwiska kolejnych gospodarzy, którzy zdążyli już ścinać zboże. Najbliżsi sąsiedzi pomagali sobie w tym pracowitym czasie, kolejno przenosząc się z pola na pole.

– A tyś kiedy trzymał w łapach kosę? – Leopold spojrzał na gościa podejrzliwie.

– Coś tam trzymałem, ale niekoniecznie kosę – zażartował Rajmund.

Jego rodzice z dziada pradziada byli sklepikarzami. Gospodarze sami przywozili do nich swoje plony. On z ojcem co najwyżej wsiadali na rowery i jechali na wieś w poszukiwaniu nowych możliwości handlu i pozyskania dobrego towaru.

– Nauczmy my ciebie wszystkiego – obiecał Poldek.

Iwo przez całą podróż dopytywał o gospodarstwo, obsiane ziemie i liczbę zwierząt w obejściu. Nie był w domu od Bożego Narodzenia, ale to nie znaczy, że nie interesował się gospodarstwem, które choć rodzice zapisali jego bratu, to wciąż traktował jak swój dom. To tutaj przyszedł na świat i spędził całe dzieciństwo.



Kołyszące się na wietrze lany zbóż przypominały mu o tamtych czasach beztroski i zabawy. Nieraz dostał od matki ścierką po plecach za to, że bawiąc się z innymi dziećmi ze wsi, wygniółł żyto. To była ich ulubiona zabawa. Sięgające ramion kłosa zboża stanowiły idealną kryjówkę w czasie zabawy w chowanego. Niestety wydeptane ścieżki pozostawały, a koszący żyto rolnicy nawet przez chwilę nie mieli wątpliwości, czyja to sprawka.

Gdy dotarli do gospodarstwa Koźmińskich, Wacek, niespełna ośmioletni syn Leopolda, otworzył im bramę z wąskich sztachet, by mogli wjechać na przestronne podwórk. Rajmund dostrzegł panujący na nim porządek. Dom stał po przeciwnej stronie wjazdu. Na prawo znajdowała się obora, a nieco dalej drewniana stodoła. Tuż przy niej stał wóz drabiniasty. Po podwórku biegały kury i białe kaczk, wśród których dokazywał mały szczeniak. Jego niewiele większa matka podbiegła do Rajmunda, gdy tylko stanął na ziemi, i przyjaźnie zaszczekała. Później dokładnie go obwąchała i zamerdała ogonem. Odwróciła się w stronę Iwa i gdy tylko wyczuła jego zapach, zaczęła ochoczo się lisać do jego nóg i lizać wyciągnięte w jej stronę dłonie. Zapachu przyjaznego jej człowieka nigdy nie zapomniła.

Kiedy Leopold wyprzągnął konie, wyjęli bagaże z wozu i udali się do domu. W drzwiach przywitała ich seniorka rodu, która mimo swoich pięćdziesięciu wiosen była kobietą spracowaną i zmęczoną życiem. Jej mąż wyglądał na znacznie starszego i mniej sprawnego, bo nawet się nie podniósł, by ich powitać.

Iwo dopadł do matki i ucałował jej dłonie, a potem mocno się do niej przytulił. Później przedstawił jej gościa i podszedł do Ignacego Koźmińskiego. Ten wyciągnął do niego pomarszczoną dłoń i niezbyt mocno ją zacisnął. Wiele długich lat ciężko pracował, uprawiając ziemię i hodując prosięta, a że ożenił się dość późno i z piętnaście lat młodszą kobietą, to musiał zacząć na pomoc potomków. Teraz korzystał z zasłużonego odpoczynku. I choć na co dzień jedynie doradzał pierworodnemu, jak ma prowadzić gospodarstwo, to w czasie żniw wsiadał na wóz i powoził, gdy zwozili snopki z pola do stodoły.

Po wymianie serdeczności, w których swój udział miała zarówno szwagierka Iwa, jak i jego siostra, usiedli do obiadu. Florentyna, żona Leopolda, postawiła na stole miskę z kartoflami suto okraszonymi smalcem z dobrze wysmażonymi skwarkami. Każdy dostał glinianą kwartkę na zsiadłe mleko, a Marianna, z zaciekawieniem łypiąc na chłopaka przywiezionego do ich domu przez brata, podała talerze z usmażonymi jajkami. Teraz każdy mógł nałożyć sobie na nie wystarczającą liczbę kartofli.

– I jak tam ci, synku, nad tym morzem? – Barbara zadała zwyczajowe pytanie synowi.

– A dobrze – powiedział jak zwykle.

– Nie chcesz ty do nas wrócić?

– Mamuś, u was najlepiej na świecie, ale mnie tam potrzebują. Ja tam dla naszego kraju jestem.

– Oj, bez nas ani rusz – zawtórował mu Rajmund. – My we dwóch tyle niemieckich oszustów wyluskamy, że powinniśmy jakiś medal dostać od prezydenta Mościckiego.

– Aż tacy z was wzorowi pracownicy? – Marianna zachichotała.

– Potrafimy poświęcić wszystko, nawet życie, żeby złapać przemytników – oświadczył z dumą w głosie Rajmund.

Barbara zdrętwiała i spojrzała na syna, który nie odrywał wzorku od stojącego przed nim talerza.

– Nie mówiłeś, że jest tam niebezpiecznie – powiedziała Barbara.

– Mamuś, nigdzie nie jest bezpiecznie. Gdy wychodzisz w pole, to koń może cię kopnąć, jak go gzy pogryzą. Idziesz drogą, a najedzie na ciebie pijany kierowca samochodu albo woźnica. Mundek przesadza z tym poświęceniem. Ot, praca jak każda inna. Ale nie przyjechałem po to, żeby narzekać na swoją robotę. Lepiej mówcie, co we wsi słychać – zarządził Iwo, a kiedy Marianna poczęła opowiadać o tym, kto się ostatnio ożenił, komu urodziło się dziecko, a kto przegrał w karczmie połowę majątku, odetchnął i nawet zaczął się uśmiechać.

Po obiedzie Leopold wraz z synem i dwoma małymi córeczkami zaprowadził mężczyzn na pola, by pokazać im tegoroczne plony. Szli, hen, przed siebie drogą na szerokość wozu, podziwiając złociste lany żyta, pszenicy i jęczmienia. Dzieci biegły z przodu. Dziewczynki rwały chabry i maki, których główki wychylały się ze zboża. Wacek gonił za podfruwającą sroką.

– Chłopy, to co z tą waszą robotą? Jak to naprawdę tam u was jest? – odezwał się Leopold.

– Robota jak robota – usiłował go zbyć młodszy brat.

– Aha. Bajdurzyć to możesz matce, ale nie mnie.

– Nie jest tak bezpiecznie jak kiedyś – wtrącił Rajmund.

– A czemuż to tak źle?

– Niemcy coraz bardziej się panoszą, zbroją swoich, a my coraz mniej możemy im zrobić – ciągnął dalej, nie bacząc na niechętny wzrok Iwa.

– Nie możeta ich zamknąć w więzieniu?

– Mają swoich adwokatów, sędziów i policję. Co my możemy? Nas jest garstka.

- Do czego to doszło... – Gospodarz pokręcił głową z niedowierzaniem.
- Nie mówię o tym matce, żeby jej nie martwić – przyznał Iwo.
- O twoim postrzale też nie wiedziała? – upewnił się Rajmund.
- Strzelali do ciebie? – Leopold aż się zatrzymał.
- Ano strzelali, wielkie mi rzeczy. Tylko przy matce gęba na kłódkę.

Kolejne dni upłynęły im na ciężkiej pracy. Wszyscy wstawali o brzasku i szli w pole. Tylko dzieci mogły pospać aż do rana. Zostawały pod opieką babci, ale gdy tylko otworzyły oczy, w pośpiechu jadły chleb posypany cukrem i co sił w nogach gnały na przelaj, by jak najszybciej dołączyć do żniwiarzy. Później pałętały się, chowając się za snopkami zboża.

Rajmund szybko nauczył się kosić. Na początku nie mógł wyczuć, jak duży zamach powinien brać, by za jednym ruchem ściąć jak największy łąn. Jednak nabierał coraz większej wprawy i po kilku dniach w niczym nie odstawał od braci Koźmińskich.

Wieczorami, po całym dniu pracy, wszyscy siadywali przy stole wyniesionym przed dom i zając kolację, wspominali żniwa sprzed wojny. Pokolenie zrodzone tuż przed albo zaraz po wojnie słuchało z zapartym tchem, bo choć minęło tyle lat i Polska odzyskała niepodległość, to wizja ucisku i niewoli odcisnęła piętno w świadomości ludności.

A gdy rozmowy cichły, a dzieci zmęczone przysypiały, nie chcąc wstać od stołu, młodzież odchodziła, by choć przez chwilę pobyc w własnym towarzystwie i porozmawiać o tym, kiedy odbędzie się najbliższa potańcówka.

Rajmund szczególnie lubił rozmawiać z Marianną. Dziewczyna siadała przed domem i rozplatała długie włosy, które później wyczesawała, by pozbyć się źdźbeł zbóż. Częstoowała go zimnym kompotem z wiśni i ciastem drożdżowym z grubą warstwą kruszonki. Gdy tak siedzieli, Marianna opowiadała mu o życiu na wsi, którego sam nie doświadczył. On się odwdzięczał opowieściami o warszawskim zgiełku i tramwajach, które powoli zaczęły zmieniać oblicze stolicy.

W niedzielę całą rodziną pojechali do kościoła. Leopold rozłożył w większych odstępach kilka desek pomiędzy burtami wozu, a jego żona nakryła je pledami, by nikt nie zahaczył i nie zniszczył ubrania. Rajmund usiadł na końcu, by towarzyszyć Mariannie. Gdy dotarli do niewielkiego drewnianego kościoła znajdującego się w sąsiedniej wsi, Leopold przywiązał konia do ogrodzenia i wszyscy weszli do środka. W środku było na tyle ciemno, że na ołtarzu zapalono trzy grube świece. Zdobiące ołtarz malowidła ukazywały sceny z życia Chrystusa. Siedzący w kościele wierni szepotali modlitwy, czekając na rozpoczęcie mszy.

Koźmińscy zajęli dwie ławki na końcu. Zaraz potem wszedł ksiądz i rozpoczął nabożeństwo. Zgromadzeni odpowiadali łacińskie formułki. Dopiero kiedy przyszło do kazania, wiekowy ksiądz wdrapał się na ambonę wysuniętą w stronę wiernych.

Płynące z jego ust słowa koily umęczone pracą ciała i dodawały radości uciśniętym biedą sercom. Starzec patrzył na swoje owieczki wyrozumiałym wzrokiem, gdy mówił o grzechach i potrzebie wybaczenia. A potem skierował osobne słowa do młodzieży:

– A wy się miłujcie, bo tylko miłość da zapomnienie w czasach, gdy niepewna pewność. Życie jeszcze nieraz was zaskoczy, ale wy ufajcie sobie i bądźcie na zawsze dla siebie. Wtedy nic was nie złamie. Nic nie zaskoczy. Nic nie wymaże ze świadomości najbliższych. Nie pozbawi szacunku wobec życia.

Marianna spojrzała na siedzącego obok niej Rajmunda i się uśmiechnęła. Chłopak najwidoczniej pojął jej intencje, bo odwzajemnił uśmiech, a potem ostrożnie nakrył jej dłoń swoją. Dalej trwali zasluchani w słowa proboszcza, który wciąż mówił o szacunku wobec ludzkiego życia.

## Rozdział XIV



### Pod prąd

Deszcz od kilku dni straszyl mieszkańców Pomorza i nic nie robił sobie z tego, że rolnicy nie zdążyli zwieźć zboża do stodół. Nabrzmiałe od deszczu chmury powoli przetaczały się po niebie, zasłaniając słońce. Tylko nieliczni przechodnie w pośpiechu przemykali po opustoszałych ulicach, tuląc się do swoich parasoli jak do najlepszych przyjaciół.

Modystka chwyciła kolejną szpilkę utrzymaną w ustach i zapięła nią dół długiej, wąskiej sukienki ze śnieżnobiałego atlasu, której ozdobę stanowiły sięgające połowy uda rozcięcie oraz odsłaniający znaczną część pleców dekolt. Kobieta uwijała się z zaznaczeniem długości sukni. Chciała mieć z głowy pannę młodą, lecz czuła w kościach, że to jeszcze nie koniec. Owszem, suknia podobała się klientce, ale modystka była zbyt dojrzała i doświadczona, by nie wiedzieć, kto podejmuje wszystkie decyzje w sprawie wesela. Narzeczonym tylko tak się wydaje, że mają wpływ na to, jak będzie wyglądał ich ślub, a potem całe wspólne życie. Zawsze jest jednak ktoś, kto wie od nich lepiej.

Nela spojrzała na przyjaciółkę, która z nosem na kwintę siedziała na niewielkiej kanapie naprzeciwko niej.

– Mówię ci, że to nie przejdzie – powtórzyła po raz wtóry tego popołudnia. – Lepiej przyznaj się przed matką, bo ona prędzej dostanie zawału, niż pozwoli ci w takiej sukience stanąć na ślubnym kobiercu.

– Może panienska Klara ma rację – zawtórowała nieśmiało modystka.

– Ona już brała ślub i mogła zdecydować, jak ma wyglądać, a teraz moja kolej – oświadczyła, nie odrywając wzroku od swojego odbicia w stojącym przed nią lustrze.

– Nelia, wystawisz się na pośmiewisko – ciągnęła Klara. – To zbyt duża ekstrawagancja. Ludzie jej nie zrozumieją.

– Ale ja taką siebie chcę widzieć tego dnia... – stwierdziła, kończąc dyskusję.

Modystka jeszcze zaznaczyła, o ile ma podszyc dekolt, po czym pomogła jej się rozebrać z sukienki, unikając ukłuć szpilkami.

Gdy wyszły z pracowni, Nela rozłożyła parasol i ruszyła w przeciwnym kierunku, niż powinny pójść, by trafić do domu.

– Nela! Dokąd ty leziesz w taki deszcz?!

– Na spacer – odrzekła spokojnie; ani na chwilę nie odwróciła się w stronę przyjaciółki.

– Zaczekaj! Przemokniemy i się przeziębimy. Wylądujemy w łózkach i to będzie twoja wina.

– Przecież możesz wracać do domu.

– Nelia, wiem, że jesteś zdenerwowana ślubem, ale pomyśl trochę o sobie.

– Właśnie niedawno doszłam do wniosku, że zbyt długo myślałam tylko o sobie... – Zawiesiła głos i zatrzymała się na wprost przyjaciółki. Kapiący z parasola deszcz moczył jej skórzane pantofle i dół nogawic granatowych spodni. Nela zwracała na to uwagi. – Klara, czy ty nie widzisz, w jak dziwnym miejscu my mieszkamy?

– Niby dlaczego?

– Choć nie jesteśmy w Polsce, to wszędzie usłyszysz język polski. Choć nie mieszkamy w Rzeszy, to nic nie załatwisz w urzędzie, jeśli nie szwargoczesz po niemiecku. Czy to jest normalne? Czy znasz inne takie miejsce? Czy musimy na każdym kroku zaznaczać swoją wyższość i kopać innych?

Klara patrzyła na przyjaciółkę z rosnącym zdziwieniem. Nigdy wcześniej nie rozmawiała o podobnych sprawach. Życie toczyło się obok nich. Miały swój mały świat. Kilkoro znajomych, z którymi chodziły do kina czy teatru. Tony książek do przeczytania. Codzienną popołudniową kawę w dobrym towarzystwie. Klara nie mogła zrozumieć, skąd te wszystkie pytania i do czego one prowadzą.

– Ja tak dłużej nie mogę żyć – wyznała Nela, patrząc w oczy przyjaciółki. – Chcę czegoś innego niż życie pod kłosem.

– Nie rozumiem cię. Masz wszystko i szukasz dziury w całym.

– Może – westchnęła Nela. – Do zobaczenia, Klarciu – powiedziała i pomachała na odchodne.

Czuła, że przyjaciółka zupełnie jej nie rozumie. Dotychczas były sobie tak bliskie. Teraz miała wrażenie, że dzieli je przepaść. Szła, nie zastanawiając się, dokąd zmierza. Płynąca ulicą woda już dawno przemoczyła jej pantofle. Duże kałuże rozlewające się po bruku uniemożliwiały swobodne przejście. Nieraz musiała więc wyjść na środek ulicy, by pokonać kolejny dystans.

Wreszcie stanęła przed dużym budynkiem przy Aller Gottes Engel. Nagie okna zalewał deszcz. Drzwi wejściowe pozostawały zamknięte, a jednak wiedziała, że w środku budynek tętni życiem ratowanym przez personel oddziału chorób wewnętrznych szpitala.

Wciąż pamiętała pierwszą rozmowę w swoim domu o tym, że po zdaniu matury chce kontynuować naukę. Rodzice pochwalili jej ambicje, choć nie dostrzegli w jedyńczej talentu twórczego czy językowego. Nie bardzo więc wiedzieli, w którym kierunku ją poprowadzić. Tego, że wybierze pracę z chorymi, absolutnie się nie spodziewali. Matka wpadła w złość, twierdząc, że jej córka chce ściągnąć chorobę na siebie i całą ich rodzinę. Kobieta nie mogła usiedzieć na miejscu. Przez cały czas chodziła w tę i z powrotem, pokrzykując na jedyńczkę. Później pałeczkę przejął ojciec, który zachowując zimną krew, starał się pokazać najgorsze oblicze pracy z chorymi pacjentami.

Nela doskonale знаła te argumenty. Nie była głupia. Dobrze przygotowała się do rozmowy. Zdążyła już o szczegóły pytać znajomą pielęgniarkę i porozmawiać z doktorem, który leczył ją od dziecka. Nie miała żadnych obaw o swoje zdrowie. Ponad wszystko chciała pomagać potrzebującym. I to właśnie tłumaczyła rodzicom przez kilka kolejnych miesięcy. Wreszcie wymusiła na nich zgodę i rozpoczęła naukę w szkole pielęgniarstwa. Wtedy nie miała pojęcia, że rodzice nie pozwolą jej wykorzystać wiedzy i umiejętności zdobytych w czasie nauki. Tu nie pomogły długie i wyczerpujące rozmowy. Musiała odpuścić. Ale teraz...

Teraz pchnęła drzwi i weszła do środka. Od zapachu środka dezynfekcyjnego dostała lekkiego zawrotu głowy, więc oparła się o zimną ścianę i zaczekała, aż poczuje się lepiej. Dopiero wtedy podeszła do okienka wyciętego w drzwiach prowadzących na izbę przyjęć. Krzątająca się po gabinecie pielęgniarka nie zareagowała. Nela odchrząknęła. To zwróciło uwagę kobiety.

– A co tam się stało? – spytała, podchodząc do okienka.

Nela oceniała, że była od niej niewiele starsza. Jej szara sukienka wykończona białym kołnierzem i mankietami sięgała dziewczynie do połowy łydki. Na to włożyła biały fartuch zapinany z tyłu na krzyż. Jej ciemne włosy zakrywała czepek, a na drobnej twarzy malowało się zaciekawienie.

– Nic... właściwie to nic. – Wcześniej przygotowane słowa wzięły jej w gardle.

Pielęgniarka jeszcze przez chwilę patrzyła na Nelę, jakby czekała, aż ta sobie przypomni cel swojej wizyty. Gdy jednak dziewczyna milczała, wróciła do porządkowania materiałów opatrunkowych, które niedawno dostarczono do szpitala.

Nela obserwowała krzątanicę. Pamiętała towarzyszącą jej ekscytację, gdy po raz pierwszy przyszły z koleżankami na praktyki do szpitala. Wszystko ją ciekawiło. Mogła godzinami siedzieć przy łóżkach chorych, karmiąc ich czy opatrując rany. Dopiero gdy wychodziła ze szpitala, odczuwała zmęczenie. Jednak poczucie satysfakcji skutecznie pomagało zapomnieć o kilkugodzinnym trudzie.

– Kiedyś byłam tutaj na praktykach.

Pielęgniarka odwróciła się w jej stronę i przez chwilę patrzyła na nią, jakby nie rozumiała.

– Dobrze wspominam tamten czas.

– Ja tu pracuję od niedawna i nie pamiętam panienki.

– Praktykowałam pod okiem doktora Werlego. Wspaniały człowiek i doskonały lekarz.

– To prawda. Pan doktor to taki dobry duch tego miejsca.

– Pracuje tu nadal?

– Owszem. Jest niezastąpiony.

– Pewnie ma długą listę pacjentów?

– Tak to jest, jak każdemu chce się pomóc...

– Chętnie bym go odwiedziła – stwierdziła, a w jej głosie pojawiła się melancholia.

– Wejdzie panienka na pierwsze piętro i zapyta o niego. – Pielęgniarka otworzyła drzwi. – Dzisiaj było dużo wypisów, więc może pan doktor znajdzie chwilę na rozmowę.

Nela wślizgnęła się do środka i podeszła do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Znała to miejsce. Wspięła się po schodach i stanęła na korytarzu. Po obu stronach ciągnęły się sale dla chorych. Nela nie chciała zakłócać ich spokoju, pozostała więc w miejscu. Kilka minut później spostrzegła ją pielęgniarka niosąca strzykawkę.

– Co pani tutaj robi?

– Szukam doktora Werlego.

– Nie można ot tak sobie wejść z ulicy i kogoś szukać.

– Ale ja chcę z nim porozmawiać o sprawie prywatnej.

– A to trzeba było tak mówić od razu – zganiła ją kobieta i skinęła głową, by za nią szła. – Doktor jest u siebie w gabinecie.

Nela cicho zapukała we wskazane drzwi. Nie usłyszała zaproszenia, więc ponownie zastukała, ale tym razem zrobiła to znacznie mocniej.

– Proszę – usłyszała męski głos.

Oczom Neli ukazał się starszy mężczyzna w białym kitlu siedzący przy dębowym biurku, pochłonięty czytaniem poradnika z nowinkami medycznymi. Gdy dostrzegł Nelę, zsunął okulary z nosa i odłożył grubą książkę na bok.

– Panienska tutaj? Coś panience dolega? – zaciekał się, poznając dawną praktykantkę.

– Dzień dobry, panie doktorze. Ze mną wszystko w porządku. Chciałam tylko pana odwiedzić. Dawno tu nie byłam.

– Jeśli tylko po to przychodzisz, to bardzo się cieszę.

Nela usiadła w fotelu ustawionym naprzeciwko biurka.

– Opowiadaj, co u ciebie, dziecko.

– Dobrze... całkiem dobrze – odparła, nie bardzo wiedząc, co powinna powiedzieć.

Nie chciała wdawać się w szczegóły. Tylko raz rozmawiała z doktorem o sprawach prywatnych. Wtedy jednak była tak wzburzona, że nawet nie słyszała tego, co do niej mówił. Myślała, że zaraz po ukończeniu szkoły podejmie pracę w szpitalu. Doktor się zgodził. Doceniał jej zaangażowanie w opiekę nad pacjentami, której kompletnie nie pojmowali jej rodzice. Stawiał na młodą kadre, a zapotrzebowanie na personel wciąż rosło. Dobrze wykształcona niemiecka pielęgniarka była wartościowym pracownikiem, dlatego gdy Nela obwieściła, że jej rodzice nie pozwalają jej pracować, był mocno rozczarowany tą decyzją. Gotów był nawet sam z nimi porozmawiać, by spróbować ich przekonać. Nela jednak nie chciała narażać go na niepotrzebny trud. Ojciec zaparł się, a matka głośno mu wtórowała.

– Pan jak zwykle na stanowisku.

– Moje dziecko, ten szpital właściwie stał się moim domem. Nierzadko spędzam tu całe dnie.

Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Poszarzała twarz świadczyła o tym, że rzadko zażywał kąpieli słonecznych.

– Rozumiem pana... – Westchnęła.

– Ależ co ty pleciesz. Mieszkasz w pięknym domu, a pewnie i męża za chwilę będziesz miała? – spytał, patrząc na jej pierścionek.

Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Zamiast tego powiedziała:

– Tęsknię za tym miejscem.

– A to miejsce za tobą! – zażartował doktor. – Naprawdę zapowiadałaś się na świetną pielęgniarkę.

Siedzieli, patrząc na siebie w milczeniu.

Werle wiedział, że nie ma prawa niczego oczekiwać. Nie chciał mieć do czynienia z senatorem Wittem. Wolał nie mieszać się do polityki i nie zadzierać z człowiekiem, który mógł w tym mieście zrobić zarówno wiele dobrego, jak i złego. Szkoda, że zasmakował w tym drugim.

Nela przygryzła dolną wargę. W jej głowie załopotała natrętna myśl. Myśl, której nie potrafiła się pozbyć.

– Mogę zajrzeć do chorych? – spytała.

– Naprawdę tego chcesz?

Zamiast odpowiedzi na jej ustach pojawił się uśmiech. Tutaj czuła się wolna. Miała prawo myśleć po swojemu i robić to, co dyktowało jej serce. To wystarczyło.

– To idziemy – zarządził, wstając za biurka.

Nieco zgarbiony lekarz splótł dłonie za plecami i bez pośpiechu skierował się do drzwi. Otworzył je i zaczekał, aż Nela wyjdzie z gabinetu. Dalej szli obok siebie. Mijający ich pacjenci nisko kłaniali się lekarzowi. Ten uśmiechał się i przy każdym pacjencie zatrzymywał, by zapytać, jak ten się miewa. Wreszcie zajrzeli do pierwszej sali. Dziesięć łóżek ustawionych po dwóch stronach niezbyt dużej sali zajmowali sami mężczyźni. Kilku z nich spało. Dwóch grało w kości, a pozostali albo czytali gazety, albo rozmawiali. W ciasnym pomieszczeniu panował zaduch. Nela natychmiast podeszła do okna i je otworzyła. Wtedy usłyszała wymianę słów w języku polskim. Już rozumiała.

Lekarz wymienił kilka zdań z chorymi. Mówił łamaną polszczyzną, ale wbrew zaleceniom władz szpitala i miasta ani razu nie użył języka niemieckiego. Później sprawdził dawkowanie lekarstw zapisane w karcie. Dwaj pacjenci prosili o leki przeciwbólowe. Gdy upewnił się, że nikomu niczego więcej nie potrzeba, poszli dalej.

W kolejnej sali tej samej wielkości co poprzednia znajdowało się tylko sześć łóżek. Nela nie musiała pytać, kim z pochodzenia są pacjenci. Werle zwrócił się do nich po niemiecku, lecz zadał im dokładnie te same pytania co chwilę wcześniej. Znowu zajrzał do kart i znowu przepisał dodatkowe leki.

Później wyszli na korytarz, by zajrzeć do następnej sali, ale gdy przestępowali próg, usłyszeli donośny dźwięk dzwonka niosący się po całym korytarzu.

– Na dzisiaj tyle. Muszę iść do pacjenta – oświadczył lekarz i szybko podreptał w stronę schodów.

Nela ruszyła w ślad za nim.

– A może mogłabym tu zaglądać raz czy dwa razy w tygodniu? – spytała nieśmiało.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – odezwał się, nie odwróciwszy głowy w jej stronę.

– Od dawna nie miałam lepszego...

– A co na to twoja rodzina?

– Nikt się o tym nie dowie. – Zniżyła głos, jakby obawiała się, że ktoś może ich podsłuchiwać.

– Chcesz aż tak ryzykować?

Pokiwała głową, a jej usta rozchyliły się w promiennym uśmiechu. Chciała tego. I wiedziała, że to najlepszy czas, żeby spróbować zrealizować to marzenie. Niczego więcej nie pragnęła.

– Zastanów się nad tym pomysłem dwa razy... – Urwał, ostrożnie schodząc po schodach.

Nela nie odstępowała doktora na krok. Galopujące myśli nie pozwalały jej zwolnić. Czowała, że w tej chwili nie może odpuścić ani lekarzowi, ani sobie. Kolejny raz nie odważyła się na tak duży krok.

– Nie chcę żadnych pieniędzy. Po prostu będę pomagać – przekonywała, wciąż szukając w głowie nowych argumentów. – To duża oszczędność dla szpitala i lepsza opieka nad pacjentami – ciągnęła, czując, że to dobry trop.

Lekarz zatrzymał się na parterze i odwrócił się w jej stronę. Jego krzaczaste brwi tworzyły jedną linię nad poszarzałymi oczyma.

– Panie doktorze, mamy kolejną pobitą pacjentkę – poinformowała wychodząca z izby przyjąć młoda pielęgniarka, która niespełna godzinę wcześniej wpuściła na oddział Nelę. – Ma bardzo dużo ran na twarzy i ciele. Już ją obmyłam, ale chyba nie obejdzie się bez szwów.

– W takim razie musi jechać na chirurgię – odparł lekarz.

– Ale tam już nie mają miejsc, dlatego przywieźli ją do nas. – Pielęgniarka bezradnie rozłożyła dłonie.

– Co za świat... Widzisz, z czym tu się borykamy? – powiedział Werle, po czym spojrzał na Nelę. – Przemysł to jeszcze, moje dziecko.

Nela słyszała jego ciepły głos wypytujący kobietę o zajście. Rozmawiali po polsku, więc nie wszystko rozumiała, zdołała jednak pojąć ogólny sens. Kobieta płakała, opisując spotkanie z grupą młodych awanturników, którzy wybiegli z kina i zaczęli zaczepiać idących wzdłuż ulicy ludzi rozmawiających po polsku. Kilka osób w porę uciekło na drugą stronę drogi. Inni udali, że właśnie w tej bramie mieszka ktoś znajomy, kogo koniecznie muszą odwiedzić, ale byli też tacy, którzy wciąż naiwnie wierzyli, że wszyscy mieszkańcy Wolnego Miasta Gdańska mają takie same, równe prawa. Mąż kobiety szybko został sprowadzony na ziemię. Kilkadziesiąt ciosów otrzymanych od wielbicieli filmów z Hitlerem w roli głównej nie pozwoliło mu podnieść się z ulicy. Został na niej aż do przyjazdu karawanu. Ona miała więcej szczęścia. Wyczołgała się spod płataniny ciał, gdy oprawcy znęcali się nad jej mężem.

Zawodzenie kobiety sprawiło, że Nela usiadła na schodach. Czowała lodowaty chłód obejmujący kolejne partie jej ciała. Siedziała nieporuszona, skostniały jej palce stóp i dłoni. W głowie przewijały się kolejne kadry filmu, którego główna bohaterka leżała pokrwawiona na izbie przyjęć, a ciało jej męża właśnie składane było do trumny.

Nela zacisnęła powieki, ale to nie pomogło. Wciąż słyszała dudniące w jej głowie słowa pobitej. A gdyby to była ona? Gdyby ktoś odważył się podnieść rękę na nią? To pytanie wydało jej się tak niedorzeczne, że niemal się uśmiechnęła. A jednak w tym mieście żyły kobiety, które mogły czuć lęk przed wyjściem na ulicę...

Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła, siedząc na schodach, jednak gdy drzwi na izbę przyjęć się otworzyły, poczuła odretwienie ciała.

– Ty jeszcze tutaj, moje dziecko? – zdziwił się lekarz, wycierając ręce o niewielki ręcznik. Jego fartuch był poplamiony krwią, ale póki co go nie zmienił. Nie miał pewności, że za chwilę znowu nie pojawi się pacjent, którego będzie musiał przyjąć na oddział po uprzednim pozszywaniu ran.

Chciała coś powiedzieć, cokolwiek, ale nie mogła się na to zdobyć.

– Wiedziałem, że jesteś wyjątkowa – dodał starszy człowiek i uśmiechnął się do niej.

Ileż by dał, by mieć taką córkę. Gdy się jednak zorientował, było już za późno na posiadanie dzieci. Całe życie poświęcił innemu, realizując swoją misję; dla niego nie miało znaczenia, kim byli jego pacjenci. Wszystkich traktował jednakowo. Pewnie dlatego nie zrobił kariery i pozostał jedynie kierownikiem oddziału chorób wewnętrznych. To mu w zupełności wystarczyło. Kochał to, co robił. Tym bardziej cieszyło go, gdy na swojej drodze spotykał takich ludzi jak Nela.

## Rozdział XV



# Wbrew logice

Wieczorny koncert świerszczy, które rozsiadły się w niewielkim ogródku Fridy Radke, przypomniał odpoczywającym w nim celnikom o tym, że czas najwyższy nakryć do kolacji. Na obiad nie wracali do domu. W przelocie jedli kawałek chleba ze śmietaną, masłem lub smalcem. Dopiero wieczorem zasiadali do stołu przy ciepłym posiłku.

Iwo uniósł pokrywkę i zajrzał do sagana. Wywar warzywny smakowicie bulgotał i choć było mu gorąco od kuchni, to najchętniej stałby przy niej, co rusz mieszając zupę i próbując, czy jest już ugotowana. Ziemniaki potrzebowały już tylko kilku minut, by zrobiły się miękkie. Wziął więc bryłkę zagniecionej ciasta i zaczął je rolować o jedną dłoń, a odpadające kawałeczki wpadały do zupy. Zacierek nauczył się robić dopiero, gdy przyjechał do Sztutowa. Wcześniej widział, jak to robiła matka i siostra, ale żadna z nich nie pozwoliła mu dojść do kuchni. Tutaj szybko się przekonał, że umiejętność gotowania jest bezcenna.

Kiedy w saganku znalazły się już wszystkie zacierki, zamieszał zupę i nakrył naczynie pokrywką. Następnie dorzucił jeszcze do ognia grube drewno i od czasu do czasu mieszając wywar, zaczekał, aż zupa zacznie wrzeć. Później wyjął duże gliniane miski i nalał do nich porządne porcje zupy.

Gdy wszystko było gotowe, zawołał Rajmunda i usiedli do stołu. Iwo obserwował przyjaciela. Odkąd wrócili z Niw, zauważył, że Rajmund nie może znaleźć sobie miejsca. Raz czy dwa przyłapał go na pisaniu listów. A gdy go spytał, do kogo je wysyła, wykręcał się od odpowiedzi. Nie musiał. Każdy z nich miał prawo do sekretów.

Właśnie zaczęli jeść, gdy do kuchni wszedł spóźniony Andrzej Kucharski. Jego ogorzała od słońca i wiatru twarz niemal kipiała złością, a dwie głębokie bruzdy na czole sprawiły, że jedzący posiłek natychmiast zamarli.

– Jakby im jeszcze było mało... nawet mundur nam zabrali! – wypalił, gdy tylko stanął przy stole.

– Jakże to? Ktoś ukradł nasze mundury? – zaciekawił się Iwo.

– Oni kradną, co się da, i ciągle im mało!

– Ale szef ma na sobie mundur – powiedział Rajmund.

Kucharski jakby na to tylko czekał. Drżącymi dłońmi natychmiast począł rozpinąć guziki od marynarki.

– Ten mundur ma znaczenie! To nasza chluba! To symbol tego, co robimy dla naszego kraju! A oni chcą nas tego wszystkiego pozbawić.

Młodzi mężczyźni śledzili poczynania zwierzchnika. Ten zaś szarpał materiał, nie mogąc się z niego wydostać. Podszewka kleiła się do przepoconej koszuli. Z kieszeni wystawał krawat, który już wcześniej został do niej schowany.

– Ponoć ich prowokujemy naszym wyglądem. Podobno obnosimy się z bronią i mundurem. – Zaśmiał się, ale w jego głosie pobrzmiwało rozgoryczenie. – To teraz będzie wisiał na gwoździu, a broń wrzucę do studni – ciągnął rozżalony.

– Jakże to? – zdziwił się Iwo.

– Przyszło polecenie z samej góry – zaczęła, wciąż nie mogąc ustać w miejscu. – Mamy pełnić służbę w cywilnych ubraniach i nieuzbrojeni<sup>20</sup> – wyrzucił z siebie i bezwładnie opadł na krzesło. – Czy to się kiedyś wreszcie skończy? – jęknął i schował poczerwieniałą twarz w dużych dłoniach.

Iwo bał się odpowiedzieć na to pytanie. Czuł się znacznie bezpieczniej z bronią przy boku. Wiedział, że każdego dnia ryzykuje życie i to była jego jedyna obrona. Co z nimi będzie, gdy oddadzą broń do depozytu?

W zupełnej ciszy jedli obiad. Żaden z nich nie czuł smaku zupy. Ich myśli rozproszyły się wokół trosk o własne bezpieczeństwo. Nawet świerszcze nieco ucichły, by nie zakłócać ich myśli.

Kiedy skończyli, Rajmund pozbierał brudne naczynia i je zmył. Taki mieli niepisany podział obowiązków. Ten, kto gotował, zwolniony był ze sprzątanego po posiłku.



Kucharski wciąż mocno rozgoryczony chodził w tę i z powrotem po ogródku. Jego splecione z tyłu ręce drżały z emocji. Zmęczonym wzrokiem patrzył przed siebie, ale nie widział tego, co dzieje się wokół.

– Chyba bardzo to przeżywa – zauważył Iwo, patrząc przez okno na ogród.

– Ta robota to całe jego życie – powiedział Rajmund, wycierając ręce po skończonej pracy.

– Może już czas rozejrzeć się za jakimś nowym zajęciem?

– Myślisz, że powinniśmy się stąd wynieść?

– Sam nie wiem. Lubię tę robotę i to miejsce... – Urwał i podszedł do stołu, by zgarnąć z niego okruchy z chleba.

Właśnie wrzucał je do spodeczka ustawionego na parapecie kuchennym, gdy jego uwagę przyciągnął trzask pękającej szyby. Odruchowo osłonił twarz. Szkło sypało się wokół niego. Nagle poczuł, że przedramiona zaczynają go piec. Odskoczył od okna i zbolalym wzrokiem spojrzął na ręce. Wokół nich oplotła się krótka wyszydełkowana firanka, która cała płonęła. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że wrzucony do kuchni kamień płonął morderczym ogniem.

Rajmund chwycił za stojące przy kuchni wiadro i oblał przyjaciela wodą. Ten zaskoczony parsknął i się krztusił. To jednak pomogło ugasić płomień. Rajmund odrzucił wiadro i doskoczył do Iwa, który wciąż jęczał z bólu. Parząc palce, zaczął zdzierać z chłopaka spaloną firankę. Jednak wtopione w skórę kawałki włókien nie dawały się tak łatwo wyciągnąć.

– Co do cholery?! – Zdziwiony Kucharski wbiegł do domu. – Mateńko jedyna! – wykrzyknął, widząc poparzone ręce Iwa. – Co tu się wyprawia?!

Rajmund nie przestawał wyskubywać nitek, ale Iwo coraz głośniejsze zawodził.

– Przynieś wody! – nakazał Kucharski Rajmundowi, a sam zaczął zdejmować z Iwa koszulę, która w wielu miejscach była spalona.

Gdy Rajmund postawił wiadro w kuchni, Kucharski posadził Iwa i napełnił miskę wodą po same brzegi.

– Wkładaj ręce do wody – nakazał. – A ty leć do Goryniakowej, może ma jakie maści albo podpowie, co dalej robić – zwrócił się do Rajmunda.

Ten jedynie skinął i wybiegł z domu. Chwycił stojący pod płotem rower i wyprowadził go na drogę, po czym co sił w nogach popedałował na obrzeża wioski.

Iwo zaciskał zęby, choć wciąż czuł, jakby jego skóra płonęła. Zimny pot zmieszany ze łzami spływał mu po twarzy. Choć siedział, nogi wciąż mu drżały.

– Lepiej? – spytał z nadzieją w głosie Kucharski.

Iwo spróbował się uśmiechnąć, ale kłamanie nie szło mu zbyt dobrze.

– Może spróbuję oczyścić rany?

Tym razem chłopak spojrzął na niego z przestrachem. Owszem, kiedyś już się oparzył, rozpalając ogień w starym piecu, gdy mieszkał na stacji. Komin musiał być zaphany, bo wcale nie chciało się palić, a gdy zaczął w nim gmerać, spadła na niego tona sadzy. Później nie przewidział, że tak szybko może buchnąć ogień. Wtedy jednak skończyło się na osmaleniu twarzy, spalonych brwiach i włosach. Teraz rany były duże i wciąż piekły.

Kucharski wybiegł z kuchni i po chwili wrócił, niosąc prześcieradło, które zaczął drzeć na wąskie paski i układać je obok miski na stole. Później wyjął jeszcze białą, uprasowaną chusteczkę i położył na górze stosu.

– Pokaż ręce – polecił.

Iwo wyciągnął ociekające wodą ramiona i położył je na stole. Starszy mężczyzna próbował chusteczką obetrzeć wodę. Chłopak wiał się z bólu.

– Może po prostu to zawinąć? – zastanawiał się na głos.

Tymczasem Iwo miał coraz mniej siły, by siedzieć.

– Połóż się, chłopcze – polecił Kucharski, widząc pogarszające się samopoczucie Iwa.

Chwycił go pod ramię i poprowadził do pokoju, a potem ostrożnie ułożył go na łóżku. Później spróbował zabandażować poparzone ręce. Iwo wciąż zaciskał zęby z bólu.

Kucharski właśnie skończył robić opatrunki, gdy w drzwiach stanęła Goryniakowa wraz z synową i Rajmundem.

– Pochwalony – odezwała się powitanie. – Śpi?

– Chyba tak – odparł celnik. – Nacierpiał się, biedaczysko, to i się pospał.

Kobieta zbliżyła się do łóżka i przyłożyła dłoń do czoła chłopaka. Było chłodne, choć mokre od potu. Później ostrożnie podniosła jego prawą rękę i poczęła zdejmować opatrunek.

– Lepiej to wietrzyć – powiedziała, czując na sobie badawczy wzrok celników.

Synowa przystawiła kobiecie krzesło do łóżka. Ta usiadła na nim i wróciła do swojej pracy. Po chwili obydwie ręce leżały odsłonięte, a ona przyglądała się ranom.

– Trza zagotować wody na zioła.

Rajmund natychmiast wyszedł do kuchni, zdjął fajerki, dołożył szczapę drewna i postawił czajnik na kuchni. Goryniakowa podreptała za nim, a z przyniesionego ze sobą tobołka wyjęła kilka zawiniątek.

– Zaczniem od naparu z nagietka – zapowiedziała, po czym wyjęła z kredensu gliniany kubek i wrzuciła do niego kilka dopiero co ususzonych kwiatków z pomarańczowymi płatkami.

Młodsza z kobiet pozostała przy łóżku chorego i nachyliła się, by lepiej zobaczyć oparzenia. Spróbowała ostrożnie wyciągnąć wystające z rany włókna, ale te dostatecznie głęboko utkwily w środku. Kilka jednak udało jej się wyjąć. Kładła je na leżących na skraju łóżka bandażach i powracała do pracy. Po kwadransie jej plecy domagały się zmiany pozycji, a ona zyskała pewność, że nic więcej nie uda jej się zrobić.

– Maryniu, tera położym na to okłady – zarządziła teściowa.

Maria wycofała się, robiąc miejsce kobiecie. Ta dokładnie nasączyła naparem czyste skrawki prześcieradła i umiejętnie położyła je na ranach.

– Zostanę na noc przy tym nieboraku – poinformowała. – Ale Marynia niech wraca do dzieciaków.

Synowa opłukała dłonie i wyszła z domu celników.

Goryniakowa napiła się herbatki ze świeżej mięty, którą przyniosła, i umościła sobie miejsce w wiklinowym fotelu. Na stole ustawiła kolejną porcję naparu. Tym razem zaparzyła rumianku. Zapowiadała się długa noc, ale nie zmierzała marudzić. Lubiła tego chłopaka i chciała mu pomóc. Resztę domowników wysłała do łóżek. Sama też się zdrzemnęła. Ale gdy tuż po północy dotknęła czoła śpiącego Iwa, natychmiast poczęła zmieniać kompresy na rękach. Na palcach wyszła do kuchni, by przynieść nieco zimnej wody. Najpierw obmyła nią twarz celnika, a później położyła na czole chłodny kompres. Do rana nie zmrzuryła oka i wciąż zmieniała okłady, bo gorączka nie spadała.

Gdy o wschodzie słońca Kucharski uchylił drzwi i wsunął głowę do środka, podeszła do niego, by się narodzić.

– Ja tu nic więcej nie pomogę – przyznała. – Trza do medyka.

– Czy pozwolicie swojemu chłopu nas zawieźć do szpitala? – zapytał, wiedząc, że naraża niewinnych ludzi na niebezpieczeństwo.

– Przecie nie pozwolim, by taki młodzieniaszek poszedł w piach – sarknęła, czując się urażona takim pytaniem. – My swoich chronim, jak możemy. Ślijta którego po furmankę.

Kucharski do gospodarstwa Goryniaków wysłał Jana, który dopiero co wrócił ze służby i dowiedział się o zajściu. Sam zaś z Rajmundem zaczął przygotowania do drogi. Musieli wymościć wóz pledami, by żadne źdźbło trawy nie dostało się w pobliże ran. Ze względu na skwar wymyślili też, jak osłonić trawione gorączką ciało Iwa przed promieniami słonecznymi.

Mężczyźni uwijali się jak w ukropie, gdy nadjechał wóz. Jan zeskoczył na ziemię i wbiegł do domu, by powiadomić wszystkich o przybyciu furmanki.

Kucharski wyszedł przed dom, przywitał woźnicę i począł szykować legowisko dla chorego. Na sianie rozłożył dużą narzutę zdjętą z łóżka. Do jednej burty przywiązał prześcieradło, a kiedy w środku położyli Iwa, drugą część prześcieradła przymocowali do przeciwnej burty wozu.

Czekała ich długa wyprawa, dlatego Rajmund ukroił po pajdzie chleba, a do bańki nalał wody. Goryniakowa usadowiła się obok chorego, a Rajmund zasiadł na koźle obok furmana i na pożeganie pomachał celnikom.

Droga dłużyła się wszystkim. Kobieta co rusz zmieniała okłady na czole chorego, ale woda poczęła się ogrzewać, więc jej zabiegi przestały mieć sens. Wołała jednak robić cokolwiek niż nic. Przez cały czas szeptała pod nosem modlitwy, prosząc o łaskę dla chłopaka. Łudziła się, że tym razem jej prośby zostaną wysłuchane. Może gdyby żarliwiej rozmawiała z Bogiem, jej wnuczeta nie byłyby tak skrzywdzone przez los... Spojrzała w niebo. Nic jednak nie wskazywało na to, że mógłby padać deszcz. Na szczęście było jeszcze wcześniej, dlatego większość mieszkańców wioski pochłonęła praca w gospodarstwie, więc mogli spokojnie wyjechać na główną drogę prowadzącą do Gdańska.

Iwo chwilami zrywał się z miejsca, siadał na wozie i coś głośno tłumaczył, to znów zawodził. A innym razem chciał nawet uciekać. Silne ramiona Rajmunda z powrotem ułożyły go na furmance.

Tuż przed południem wjechali do Gdańska. Goryniakowa odetchnęła z ulgą. Wstydziła się przed kimkolwiek przyznać, ale bała się, że chłopak nie przeżyje drogi. I choć robiła, co mogła, martwiło ją to, że zbyt długo zwleką na z podróżą. Gdyby wyruszyli nocą, raniem już by byli w szpitalu.

Niedługo potem Goryniak zatrzymał konie i zeskoczył z koźla. W ślad za nim ruszył Rajmund. Goryniakowa odwiązała prześcieradło. Słońce padło na umęczoną bólem i podróżą twarz Iwa. Mężczyźni chwycili celnika i ostrożnie wyjęli z wozu, po czym wnieśli do szpitala, wołając o pomoc.

Reszta należała do lekarzy i pielęgniarek. Im pozostały czekanie i modlitwa.

## Rozdział XVI



### Pod czujnym okiem

– Znowu wychodzisz? – Wzrok Any Witt nie pozostawiał najmniejszych złudzeń, co o tym sądzi. – Znikasz na całe dnie, a tu tyle jeszcze przygotowań.

– Mamuś, nikt tak dobrze jak ty nie poradzi sobie w tych kwestiach. Po co mam ci się płatać pod nogami? – oświadczyła Nela, poprawiając kapelusz, który uparcie zsuwał się jej na oczy.

Wbrew temu co matka mówiła, od trzech dni nie była w szpitalu, gdyż ciągle miała coś do załatwienia na mieście. A to kwiaty do przystrojenia stołów, a to znów zakup serwetek dla gości ze specjalnie wyhaftowanymi na nich inicjałami nowożeńców. Do tego jeszcze wybór obrusów i świec. Wszystko to zajmowało Neli mnóstwo czasu. A ona myślami była zupełnie gdzieś indziej.

– Idziesz z Klarcją?

– Mamuś, ona jest dorosłą kobietą... – jęknęła, po raz kolejny zwracając matce uwagę na to, że nie przystoi mówić o nich jak o podlotkach.

– Dla mnie zawsze zostaniecie moimi dziewczynkami. – Zaśmiała się. – Nawet jak przyjdiesz z piątką moich wnuków.

Nela szeroko otworzyła oczy. Kiedyś może i myślała o dzieciach, ale ostatnio... Właśnie ostatnio zbyt mało myślała o sprawach, które niegdyś całkowicie ją pochłaniały. Jako nastolatka marzyła o tym, by wyjść za mąż i zamieszkać w domu z dużym ogrodem, w którym mogłaby wydawać przyjęcia, a na ułożonym z długich desek parkiecie mogłaby urządzać tańce.

– O której wrócisz? – spytała Ana.

– Będę na kolację.

– Toż to jeszcze obiadu nie było – oburzyła się matka.

– Chcę się poopalać – skłamała.

– Ja nie wiem, co wy wszyscy widzicie w tym opalaniu się. Kiedyś było zupełnie inaczej.

– Mamuś, czasy się zmieniają i moda też.

– Bywają momenty, że wcale jej nie rozumiem. Mnie wciąż się podoba moja biała cera – stwierdziła, opuszkami palców dotykając nieco pomarszczonej skóry.

– A ja jednak wolę opaleniznę, a poza tym na plaży będę mogła nacieszyć się wolnością.

– Mówisz, jakby cię ktoś skazał na roboty w kamieniołomach, a nie jakbyś brała ślub z najlepszą partią w mieście. Wierz mi, drugiego tak wspaniałego mężczyzny ze świecą szukać w Danzig. Ba, nawet w Rzeszy.

Nela uśmiechnęła się pod nosem i wyszła z domu. Raz jeszcze poprawiła kapelusz z dużym rondem, minęła narzmię kwieciami hortensje i wyszła za ogrodzenie. Doszła do głównej ulicy i skierowała się w stronę centrum. Teraz już niemal płynęła, niesiona falą radości, która otulała jej serce i sprawiała radość. Przyspieszyła kroku, ale mocno grzejące słońce nie pozwoliło jej na zbyt szybki spacer. Pomachała więc na nadjeżdżającą bryczkę. Woźnica skłonił się i zapytał, dokąd ma jechać. Nela podała nazwę szpitala i wygodnie usiadła w środku powozu. Opuściła rondo kapelusza, by ukryć się przed promieniami słonecznymi. Niemal natychmiast przypomniała sobie o kłamstwie, którym uraczyła matkę. Zdjęła więc kapelusz, przymknęła oczy i wygodnie się oparła, zastanawiając się, czy ta krótka podróż wystarczająco odmaluje się opalenizną na jej twarzy.

Gdy kilka minut później wysiadła pod szpitalem, była przekonana, że będzie musiała wymyślić przekonujące kłamstwo, by matka jej w nie uwierzyła i nie zaczęła zadawać niewygodnych pytań.

Nela już trzeci raz przyszła na oddział. Znała zasady. Najpierw weszła do pokoju pielęgniarek i włożyła szarą sukienkę, a na nią biały fartuch. Choć nie była zatrudniona, to razem z doktorem Werle uznali, że nie powinna para-

dować po oddziale w swoich ubraniach. Mogłaby niepotrzebnie wzbudzać zainteresowanie osób postronnych albo prowokować pytania pacjentów. Żadne z nich tego nie potrzebowało.

Już pierwszego dnia, gdy pojawiła się na oddziale, ustalili z doktorem, że będzie się zajmowała salą, na której leżeli polscy pacjenci. To miało zapobiec niepotrzebnym domysłom, gdyby rozpoznał ją któryś ze znajomych jej rodziców. Oczywiście obydwójce doskonale wiedzieli, że spotkanie któregośkolwiek z nich graniczy z cudem, bo nikt z tak świątliwych mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska nie pozwoliłby się zabrać do szpitala, jednak ryzyko zawsze istniało. Woleli więc dmuchać na zimne.

Nela złożyła swoje ubrania i schowała je do szafki. Później nałożyła czepek i poprawiła wysuwające się spod niego włosy. Ostatnie spojrzenie w lusterko. Teraz już mogła zaczynać. Do pokoju weszła starsza koleżanka i odłożyła do wygotowania kilka strzykawek i igieł.

– Mogę to zrobić – zaferowała Nela i nie czekając na odpowiedź, zebrała wszystkie używane od rana narzędzia i wrzuciła je do metalowej miski. Później zeszła z nią na sam dół, do usytuowanej w piwnicy szpitalnej kuchni.

W olbrzymich saganach gotowano zupę dla chorych. Na dużym stole stały dwa kosze, do których kucharki wrzucały kolejne pokrojone przez nie kromki chleba.

– A zje coś panienka? – spytała jedna z kucharek, widząc krzątającą się przy kuchni Nelę.

– Nie, dziękuję – odmówiła.

Raz czy dwa spróbowała zup podawanych chorym. Nie smakowały tak pysznie jak te przygotowywane w jej domu przez Adelę. Wróciła do wkładania kolejnych narzędzi do sagana z gotującą się wodą.

Gdy wróciła na górę z odkażonymi narzędziami, odłożyła wszystkie na swoje miejsce. Starsza koleżanka uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

– Idziemy na karmienie – obwieściła, podnosząc się z niewielkiego fotela ustawionego naprzeciwko drzwi.

Nela wiedziała, że wielu chorych nie jest w stanie samodzielnie jeść. Właśnie dlatego starała się przychodzić do szpitala przed obiadem. Wtedy jej pomoc była nieoceniona. Nela skierowała się do sali z polskimi pacjentami. Pchnęła drzwi i weszła do środka. Zdążyła poznać imiona prawie wszystkich mężczyzn. Dwóch czy trzech już zostało wypisanych ze szpitala, a na ich miejsce od razu pojawiali się nowi.

– Dzień dobry – przywitała pacjentów w języku niemieckim. Tak było jej znacznie wygodniej.

– Jak dobrze, że panienka u nas – przywitał ją pacjent z pierwszego przy drzwiach łóżka.

– Kto potrzebuje pomocy przy jedzeniu?

Kilka rąk natychmiast poszybowało w górę. Nela uśmiechnęła się przyjaźnie do wszystkich pacjentów.

– A kto na pewno nie da rady sam się najeść? – ponowiła pytanie.

Większość rąk opadła na łóżka. Nela spojrzała na dwóch pacjentów, którzy patrzyli na nią z wyczekiwaniem i wciąż trzymali ręce w górze.

– Zacznę od pana – zwróciła się do starszego z mężczyzn.

Nagle jej wzrok poszybował w stronę łóżka ustawionego najdalej od drzwi. Tuż przy samym oknie leżał ktoś nowy. Ktoś, kogo rozpoznała.

Podskoczyła w stronę chorego i dokładnie przyjrzała się jego twarzy. Nie miała wątpliwości, kim był. Jego ułożone wzdłuż ciała ręce pokryte były opatrunkami.

– Co mu się stało?

– Ponoć się poparzył, czy co – poinformował pacjent leżący na sąsiednim łóżku.

– Mówił coś?

– Leży tak od wczoraj i nic nie gada. Śpi tylko – wtrącił inny pomiędzy łyżkami zupy.

Nela nie mogła oderwać wzroku od pacjenta. Na jego czole dostrzegła krople potu. Koszula też była przepocona. Na parapecie stała niewielka miseczek z wodą, a obok niej leżała ściereczka. Zamoczyła ją w wodzie i wytarła twarz chłopakowi. Jedynie przekręcił głowę, ale się nie przebudził. Najwidoczniej wysoka gorączka pozbawiła go przytomności.

– Siostrzyczka mnie nakarmi? – rozległ się ledwie słyszalny szept leżącego przy drzwiach schorowanego starca, którego dni były już policzone.

Nela pośpiesznie odłożyła ściereczkę na parapet i wróciła do karmienia, lecz jej wzrok co rusz wędrował do chłopaka. Kiedy tylko skończyła obowiązki, zebrała brudne naczynia i wyniosła je na korytarz. Tam odstawiła na duży drewniany wózek i skierowała się do gabinetu lekarskiego. Zapukała, a gdy usłyszała zaproszenie, weszła do środka.

– Dzień dobry – przywitała się.

Lekarz skłonił się i odstawił na bok talerz po zupie, na którym pozostała sporawa kość z mięsem, warta ogryzienia.

– Witam, panienkę. Widzę, że jeszcze się nie zniechęciłaś – zauważył, gdy wytarł usta chusteczką.

– Chodzi mi o tego poparzonego pacjenta.

– Tego młodego celnika?

– Celnika? – powtórzyła niczym echo.

Patrzyła na niego zaskoczona. Iwo twierdził, że zajmuje się rybołówstwem. Ale przecież go rozpoznała. Nie mogła się pomylić.

– Przywieźli go wczoraj. Ponoć ktoś wrzucił do jego domu płonące kamienie.

– Płonące kamienie?

– Ja tam nie wiem. Ci, co go przywieźli, mówili, że chcieli ich wykurzyć ze Stutthof, dlatego wrzucili owinięte słomą, płonące kule, w których środku były kamienie.

– I co pan o tym myśli?

– Założyliśmy mu opatrunki tulle gras<sup>21</sup>. Obserwuję, jak jego organizm na nie zareaguje. Trochę mniej martwi wysoka temperatura. Ale to młody organizm, więc powinien zacząć się bronić. Musimy chwilę na to poczekać.

Nela wstała i w milczeniu wyszła z gabinetu. Nogi same zaprowadziły ją do sali dla chorych. Gdy weszła, większość pacjentów drzemała po obiedzie. Dwaj z nich grali w karty. Podeszła do łóżka Iwa i przyciągnęła stołek spod parapetu. Zerknęła na miskę z wodą. Wypłukała ściereczkę i położyła ją na czole chłopaka. Mokra koszula przykleiła się do jego ciała. Nela zabrała miskę, a po chwili wróciła na salę z czystą, chłodną wodą. Ponownie ustawiła ją na parapecie i zmoczyła ściereczkę.

Później ostrożnie rozpięła koszulę i dokładnie umyła ciało mężczyzny. Dostrzegła blizny na jego przedramieniu. Nie musiała długo się zastanawiać, by stwierdzić, że są to blizny po postrzałach. W pamięci przywołała obraz zabandażowanego ramienia Iwa. Patrzyła na znajomą twarz, zastanawiając się, jak mało wie o tym chłopaku.

Kiedy skończyła mycie, usiadła na stołku i co chwilę zmieniała okłady na czole Iwa, zastanawiając się, co tak naprawdę się wydarzyło. I choć wewnętrzny głos podpowiadał jej, że powinna się trzymać od niego z daleka, to nie potrafiła przestać myśleć o cierpieniu, którego teraz doświadczał.

– Obchód – obwieściła pielęgniarka, wchodząc do sali.

Nela poderwała się z miejsca. Było jednak za późno, żeby z niej wyjść. Skoczyła więc na środek sali i patrzyła na wchodzącego lekarza.

Werle najpierw podchodził do pacjentów leżących po prawej stronie sali, a gdy doszedł do końca, przeszedł na lewą stronę. Lekarz odrobinię podniósł opatrunki Iwa, by sprawdzić, jak się goją oparzenia.

– Jeszcze wylażą te przekłete nitki z firanki – wyjaśniał, bacznie przyglądając się ranom. – Trzeba zmienić opatrunki, ale najpierw umiejętnie wyciągnąć te resztki. – Doktor spojrzał znacząco na pielęgniarkę stojącą tuż obok.

– Ja mogę to zrobić – zaoferowała pośpiesznie Nela, zbliżając się do lekarza.

– Dobrze, weź szczypczyki, tylko uważaj, żeby nie drażnić ran, a później nałóż opatrunki.

Nela po wysłuchaniu dokładnych instrukcji, nie czekając na zakończenie obchodu, wyszła po odpowiednie narzędzia.

Wróciła po kilku minutach. Wszystkie niezbędne przybory ułożyła na parapecie i zabrała się do pracy. W skupieniu wyjmowała cienkie nitki, które zdążyły się wtopić w skórę Iwa, a teraz powodowały jątrzenie rany. Nela wiedziała, jak ważne jest umiejętne oczyszczenie rany, dlatego centymetr po centymetrze oglądała ręce chłopaka.

Nawet nie dostrzegła, że słońce poczęło się zniżyć. Gdy skończyła, rozprostowała plecy i dopiero wtedy poczuła zmęczenie. Odłożyła narzędzia i ciężko opadła na stołek. Zmieniła okład na czole mężczyzny. Gdy go dotknęła, okazało się, że gorączka się zmniejszyła. Uśmiechnęła się pod nosem. Rękawem wytarła pot spływający jej po czole. Poczula też suchość w ustach. Uświadomiła sobie, że od śniadania niczego nie jadła i nie piła. Zabrała narzędzia i wyszła na korytarz.

W pokoju pielęgniarek przysiadła na fotelu z kubkiem wody i dwoma sucharami w rękę. Zerknęła na zegarek i niemal podskoczyła. Już była spóźniona. Poderwała się z miejsca i zrzuciła z siebie fartuch, a potem przebrała się i wybiegła ze szpitala. Miała dużo szczęścia, bo właśnie ktoś wysiadł z dorożki. Wskoczyła do środka i podała adres, zaznaczając, że bardzo jej się spieszy. Woźnica nie żałował razów bacikiem. Żał jej było zwierzęcia, ale każda minuta była na wagę złota. Już snuła wymówki, których będzie musiała użyć. Rodzice nie znosili, gdy ktoś z dzieci bez wyraźnej konieczności spóźniało się na jakiś posiłek. Raz jeszcze sprawdziła godzinę i głośno westchnęła.

Pieniądze wręczyła woźnicy, zanim dowiózł ją na miejsce. Pod domem wyskoczyła z powozu, zapominając o zasadach dobrego wychowania i czym prędzej pobięła do drzwi. Od razu skierowała się do jadalni.

Przeczesała palcami potargane całodzienną pracą i podróżą włosy i spróbowała się uśmiechnąć. Później przysiadła na swoim miejscu i pośpiesznie sięgnęła po widelec.

– Przepraszam za spóźnienie – zaczęła, nie patrząc nikomu w oczy. – Zagapiłam się i nie sądziłam, że jest już tak późno – ciągnęła, nakładając sobie smażonego na złocisty kolor szczupaka.

– To wesele nas wszystkich dużo kosztuje – oświadczyła smętnym głosem matka. – Dzisiaj spędziłam pół dnia u kucharza na wyjaśnianiu mu, w jakiej kolejności ma podawać dania i jakiej wielkości mają być porcje i im dłużej mu tłumaczyłam, tym mniej rozumiał. Wykończył mnie ten człowiek.

Neli wystarczył jeden rzut oka, by się przekonać, że na twarzy matki odmalowane jest zmęczenie, którego nie zdołał zamaskować puder. Może dlatego była tak obojętna wobec jej spóźnienia. Dziewczyna odetchnęła i poprawiła potargane kosmyki włosów, które notorycznie opadały jej na twarz i przeszkadzały w jedzeniu.

Ojciec dołączył do gderań na obsługę w restauracjach. Teraz już obydwójce byli markotni. Nela nie miała ochoty dyskutować; nawet nie spostrzegła, gdy pochłonęła cały kawałek szczupaka. Wciąż czuła głód, nałożyła więc sobie sporą porcję szpinaku z jajkiem i ochoczo zabrała się do pałaszowania. Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Podniosła głowę.

– Czujecie, jak coś śmierdzi? – spytał siedzący obok niej Frank, który uważnie ją obserwował.

– Frank! Błagam, nie przy jedzeniu – obruszyła się matka.

– Cuchnie jak diabli – nie ustępował, patrząc na siostrę podejrzliwie.

– To pewnie ode mnie – przyznała. – Zagapiłam się na plaży i nie zauważyłam, że tuż obok mnie rybacy zaczęli oczyszczać ryby.

– A gdzie ty leżałaś? – podłapał natychmiast Frank.

Jego czujność nieraz doprowadzała ją do szewskiej pasji. Tym razem też najchętniej kopnęłaby go w kostkę, by zamilkł.

– Niedaleko rzeki.

– Przecież wiadomo, że tam spokojnie nie poleżysz. – Zaśmiał się, wyraźnie ubawiony naiwnością siostry.

Nela nabrała na widelec sporą porcję szpinaku i wepchnęła ją do ust. Może i wyszła na idiotkę, ale miała nadzieję, że to zakończy temat. Chciała jak najszybciej wyjść z jadalni, żeby Frankowi nie przyszło do głowy pytanie, jakim zapachem przesiąkła tak naprawdę. Teraz żałowała, że jednak nie poświęciła tych kilku dodatkowych minut, by się umyć i przebrać przed zejściem na kolację.

– Co tak lykasz? Nikt ci nie zabierze. – Frank znowu się roześmiał.

– Byłam głodna.

– I do tego pewnie jeszcze spóźniona na spotkanie z Wilhelmem? – dopytywała matka, a na jej ustach wykwitł uśmiech. – Ach, ta młodość...

Nela zgodnie z prawdą chciała zaprzeczyć. Była zbyt zmęczona, żeby jeszcze gdzieś wychodzić. Wiedziała, że spotkanie z narzeczonym nie skończyłoby się na przechadzce. Na pewno zajrzeliby do jakiejś restauracji, a tam jak zwykle spotkaliby jakichś jego znajomych, co wiązałoby się z długą dyskusją na tematy polityczne, które coraz bardziej ją irytowały. Ta świadomość zaskoczyła ją samą.

– Taaaak – skłamała, nie wiedząc czemu.

Matka z wyrozumiałością pokiwała głową. Tyle wystarczyło. Nela dostrzegła szansę, której nie zamierzała przepuścić. Nabiła na widelec resztkę szpinaku, wytarła usta i z uśmiechem na ustach przeprosiła wszystkich, po czym wstała i wyszła z jadalni. Wbiegła na schody i czym prędzej udała się do swojego pokoju. Przekręciła klucz w zamku i opadła na łóżko. Chwilę leżała wpatrzona w biel sufitu. To narzeczeństwo nie było takie złe. Rodzice w końcu przestali ją traktować jak podlotka, którego nieustannie trzeba pilnować i strofować, żeby nie popełniał gaf. Teraz dostała znacznie więcej swobody i poczęła się nią rozkoszować. Nie bez zasługi był też Wili, który wiele razy zaręczył za nią. A gdy razem gdzieś wychodzili, zawsze skrzętnie pilnował, by nie piła i wróciła o umówionej porze do domu. Za to była mu wdzięczna.

Zdjęła brudne ubrania i wrzuciła je do kosza z bielizną. W łazience nalała wody do miski, wzięła miękką ściereczkę i się namydliła. Dokładnie splukała ciało chłodną wodą i włożyła przewiewną bluzkę z długim rękawem. Do tego nałożyła czarne spodnie z szerokimi nogawicami. W ostatniej chwili przed wyjściem zdecydowała się zabrać sweter.

Na palcach zbiegła po schodach i z nikim się nie żegnając, wyszła z domu. Odetchnęła dopiero, gdy doszła do skrzyżowania. Tam udało jej się znaleźć bryczkę. Dotychczas nie miała świadomości, że takie niezaplanowane eskapady mają swój smaczek. Uśmiechnęła się do siebie i wygodnie usiadła.

Gdy woźnica ściągnął lejce, poczuła małe szarpnięcie i powóz się zatrzymał. Uregulowała rachunek i wyskoczyła na bruk. Chwilę później pchnęła ciężkie drzwi, ale nie chciały ustąpić. Załomotała w nie i przestępując z nogi na nogę, czekała, aż ktoś jej otworzy. W końcu usłyszała szuranie po drewnianej podłodze, a w drzwiach ktoś uchylił małe okienko.

– A co tam trzeba? – zapytał stary dozorca, który spędzał tu noce, pilnując, kto może wejść do środka.

– Ja na dyżur – skłamała.

– Nigdy tutaj panienki nie widział – stwierdził, przyglądając się jej wnikliwie.

– Bo ja od niedawna przychodzę – wyjaśniała. – Do tej pory byłam tylko w dzień, ale dzisiaj doktor Werle poprosił, żebym przed wieczorem zajrzała do jednego pacjenta – ciągnęła, zgrabnie naginając fakty.

– A to jak szanowny pan doktor tak chciał, to ja nie będę przeszkadzał panience – odparł i odsunął żelazną zasuwę w drzwiach.

Nela weszła do środka i z wdzięcznością skinęła starszemu głową. Teraz już bez żadnych przeszkód dostała się na piętro i weszła do pokoju pielęgniarek. Dwie kobiety uwijały się, rozdzielając lekarstwa dla chorych.

– A ty na nocną zmianę przyszłaś? – odezwała się niższa z kobiet, która była niewiele starsza od Neli.

– Ja tylko na chwilę...

Przecież powinna teraz siedzieć z narzeczonym albo czynić plany na życie po ślubie. Jak miała komukolwiek wyjaśnić, dlaczego tak wiele ryzykowała, przychodząc tutaj, skoro nie potrafiła tego wyjaśnić sama przed sobą? W tej chwili poczuła, że to, co robi, nie ma najmniejszego sensu. Powinna stąd jak najszybciej wyjść i wrócić do domu.

– To nawet dobrze, że jesteś, bo nam pomożesz – zauważyła druga z pielęgniarek. – Zmiana opatrunków temu poparzonemu zajmuje dużo czasu, a nie tylko jego mamy.

– Mogę się nim zająć.

– Tam masz dla niego maść na te mniejsze rany – wyjaśniła zadowolona pielęgniarka.

– Odzyskał przytomność?

– Co jakiś czas się budzi, ale znów zapada w sen. To dla niego lepsze niż ból, który czuje.

Nela przebrała się i starannie umyła ręce. Teraz była gotowa do pracy. Wzięła tacę z maścią, opatrunkiem oraz wodą w kubku.

Kiedy pojawiła się na sali, większość pacjentów pochrapywała. Niektórzy kręcili się z boku na bok, nie mogąc zasnąć w dusznej sali, w której ktoś uparcie zamykał wszystkie okna. Nela uchyliła jedno, po czym zabrała się do pracy. Najpierw jednak zmieniła okład na czole Iwa, a później, widząc jego spieczone usta, delikatnie nawilżyła je.

Teraz już mogła przystąpić do swojego zadania. Z uwagą przypatrywała się ranom, gdy zdejmowała opatrunki i musiała przyznać, że wyglądały znacznie lepiej niż po obiedzie. Nałożyła maść, a miejsca bardziej poparzone nakryła kompresem.

Właśnie kończyła, gdy Iwo otworzył oczy i spojrzał na nią zdziwiony.

– Gdzie ja... – zaczął chrypliwie.

– Nic nie mów. Nie męcz się – poleciła w języku niemieckim i natychmiast chwyciła kubek, który przyłożyła mu do ust.

Pił łapczywie, nie zwracając uwagi na to, że ściekająca mu po brodzie woda moczy koszulę. Kiedy ugasił największe pragnienie, opadł na łóżko. Nela odstawiła kubek i poprawiła poduszkę pod jego głową.

– Co tu robisz? – spytał po niemiecku, nie spuszczać z niej wzroku.

– Pomagam.

– Dziękuję.

– Pomagam wszystkim pacjentom – dodała, czując, że zabrzmiało to zbyt osobiście.

Iwo spróbował się uśmiechnąć, ale jego spieczone gorączką usta poczęły krwawić.

– Nic nie mów. Oszczędzaj siły. Od wczoraj leżałeś nieprzytomny. Na szczęście leki zaczęły działać – wyjaśniała, uprzedzając jego pytania. – I jeśli wolisz, to możesz mówić po polsku. Trochę rozumiem.

Znowu chciał się uśmiechnąć, ale ból poranionych ust przypomniawszy mu, by tego nie robił. Powoli przeniósł wzrok na swoje ręce, przypominając sobie przedwczorajsze wydarzenia. Jednocześnie zrozumiał, że jego tajemnica najpewniej przestała już nią być.

– Wiesz, co się stało?

Skinęła głową.

– Wiesz dlaczego?

Ponownie potwierdziła.



Tym razem przymknął powieki i przez jakiś czas ich nie otwierał. Omijał prawdę, gdy rozmawiali, choć wiedział, że to prowadzi do kolejnych kłamstw. Później nie miał pojęcia, jak z nich wybrnąć. Wolał wierzyć, że problem sam się jakoś rozwiąże. Najlepszym wyjściem było unikanie Neli i jej brata. Starał się. Robił wszystko, by się z nimi nie widywać. Nie pomyślał, że spotkają się w takim miejscu.

– Gorzej się czujesz? – zaniepokoiła się.

Potwierdził ledwie widocznym skinieniem głowy.

– Zawołać lekarza?

Tym razem zaprzeczył.

– Zmienię ci okład – zaproponowała i nie zwracając uwagi na jego minę, poczęła płukać materiał.

Dotyk jej dłoni sprawił mu przyjemność, ale w tej samej chwili w jego głowie usłyszał głos Rajmunda przypominającego, kim jest, a kim nigdy nie będzie. Wstrzymał oddech i zaczekał, aż dziewczyna położy okład na jego czole. Później zamknął oczy i uparcie ich nie otwierał.

– Jesteś zmęczony? – spytała. – Może chcesz się inaczej położyć? Mogę ci pomóc.

Gdy mężczyzna milczał, pomyślała, że zasnął. Raz jeszcze poprawiła mu poduszkę pod głowę i zmieniła okład. Później na palcach wyszła z sali, wróciła do pokoju, by się umyć i przebrać.

Kwadrans później stanęła pod szpitalem i spojrzała w górę. Jej wzrok szybko odnalazł uchylone okno. Wiedziała, co zrobi jutro. Tymczasem choć niebo poszarzało, a słońce skryło się za horyzontem, nie zamierzała spieszyć się do domu. Potrzebowała spaceru. Potrzebowała uspokoić myśli. A może po prostu je zrozumieć...

## Rozdział XVII



### Pytania bez odpowiedzi

Szare niebo płakało deszczem. Spływająca po szybach woda zebrała z nich kilkudniowy kurz. Liście i trawy znów się zazieleśniały, a ptaki łapczywie piły wodę gromadzącą się w kałużach na podwórkach i ulicach.

Iwo przyglądał się skąpanej w szarości przestrzeni. Czuł się znacznie lepiej. Gorączka zaczęła spadać, a rany z każdym dniem wyglądały lepiej. Opiekujący się nim lekarz sam był zdziwiony, że poprawa następuje w tak szybkim tempie. Iwo cieszył się niezmiernie. Nie cierpiał wylegiwać się w łóżku, podczas gdy inni musieli pracować za niego. Wczoraj nawet spróbował wstać i wyjść na korytarz. Okazało się to jednak zbyt trudnym zadaniem. Wprawdzie wykonał kilka kroków, ale zanim doszedł do drzwi, czuł się, jakby przebiegł całą gdańską plażę, i to dźwigając wyładowane jedzeniem kosze. Dwóch innych pacjentów pomogło mu wrócić do łóżka. Do wieczora nawet nie drgnął. Noc przyniosła wytchnienie.

Drzwi do sali się otworzyły. Iwo z nadzieją spojrział w tamtym kierunku, ale szybko odwrócił głowę, widząc starszą pielęgniarkę, która przysłała z tacą pełną lekarstw. Poczul lekkie ukłucie w okolicy serca. Ciężko opadł na poduszkę. Jego oczy posmutniały. Znow patrzył w szare niebo. Nie przywykł do samotności. Bo chociaż leżał pośród innych pacjentów, to nie miał chęci z nikim rozmawiać. Jego myśli powracały niczym stado wygłodniałych gawronów, które nie chce odlecieć, widząc na polu smaczny kąsek. Te myśli go drażniły, pozbawiały sił. Iwo miewał nawet wrażenie, że przestaje racjonalnie oceniać świat.

Z zamyślenia wyrwały go odgłosy drewnianego wózka, którym kuchenne rozwoziły posiłki. Już wczoraj próbował jeść sam. Ręce wciąż bolały, gdy wykonywał nimi jakieś ruchy, ale nie mógł czekać, aż ktoś go nakarmi. Wokół niego byli inni potrzebujący. On był młody i musiał walczyć o szybki powrót do zdrowia i rychle opuszczenie szpitala. To najlepsze wyjście pod wieloma względami.

Starsza kobieta w pośpiechu podawała chorym miski z zupą mleczną i grubo krojoną kromkę chleba pszennego. Iwo podciągnął się na łóżku, ale nie szło mu z tym najlepiej. Kobieta, widząc jego żmudne wysiłki, pomogła mu, a potem podała mu do rąk miskę i łyżkę. Chleb położyła na kocu. Był jej za to wdzięczny. Jadł powoli, często odpoczywając. Gdy opróżnił miskę, wydłubywał miękki chleb i wkładał go do ust. Na koniec pogryzł chrupiącą skórkę. Pamiętał smak chleba wypiekanego przez babkę. To była prawdziwa poezja smaku. Nawet po kilku dniach od upieczenia wciąż był świeży i dobry, zwłaszcza grubo posmarowany śmietaną lub smalcem z dobrze wysmażonymi skwarkami.

Przymknął powieki, ale już po chwili zjawił się lekarz. Sprawdził dotychczas podane lekarstwa i niektórym z nich zmienił dawkowanie albo dodał inne. Gdy doszedł do Iwa, obejrzał jego ręce i polecił zdjąć opatrunki.

– Rany doskonale się goją, więc zaryzykujemy i w dzień będziesz pan zostawał bez opatrunków. Musisz pan uważać, by niczym nie dotknąć poparzeń, ale mam nadzieję, że dzięki temu młoda skóra zdola szybciej narosnąć – tłumaczył lekarz, bacznie obserwując rany. – Na noc zakładamy opatrunki. Zmniejszymy też dawki leków – dodał, zwracając się do stojących za nim pielęgniarek i dwóch młodych lekarzy, którzy od niedawna praktykowali w szpitalu pod czujnym okiem doktora Werlego. – A panowie jak widzieliby dalszą rekonwalescencję pacjenta?

Młodzi lekarze poczuli się prześcigać w pomysłach, popisując się swoją wiedzą akademicką. Bardzo chcieli zaimponować staremu doktorowi. Ten najpierw zrobił głęboki wdech, a potem powoli wypuścił powietrze i podniósł prawą dłoń. Młodzi lekarze umilkli. Znał takich jak oni, co to zgodnie z wolą rodziców ukończyli doskonale uczelnie. Byli nawet bardzo dobrymi studentami. Znali wszystkie choroby i potrafili z pamięci wyrecytować długą listę lekarstw na różne dolegliwości, ale jak ognia unikali bezpośredniego kontaktu z pacjentem, obawiając się tego, że może ich czymś zarazić. Tacy właśnie lekarze najczęściej łądowali na jego oddziale i to on musiał się z nimi użerać, nie mogąc tak naprawdę zrobić nic, bo z za pleców młodych podopiecznych wystawały grube portfele i wpływy ich rodziców.

– Na razie pacjent niech wypoczywa i pije dużo wody – zakończył Werle i podszedł do kolejnego chorego.

Iwo przymknął oczy, nie śledząc tego, co się dzieje w jego sali. Drzemka nadeszła niespodziewanie, ale przyniosła wytchnienie. Gdy się ocknął, za oknem dostrzegł wyzierające zza chmur słońce. Siedzące na parapecie wróble otrzępywały z resztek deszczu mokre piórka. Nagłe szarpnięcie drzwi i głośnie rozmowy przyciągnęły uwagę Iwa, który widząc wnoszone na noszach dziecko, nie mógł oderwać od niego wzroku. Jego drobne ciało niknęło na wielkich noszach, a niemal sina twarz prowokowała pytania.

– Pod okno – poleciła pielęgniarka drepzcząca tuż za dwoma sanitariuszami niosącymi chłopca.

Mężczyźni bez żadnego problemu przenieśli dziecko na łóżko, które dzień wcześniej się zwolniło. Później zdjęli chłopcu wysłużone sandały i narzucili na niego koc.

– Nie, nie. Najpierw trzeba go przywiązać – wyjaśniała. Jeden z sanitariuszy spojrzął na nią zdziwiony. – A co, jak się ocknie i postanowi wyskoczyć przez okno?

To wystarczyło mężczyznom za odpowiedź, bo jeden z nich chwycił za gruby skórzany pas i przeciągnął go pod spodem łóżka, a następnie mocno zacisnął pod brzuchem chłopca, pozostawiając mocno dociśnięte do łóżka jego chude ręce.

– Powinno wystarczyć – oświadczył sanitariusz, dumny z wykonanego zadania.

Mężczyźni wyszli, a pielęgniarka wzięła strzykawkę z grubą igłą i przebiła cienką skórę dziecka, wprowadzając do jego żył odpowiednią dawkę lekarstw nasennych.

– Co mu jest? – zainteresował się Iwo, gdy pielęgniarka odwróciła się od najmłodszego pacjenta.

– Musi odpoczywać – odparła, wyraźnie go zbywając.

– Rozumiem, ale dlaczego tutaj trafił?

– Głuptasowi zachciało się wyglupów... – odparła dość enigmatycznie i nie czekając na kolejne pytania pacjenta, wyszła na korytarz.

Iwo nie mógł oderwać wzroku od chłopca. Miał nie więcej niż dziesięć lat. Jego jasne włosy i piegowata cera, zbyt blada jak na tę porę roku, niemal zlewały się z bielą poduszki. Tylko czerwona pręga na szyi odcinała się od tła. Chłopiec nie wyglądał na kogoś, kto spędzałby dużo czasu, bawiąc się na podwórku. Widok niemal do krwi obgryzionych paznokci na przywiązanych do łóżka dłoniach sprawił, że Iwo nie potrafił nie myśleć o tym, co spotkało malca.

– Dzień dobry, jak ty się czuć? – usłyszał głos, który natychmiast rozpoznał.

Zdziwiło go tylko jedno. Kobieta zadała mu pytanie w języku polskim.

– Dziękuję, dobrze. Co tu robisz?

– Dzisiaj się wami opiekować – wyjaśniła Nela nieco nieporadnie.

Uśmiechnął się.

– I nawet będziesz mówić w moim języku?

– Ja się postaram. A ty się nie śmiać, jak coś zakręcisz – tłumaczyła, uśmiechając się przy tym.

– Jak coś przekręcisz – poprawił ją.

Potwierdziła skinieniem głowy, a on odwzajemnił jej uśmiech.

– Mam ci zdjąć opatrunki – wyjaśniała i zabrała się do pracy.

Choć czuł ból, nie myślał o nim. Miał świadomość, że dziewczyna stara się robić to najdelikatniej, jak potrafi. Świadczyło o tym malujące się na jej twarzy skupienie i cierpliwość ruchów. Ukradkiem obserwował jej jasne włosy zwinięte na czubku głowy w niewielkiego koka, który podskakiwał za każdym razem, gdy się nachylała w jego stronę. Wiedział, że się przebiera przed wejściem na salę, a jej strój w niczym nie przypomina tego, w którym zwykł ją widywać wcześniej. Tym bardziej zastanawiał się, co robi w takim miejscu jak to. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie musi pracować. W tej samej chwili spojrzął na dłoń dziewczyny. Nie rozstawała się z pierścionkiem. Westchnął i przygryzł wargę, zbierając w sobie siłę, by zapytać.

– Kiedy ślub?

Na chwilę przerwała i spojrzała na niego. W jej oczach dostrzegł wahanie. Pożalował tego, że był wścibski.

– Nie musisz mówić – zapewnił. – Wiem, że to nie moja sprawa.

– Przecież to żadna tajemnica. Ja brać ślub za cztery tygodnie.

Uśmiechnął się, choć wcale nie poczuł radości.

– Wszystko dopięte na ostatni guzik?

– Prawie... – odparła, wracając do swoich zajęć.

– Pewnie po ślubie przestaniesz pracować? – zagaił nieśmiało.

– Dlaczego tak myśleć? – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Bo mąż raczej nie zgodzi się na to, żebyś traciła czas w szpitalu, ryzykując życie swoje i waszych dzieci – wyjaśnił.

Nela patrzyła w jego zielone oczy, a sens jego słów powoli do niej dochodził.

– Też bym nie chciał, żeby moja żona się narażała – stwierdził, chcąc jakoś rozładować atmosferę. Wiedział, że nie ma prawa mieszać się w nie swoje sprawy, a najwidoczniej właśnie to robił. – Wczoraj chciałem pójść na spacer – zmienił temat, nie chcąc sprawić jej przykrości.

– I jak ci iść? – spytała, ale czuł, że robi to z grzeczności; jej myśli pozostały przy jego wcześniejszym zdaniu.

– Nie za bardzo – przyznał. – Nawet nie wyszedłem na korytarz.

Pokiwała głową ze zrozumieniem i wstała z łóżka, bo właśnie skończyła zdejmować opatrunki. Pozostałości zebrała do miski i bez słowa opuściła salę.

Wiedział, że to przez niego. Nie powinien wygłaszać swoich opinii o kimś, kogo nie znał. Nela też dopiero poznała, więc jak mogło mu się wydawać, że ma prawo wtrącać się w jej życie? Odruchowo podciągnął się na łóżku. Szło mu to znacznie lepiej, gdy nie miał opatrunków na rękach. Rzeczywiście nowa, wciąż jeszcze delikatna powłoka, która z czasem miała zamienić się w skórę, wyglądała znacznie lepiej niż na początku.

– Nie! Nie! Zostawcie mnie! Wynocha! – Chłopięcy głos przyciągnął jego uwagę.

Dziecko poczęło się szarpać. Oczy wciąż miało zamknięte. Nie mogąc oswobodzić rąk, poczęło wierzgać nogami. Jągo drobne ciało podskakiwało na łóżku, mocno uderzając o twarde siennik.

– Niech który leci po siostrę – zakomenderował leżący najbliżej chłopca pacjent. Sam zaś dopadł do dziecka i począł mu przyciskać nogi. – Bo se krzywdę jaką zrobi – tłumaczył.

– Siostro! Siostro! – wyrwało się z kilku gardeł.

Jeden z pacjentów wyszedł na korytarz i zaczął krzyczeć. Po chwili do sali przybiegła pielęgniarka. Natychmiast ruszyła w stronę wijącego się w spazmach chłopca.

– Uspokój się, dziecko. – Zaczęła go cucić, by się wreszcie wybudził. – Już dobrze. Otwórz oczy. Jesteś bezpieczny.

– Zostawcie mnie! Zostawcie! – krzyczał coraz głośniejsze.

Iwo dziwił się, skąd w takim małym dziecku tyle siły i determinacji.

– Przestań. Otwórz oczy! – Szarpnęła go jeszcze mocniej i wtedy już miała pewność, że chłopiec jest przytomny i jedynie zaciska powieki. – Trzymajcie go, a ja lecę po zastrzyk!

Jeszcze jeden pacjent ruszył z pomocą temu, który od początku trzymał chłopca. Później obydwaj z całych sił przyściskali ciało dziecka do siennika. Chłopiec wciąż nie ustawał w swoich wysiłkach, by się uwolnić.

Iwo nie mógł patrzeć, jak dziecko cierpi.

– Hej, mały, jesteś bezpieczny – odezwał się najgłośniejsze, jak mógł, ale nie miał pewności, że jego głos został usłyszany.

Powoli zaczął się gramolić z łóżka i choć robił to niezdarnie i co rusz coś dotykało jego rąk, sprawiając mu ból, to się nie zatrzymał. Wreszcie podszedł do łóżka chłopca i przesunął się bliżej jego głowy.

– Otwórz oczy i zobacz, że nikt nie chce zrobić ci krzywdy – usiłował wytłumaczyć, ale chłopiec wciąż nie reagował na jego słowa. – Tak samo jak ty jesteśmy chorzy i jesteśmy tu po to, żeby wyzdrowieć – ciągnął niezrażony. – Każdego coś boli, ale lekarze wiedzą, jak nam pomóc. Pomogą też tobie. Tylko przestań się rzucać, bo sam zadajesz sobie ból. Przestań – poprosił spokojnym głosem, choć w środku drżał z nadmiaru emocji.

Ostrożnie wyciągnął dłoń i położył ją na głowie chłopca. W tej samej chwili dziecko otworzyło oczy, w których dostrzegł przerażenie.

– Nikt nie będzie cię trzymał, jeśli przestaniesz – obiecywał Iwo, nie zabierając ręki z głowy chłopca. – Jak masz na imię? – zapytał, chcąc odciągnąć jego myśli. – Pamiętasz swoje imię? Ja jestem Iwo, a ty?

– Staś – odezwał się zachrypniętym od krzyku głosem i nie spuszczał wzroku z Iwa.

– Stasiu, mogę przy tobie posiedzieć?

Chłopiec powoli skinął głową. Iwo zaś spojrzął na mężczyzn w wciąż mocno dociskających nogi dziecka. Ci wykończeni chętnie odsunęli się od posłania i powlekli do swoich łóżek. W tej samej chwili do sali weszła pielęgniarka, a w ślad za nią Nela. Obydwie patrzyły w stronę najdalszego kąta. Iwo dostrzegł, że zmiernają w ich kierunku.

– Teraz dostaniesz zastrzyk, żebyś mógł zasnąć – wyjaśnił wpatrzonemu w niego chłopcu.

– Tylko nie zastrzyk. – Dziecko nagle wybuchło płaczem. – Nie chcę.

– Jutro obudzisz się o wiele zdrowszy, obiecuję – odezwał się Iwo. – A jak będziesz chciał i doktor pozwoli, to pójdziemy na spacer.

– Spacer? – spytał i syknął, bo poczuł ukłucie igły.

– Ale musisz nabrać sił, żeby mi pomóc iść – dodał, widząc zainteresowanie w oczach dziecka. Chwilę później zamknęło powieki i zasnęło.

Iwo wstał i wrócił na swoje łóżko. Nela poprawiła chłopcu poduszkę, a pielęgniarka sprawdziła, czy pas zaciśnięty na rękach dziecka się nie poluzował.

– Nie można mu tego zdjąć? – zagadnął Iwo po niemiecku. – To przez to tak bardzo się zdenerwował.

– To dla jego bezpieczeństwa – odparła pielęgniarką z miną znawczyni. – Dopiero co go odratowali, bo chciał się powiesić. Ja wiem, co mu palnie do głowy? Ja tu nie chcę wisielców! – syknęła, coraz bardziej zirytowana.

Nela mrugnęła na Iwa i pomogła mu się położyć. Ciężko opadł na poduszkę. Później podeszła do pozostałych pacjentów, by poprawić zrolowane prześcieradła albo strząsnąć zbite pierze w poduszkach. Gdy skończyła, nadeszła pora obiadu. Dwóch pacjentów już czekało na karmienie. Sami ledwie mogli przełknąć to, co im podała. Tym razem w zupie była kasza, więc nie musieli niczego gryźć. Od czasu do czasu Nela spoglądała w stronę Iwa. Ten starał się samodzielnie najęść. Kilka łyżek zupy wylądowało na jego koszuli, ale się nie poddał. Z każdym kolejnym ruchem szło mu coraz lepiej.

– Widzieć, że już nie być potrzebna – odezwała się, gdy zabierała puste naczynia po obiedzie.

– Chcę jak najszybciej wrócić do domu, więc nie mogę czekać na pomoc innych.

– Racja...

– Ale możesz mi pomóc wyjść na spacer. Jutro obiecałem zabrać ze sobą Stasia, a tymczasem sam nie potrafię wyjść na korytarz.

– Ja zanieść talerze i niedługo wrócić, a ty na razie odpoczywać i się nie ruszać – przykazała mu.

Iwo przez kolejną godzinę leżał, wypatrując Neli. Liczył się z tym, że dziewczyna ma wielu pacjentów i wszystkimi musi się zająć. Nie zamierzał zawracać jej głowy, dlatego gdy jej nieobecność się przedłużała, opuścił nogi i przez chwilę siedział na łóżku, przygotowując się do wstania. Później chwycił się za oparcie i się podniósł. Wtedy zaczął iść w stronę drzwi. Kiedy wyszedł na korytarz, tuż przed nim stanęła Nela.

– Widzieć, że jesteś gotowy? – spytała po niemiecku i mrugnęła do niego porozumiewawczo.

– Już nie mogłem się doczekać – odparł w tym samym języku.

Nie śpiesząc się, sunęli wzdłuż korytarza. Niektóre drzwi do sal pozostawały zamknięte, z innych zaś dochodziły odgłosy toczących się rozmów. Niemieckie słowa wypełniały przestrzeń wokół nich.

Doszli do końca korytarza i zatrzymali się przy dużym oknie wychodzącym na niewielki park obok szpitala. Iwo oparł się o parapet. Czuł zmęczenie, ale też satysfakcję, że zdołał tutaj dotrzeć.

– Może udać nam się zejść do parku – odezwała się dziewczyna.

– Nie dam rady. To za daleko – przyznał.

– Wystarczy, otworzyć okno, a ty się nieco wychylić – wyjaśniła, śmiejąc się ze swojej pomysłowości. – Po deszczu wszystko mocniej pachnieć. Ty zamknąć oczy i powąchać – poleciła, gdy stanął w otwartym oknie.

Rzeczywiście, przestał czuć wszechobecny w szpitalu odór spirytusu. Zamiast niego do nozdrzy doszła woń lata nasycona zapachami trawy, liści i kwiatów, wzbogacona nutą wiatru niosącego wilgoć od morza. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo chce wracać do Sztutowa. To tam zostawił przyjaciół, z którymi zdążył się żyć. Którym ufał i za których nieraz nadstawiał karku. Prawie od tygodnia z nikim z nich się nie widział. Miał nadzieję, że dają sobie radę bez niego. Chciał jak najszybciej wrócić na posterunek.

– Ty mieć dar przekonywania – odezwała się Nela, patrząc na jego zamyśloną twarz.

Iwo otworzył oczy i przez chwilę patrzył na nią, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Dzięki tobie Staś się uspokoić – wyjaśniła.

– Lubię dzieci. Mam bratanków, których uwielbiam.

Z uznaniem pokiwała głową.

Zrobiło mu się przyjemnie pod wpływem jej ciepłego spojrzenia.

– Myślisz, że on naprawdę chciał się zabić?

– Ingrid mówi w dyżurce, że podobno sąsiadka odciąć go wiszącego na pasku od spodni.

– Dzięki Bogu zdążyła na czas. Nigdy nie wiadomo, co tym dzieciakom siedzi w głowach.

Zamilkli obydwoje. Iwo znowu wyjrzał przez okno. Chłodne powietrze sprawiło mu przyjemność, ale czuł już zmęczenie.

– Chcieć wracać? – spytała, jakby wyczuwała, o czym myśli.

Pokiwała głową i ruszyli w drogę powrotną. Iwo wsparty na jej ramieniu noga z nogą dreptał na sam koniec korytarza. Właśnie minęli jedną z sal, gdy tuż za plecami usłyszeli głos.

– Panienska Nela?

Dziewczyna odwróciła się, a widząc zwracającego się do niej pacjenta, potrząsnęła głową i znów ruszyła przed siebie.

– Panienska Nela Witt? – powtórzył niewysoki mężczyzna w długiej koszuli, spod której wystawały krzywe nogi. – To u mojej żony panienska matka zamówiła kwiaty na stoły weselne – wyjaśnił, uśmiechając się.

– Z kimś mnie pan pomylił – oświadczyła, nawet na niego nie spojrzawszy.

– Nieprawda. Przecież panienska nieraz u nas była.

– Niech pan wraca do łóżka – poleciła surowym głosem.

Mężczyzna stał jak wryty. Ona zaś z każdą sekundą oddalała się od niego. Iwo czuł, że cała drżała, ale nie miał pojęcia dlaczego. Zanim jednak zdołał zapytać, doszli do jego sali. Nela odprowadziła go do łóżka i pomogła mu się położyć. Później wyszła i już tego dnia nie wróciła.

## Rozdział XVIII



### Dzień niespodzianek

Nela od dłuższej chwili siedziała przed toaletką, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze z bogato zdobioną drewnianą ramą z motywem kwiatowym. Jasne włosy już dawno umiejętnie upięła na czubku głowy, by jej nie przeszkadzały. Zaraz po śniadaniu ubrała się w elegancką sukienkę. Ale teraz, gdy już była gotowa do wyjścia, nie potrafiła wstać. Od wczoraj towarzyszył jej strach i nie umiała się zmotywować, by zapomnieć o niefortunnym spotkaniu ze wścibskim mężem kwiaciarki. Bez trudu ją rozpoznał, a przecież starała się zachować pozory. Być może jednak zbyt naiwnie sądziła, że zdoła ukryć swoje wizyty w szpitalu? Owszem, znajomi jej rodziców unikali takich miejsc, ale jak się okazało byli i tacy, których nie stać na kosztowne domowe wizyty lekarzy. Na szczęście tych ostatnich było wokół jej rodziny bardzo niewiele. Ta myśl pozwoliła jej odetchnąć, a nawet sprawiła, że w duchu pochwaliła się za to, że zdołała zachować zimną krew w czasie spotkania z mężem kwiaciarki.

Tak. Zaprzeczanie było najlepszym sposobem na wścibskie pytania. Pomalowała usta szminką w kolorze karmelowym i nałożyła kapelusz. Jej nienaganny wygląd nie powinien wzbudzić niczyich podejrzeń.

Włożyła buty na niewysokim obcasie i wyszła na korytarz. Cicho zeszała po schodach, by nie wzbudzać zainteresowania domowników. Już przy śniadaniu zapowiedziała, że umówiła się z Klarą na zakupy, więc nie wróci na obiad.

Właśnie stanęła przed drzwiami, zamierzając je otworzyć, gdy rozległo się pukanie. Odruchowo odskoczyła od nich, ale pukanie się powtórzyło, a z kuchni doszły do niej odgłosy kroków Marty spieszącej otworzyć drzwi. Nela wiedziała, że nie zdąży się ukryć, nacisnęła więc klamkę. Masywne drzwi drgnęły.

– Dzień dobry – przywitał się nastolatek z twarzą pokrytą licznymi pryszczami. – Mam dla pani Neli Witt przesyłkę od pani Heller – poinformował czystą niemczyzną.

Dziewczyna przejęła pudełko i uśmiechnęła się do chłopaka, zanim zamknęła drzwi.

– Kto to był? – spytała stojąca tuż za jej plecami Marta.

– To tylko goniec – wyjaśniała, po czym zwróciła się w stronę schodów.

Marta z powrotem podreptała do kuchni, nie zajmując sobie głowy przybyszem. Musiała jeszcze uprasować kilka nowych obrusów zakupionych przez panią domu, którymi miała nakryć stoły na przyjęcie weselne.

Nela pośpiesznie wbiegła na schody, uważając, by nie upuścić pudełka. Przebiegła przez korytarz i stanęła przed drzwiami prowadzącymi do jej pokoju.

– Ktoś pukał? – odezwała się matka, stając tuż za jej plecami.

Ta aż podskoczyła i natychmiast odwróciła się w stronę matki, umiejętnie balansując, by nie upuścić sporej wielkości paczki.

– Mamuś, przestraszyłaś mnie.

– Coś dostałaś? – Matka zignorowała jej uwagę.

– Pani Heller skończyła sukienkę – wyjaśniała rzeczowo i nogą pchnęła drzwi.

– To czemu nic nie mówisz?! Nareszcie! – Aż zatarła dłonie z radości i ruszyła w ślad za córką. – Już miałam iść do tej Hellerowej zrobić ciężką awanturę, że tak się ślimaczy z robotą. Ile można czekać na suknię ślubną?!

– Chciała, żeby wszystko wyglądało nienagannie – broniła kobiety Nela, wiedziała bowiem, że to z powodu wciąganych przez nią poprawek w projekcie sukni doszło do tego opóźnienia.

– Pokaż! Już nie mogę się doczekać, żeby cię w niej zobaczyć – nalegała matka, sadowiąc się w fotelu stojącym przy łóżku.

– Mamuś, trochę się spieszę... – usiłowała się wykpić. – Klara już na mnie czeka.

– No już, wkładaj suknię, bo nie mogę wytrzymać. Tyle było z nią zachodu, że już się bałam, że Hellerowa nie zdąży z jej uszyciem. Swoją drogą ta kobieta jest niekompetentna i chyba czas najwyższy poszukać nowej, znacznie

bardziej rozgarniętej modystki. Helga mówiła, że jakaś młoda Niemka z Prus Wschodnich właśnie otworzyła swoją pracownię przy Heil Geist i podobno ma wiele dodatków prosto z Paryża i Mediolanu.

Nela czuła, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Wzięła pudełko i weszła za parawan stojący między jej łóżkiem a toaletką. Dotknęła błyszczącego materiału sukni, ale jedyne, co poczuła, to niechęć. Za trzy tygodnie miała stanąć na ślubnym kobiercu i złożyć przysięgę mężczyźnie, który z każdym dniem wydawał jej się coraz bardziej obcy. Nie rozumiała jego zachowań. Jego słowa zaczęły ją drażnić. Czy tak ma wyglądać reszta jej życia? Może zbyt pochopnie zgodziła się przyjąć od niego pierścioneńkę zaręczynową? Wtedy uważała, że to najwspanialszy mężczyzna, jakiego poznała, a radośnie wygłaszane pochwały pod adresem Wilhelma przez jej rodziców jeszcze bardziej pchały ją w jego ramiona. A dzisiaj? Dzisiaj wiedziała, że była zbyt młoda na podjęcie tak ważnej decyzji.

– Gotowa? – niepokoilią się Ana.

Nela powoli wyszła zza parawanu i stanęła naprzeciwko matki. Kobieta aż rozdziawiła usta na widok córki. Potem zaczęła się wachlować chusteczką znaną na stoliku obok fotela. Wreszcie przełknęła ślinę i zebrała się w sobie.

– Co to ma być? – spytała, ciężko dysząc. – Gdzie twoja suknia ślubna?

– Tutaj. – Nela wskazała na sukienkę.

– Czyś ty oszalała?! – krzyknęła i zerwała się z fotela. – Co to ma być? – Poczęła szarpać wąską sukienkę, idealnie przylegającą do sylwetki dziewczyny. – Gdzie tren? Gdzie gipiura? I jeszcze ten dekol! To sukienka dla ładaczniczki, a nie dla mojej córki! – grzmiała bez opamiętania. – Niech ją dorwę tę Hellerową! Ani feniga jej nie zapłacę za tę partaninę!

– To ja chciałam taką sukienkę – wtrąciła.

– Nie interesuje mnie, co ty chciałaś! To ja tu płacę i nie pozwolę, żeby ludzie wzięli nas na języki, bo moja córka nie ma gustu! Ta baba powinna wybić ci te głupoty z głowy! Już ja jej dam! – Wybiegła z pokoju i pognęła schodami w dół, a po chwili rozległo się głośne trzaśnięcie.

Nela zagryzła dolną wargę. Czuła płynące po policzkach łzy. Otarła je wierzchem dłoni. Spojrzała w lustro. Jej szminka zdążyła się rozmazać. Wzięła chusteczkę i wytarła twarz, a potem usta. Powoli zdjęła sukienkę i ostrożnie schowała ją do pudełka. Nie miała siły myśleć co dalej. Włożyła spodnie i cienką bluzkę. Nawet nie spojrzała w lustro przed wyjściem z pokoju. Ze spuszczoną głową powlokła się do furtki. Gdy tylko ją minęła, podjechał znajomy woźnica. Już wczoraj się z nim umówiła, więc cierpliwie na nią czekał. Nie musiała mówić, dokąd ma ją zawieźć.

– Panienska taka smutna – odezwał się, patrząc na nią z ukosa. – Może jaką krzywdę kto panience zrobił? – spytał po chwili i choć zwracał się do niej po niemiecku, to wyczuła, że jest Polakiem.

W pierwszym odruchu chciała zbyć natręta milczeniem. Nie miała siły, by komukolwiek tłumaczyć, co przed chwilą zaszło w jej domu. Mężczyzna nie nalegał. Jechali więc w milczeniu. Dopiero gdy odjechali dostatecznie daleko od domu, poczuła się pewniejsza, a jej złość poczęła ustępować bezradności.

– Ma pan czasem poczucie, że traci kontrolę nad swoim życiem? – odezwała się cicho.

– I to nieraz, paniensko – przyznał, zerkając na nią przez ramię.

– A im bardziej się człowiek nad tym zastanawia, tym bardziej wydaje się, że życie śmieje nam się w twarz... – dokończyła i zamilkła, przypatrując się mijanym kamienicom.

– Czasem to śmiech przez łzy... nasze łzy – dodał zamyślony.

Nela czuła, że trafiła w czuły punkt woźnicy, ale była zbyt pochłonięta rozpamiętywaniem swoich problemów, aby pytać o coś więcej.

Kilka minut później wysiadła przed szpitalem. Jak zwykle weszła na oddział i przebrała się w szpitalny strój. Teraz już mogła pójść do pacjentów.

– Witaj, moje dziecko – odezwał się stary lekarz, gdy tylko stanęła na korytarzu. – Mam nadzieję, że ten kiepski humor to nie przez pracę w szpitalu?

– Bardzo lubię to, co robię – przyznała cichym głosem. – Ot, problemy rodzinne.

– Te potrafisz przytłoczyć, ale pamiętaj, by zrobić wszystko, aby je jak najszybciej rozwiązać i nie myśleć o nich w pracy, bo to może się źle skończyć dla pacjenta, a wtedy... Sama rozumiesz. – Spojrzał na nią wymownie.

Wiedziała, czym jest odpowiedzialność za życie innego człowieka. Tę cechę doskonale jej wpoiili rodzice, a później profesorowie prowadzący zajęcia w szkole pielęgniarstwa. Najmniejszy błąd mógł kosztować ludzkie życie. Pacjenci nie mieli prawa cierpieć z powodu jej złego samopoczucia czy kłopotów w domu.

Z wdzięcznością spojrzała na lekarza i się uśmiechnęła. Przecież to tutaj mogła zapomnieć o całym świecie i dać upust tym emocjom, którymi na co dzień nie miała szans się podzielić z nikim ze swojej rodziny. Nawet Tomas nie



wiedział, gdzie znikła na całe dnie. Klara też marudziła, że wciąż nie mogą się spotkać. I choć wszystkich ich musiała okłamywać, to nie miała wyrzutów sumienia. To tutaj czuła się potrzebna i rozumiana.

– No leć już, leć do pacjentów – powiedział i poszedł dalej.

Ona zaś skręciła do przypisanej jej sali. Gdy weszła, jej wzrok natychmiast powędrował w stronę okna i dwóch stojących pod nim łóżek. Jedno z nich stało puste, ale za to na drugim siedział Iwo i grał w karty ze Stasiem. Dziesięciolatek wciąż o coś dopytywał i choć rzucił jakąś kartę, to zaraz ją zabierał i wykladał inną. Nela nie miała pojęcia, w co grają, jednak była pewna, że w tej grze nie obowiązywały żadne zasady. Chętnie dołączyłaby do zabawy, ale miała pracę do wykonania.

Najpierw zdjęła opatrunek starcowi, który nieustannie spał. Później umyła jego pomarszczone ciało, a na koniec poprawiła mu poduszkę pod plecami. Następnie przeszła do innego pacjenta i też pomogła mu wygodniej się ułożyć. Potem jeszcze dwóm podała lekarstwa. Dopiero wtedy mogła sprawdzić, jak się czują pacjenci spod okna.

– Serwus – przywitała się, stając przy łóżku chłopca. – Jak się czuć moje pacjenci? – spytała łamaną polszczyzną.

– Gramy w prawdziwe karty – odparł Staś, nie kryjąc ekscytacji. – A Iwo przegrywa. – Z przejściem pokiwał głową.

– Ja widzieć, że ty najlepszy! – pochwaliła chłopca, jednocześnie mierzwiąc mu włosy.

– Nie mam szans z takim zawodnikiem – potwierdził Iwo, mrugnawszy do niej.

Nela spojrzała na jego rany. Wyglądały znacznie lepiej niż dwa dni temu, gdy tutaj była.

– A może teraz spacer? – zaproponowała, patrząc na mężczyźnię.

– Tak! Tak! – podłapał chłopiec i zeskoczył z łóżka gotów do wyjścia. – A gdzie spacer?

Iwo wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce.

– Na razie tylko po korytarzu – wyjaśniała Nela.

Nie musiała powtarzać dwa razy. Chłopiec natychmiast ją wyminał i szurając po podłodze starymi sandałami, podszedł do drzwi. Iwo też włożył buty i ruszył w ślad za dzieckiem. Nela natychmiast dostrzegła, że robił to znacznie szybciej niż poprzednio. Chciała mu pomóc, ale pokręcił głową. Szła więc krok w krok za nim. Dopiero gdy wyszli na korytarz, Staś stanął pomiędzy nimi i powoli zaczęli sunąć do okna.

Mijali drzwi wejściowe do kolejnych sal. Nela wówczas odwracała się w przeciwnym kierunku, co nie uszło uwadze Iwa. A gdy dotarli pod okno, chłopiec wspiął się na palce i wyjrzał na zewnątrz.

– A możemy tam iść? – spytał, widząc niewielki park.

– Może innym razem, jak ja przyjdę – odparła Nela. – Najpierw ty musisz nabrać siła po... – Urwała, nie wiedząc, jak określić to, co chłopiec próbował sobie zrobić. – Po choroba – dodała.

Staś natychmiast odwrócił się na pięcie i bez słowa odszedł.

– Stasiu! Stasiu! – zawołał Iwo.

Chłopiec dreptał w za dużych sandałach, których nie zdążył zapiąć, nie reagując na nawoływania.

– Co z nim? Powiedziałaś coś nie tak? – spytała po niemiecku.

Iwo pokręcił głową, nie odrywając wzroku od sunącego ze spuszczoną głową malca.

– On nie chce pamiętać o tym, co się stało – zaczął w mowie Goethego, opierając się o parapet, bo spacer wciąż był dla niego sporym wysiłkiem. – Wie, że zrobił coś złego. Każdej nocy płacze przed snem, a potem ma koszmary, bo wydaje mu się, że znowu zakłada sobie pasek na szyję i... – Przerwał i westchnął.

– Co mu strzeliło do głowy?

– Takie to podłe czasy, w których nie ma miejsca na dzieciństwo – odparł dość enigmatycznie.

– Jego rodzice go nie kochają czy co?

Iwo wciąż nie odrywał wzroku od przygarbionego chłopca, który zdawał się jeszcze niższy niż w rzeczywistości.

– Matka umarła przy porodzie jego najmłodszego brata – zaczął i odwrócił się w stronę okna. Zaciśnął palce na parapecie i stał nieporuszony.

Dziewczyna delikatnie pogładziła jego ramię. Poczuela, że mężczyzna drży. Spojrzała na niego pytająco.

– Staś ma troje młodszego rodzeństwa... Jego ojciec całe dnie pracuje jako woźnica. Rodzeństwem zajmuje się chłopak.

– Przecież on sam jest jeszcze mały...

– Babcia, która im pomagała, umarła wiosną. Teraz to Staś musi zadbać o maluchy, nakarmić je i opiekować się nimi w ciągu dnia.

Nela głośno westchnęła.

– Tyle obowiązków dla takiego malca... Nic dziwnego, że nie wytrzymał...

– Staś nie przestraszył się obowiązków – syknął. – To naprawdę dzielny chłopiec.

Ten wybuch zaskoczył Nelę. W oczach Iwa dostrzegła irytację i coś jeszcze, czego początkowo nie potrafiła określić.

– To mądry chłopiec... – stwierdziła, chcąc nieco ostudzić atmosferę.

– Tylko już nie mógł wytrzymać tego wszystkiego – dodał Iwo i znów głośno westchnął. – Tak nie można. Dzieci nie powinny brać udziału w czymś takim.

– W czym?

– W szykanowaniu innych... W opluwaniu swoich kolegów... W codziennym uprzykrzaniu życia tym, którzy wydają im się gorsi...

– Co? O czym ty mówisz? – Zmarszczyła czoło, przysuwając się do niego, bo choć w środku kipiał, to jego głos stał się coraz cichszy.

– Każdego dnia Staś musi wysłuchiwać wyzwisk kierowanych pod adresem jego i jego rodziny. Odkąd zostali jedynymi Polakami na swojej ulicy, nie mają chwili spokoju – mówił coraz szybciej i co rusz uderzał pięścią w parapet. – A to ktoś nasika im na drzwi. A to wrzuci do sieni zdechłego kota czy zabitego wróbla. A ostatnio... ostatnio, zanim tu trafił... Ktoś najpierw wrzucił go do ustępu, a gdy maluch ledwie się z niego wykaraskał, to przyjaciele z podwórka solidnie go obili kijami, żeby przestał cuchnąć...

Teraz to ona poczuła dreszcze na całym ciele, jakby nagle objęły ją lodowate ramiona, z których chciała się wyrwać, a jednak nie miała pojęcia, jak tego dokonać. Oczywiście wyobraźni widziała sponiewierane dziecko wlekące się na strych i zakładające sobie pętlę ze skórzanego, ojcowskiego paska...

Wrócili do sali. Nela usiadła na łóżku zwiniętego w kłębek chłopca i dotknęła jego pleców. Drgnął, ale nie otworzył oczu. Jedyne jeszcze mocniej się skulił. Okryła jego stopy kocem i ruszyła do dalszej pracy.

Czuła się tak, jakby była w transie. Zmieniała opatrunki, rozdawała lekarstwa, robiła zastrzyki, karmiła pacjentów i poprawiała pościel, ale miała wrażenie, że znalazła się we śnie, z którego nie potrafi się obudzić. Wyszła bez pożegnania. Nie miała odwagi stanąć twarzą w twarz ani z Iwem, ani ze Stasiem.

Szła powoli. Nie miało znaczenia, czy się spóźni na kolację. Wreszcie stanęła na wprost domu, w którym się wychowała. Tak chętnie odwiedzali ją znajomi. To w ogrodzie najlepiej bawiła się z braćmi w chowanego. To zapach potraw przyrządzanych przez kucharkę nie pozwala jej opuścić obiadu czy kolacji. A gdy źle się czuła i nie mogła zejść na dół, pokojówka przynosiła jej posiłek do łóżka. W tym domu brała udział w tanecznych przyjęciach i wystawnych kolacjach. Wtedy mogła poczuć się jak cząstka wielkiego świata, który na nią czekał z otwartymi ramionami.

Nagle przeniosła wzrok na ogrodzenie. Wcześniej tego nie dostrzegła, ale z drewnianej furtki gdzieśgdy odpadała biała farba. Pchnęła ją, a ta zaskrzypiała.

Coś drgnęło...

Coś się zmieniło...

Coś przestało istnieć.

Nela jeszcze nie potrafiła zdefiniować tego, co zaszło, ale czuła, że ma dość i potrzebuje zmian. Z tym przeświadczeniem weszła do domu. Z jadalni dochodziły odgłosy rozmowy. Zamierzała niepostrzeżenie wejść na górę, ale nie zdążyła.

– Nareszcie jesteś! – obwieścił wszem i wobec schodzący na parter Frank. – Mama już się bała, że uciekłeś z domu. Ponoć zaszalałeś z sukienką... – Cmoknął zaczepnie.

Nie miała ochoty na tę rozmowę, ale zanim otworzyła usta, by dać temu wyraz, tuż za swoimi plecami usłyszała:

– A gdzie ty się podziewałeś? Kolacja stygnie.

– Przepraszam, tatku. – Odwróciła się do ojca i cmoknęła go w policzek.

– Chodź do jadalni, bo masz gości. – Pociągnął ją za dłoń i wspólnie weszli do środka.

Wzrok Neli natychmiast odnalazł siedzącego przy stole Wilhelma. Narzeczony z uśmiechem na ustach opowiadał o ostatniej rozprawie, w której bronił handlarza podejrzanego o przemyt złota i biżuterii.

– O, nareszcie jesteś, moje słońce. – Wilhelm poderwał się z miejsca, by ucałować jej dłoń.

Wyciągnęła rękę, ale się nie odezwała.

– Źle się czujesz?

– Jeszcze tylko trzy tygodnie i wszystkie troski odejdą. Wreszcie będziecie razem i Nela odetchnie – wyjaśniła Ana ze wzrokiem utkwionym w przyszłym zięciu. – Mój drogi, musisz być wyrozumiały dla Nelci. Kobiety naprawdę przeżywają zamążpójście. Wierz mi, że zmartwień nie brakuje. Nawet dzisiaj musiałam zrobić awanturę modystce,

która zawiodła moje nadzieje... Na szczęście są w tym mieście osoby znające się na swoim fachu, które pomogą od-kręcić to, co inni spaprali... – Ana spojrzała na córkę, a jej przeszywający wzrok sprawił, że ta też na nią zerknęła.

Nie musiała nic mówić. Widziała, że matka triumfuje. Usiadła więc na swoim miejscu. Marta podała jej pieczeń wieprzową.

– Wilhelm ma dla ciebie niespodziankę – obwieściła dumnie matka i z radością malującą się na jej twarzy spoj-rzała na męczycznę, który wytarł usta chusteczką i wyprostował się na krześle.

– Moi rodzice postanowili przyjechać nieco wcześniej, byście mogli się lepiej poznać – zakomunikował.

– Już ustaliliśmy, że jutro spotykamy się u nas na obiedzie, a wieczorem wychodzimy do teatru – wtrąciła Ana. – Przekażesz rodzicom zaproszenie? – upewniła się, patrząc na Wilhelma. – Pewnie będą zmęczeni po podróży, więc nie chcę ich rano nachodzić.

– Oczywiście, proszę nie robić sobie kłopotu – oświadczył. – A ja w takim razie zapraszam państwa w ich imieniu na pojutrze. Może obiad w Café Zinglershöhe? Chciałbym pokazać rodzicom to, co najlepsze w Danzig.

– Świetny wybór, z tego miejsca będą mieli widok na całą zatokę. – Anders z uznaniem pokiwał głową.

– Przyjdziemy z największą przyjemnością – przyznała Ana. – Tomasiu, może podarujesz państwu Meyer któryś ze swoich obrazów z widokiem na Danzig? – Zerknęła na młodszego syna.

Chłopak zdążył już zjeść i ze znużoną miną spoglądał za okno. Najchętniej już dawno by wyszedł, żeby uchwycić zachodzące słońce.

Usłyszawszy swoje imię, wrócił myślami do jadalni.

– Jasne, zaraz poszukam czegoś odpowiedniego.

– Mam nadzieję, że kiedy pojawią się wnuki, to twoi rodzice będą was często odwiedzać – zagaiła Ana.

– Moi rodzice już nie mogą się tego doczekać – przyznał Wilhelm i z największą czułością spojrzął na Nelę.

Dziewczyna skrzywiła się w niemym uśmiechu, nie przerywając grzebania widelcem w jedzeniu. Nie czuła smaku, a teraz oddałaby wszystko, by nie słyszeć tej rozmowy. Miała wszystkiego dość. Potrzebowała odetchnąć, ale wiedziała, że przez najbliższe dni nie ma co o tym marzyć.

Każde z wypowiedzianych zdań zdawało się krążyć wokół niej. Słowa plotły się ze sobą niczym lina splątana z dziesiątek nici. Wyimaginowany sznur począł zaciskać się wokół jej szyi, ale ucisk, który odczuwała, był prawdziwy. Brakowało jej tchu.

– Coś się dzieje? – Tomasz zareagował jako pierwszy.

– Muszę się położyć... – szepnęła, chwyciwszy się za szyję. – Jestem zmęczona.

– Pomogę ci – oświadczył Tomasz i podtrzymał siostrę.

– Nabieraj sił – odezwał się Wilhelm, całując jej rękę na pożegnanie.

Wsparta na ramieniu brata opuściła jadalnię, nie mając pojęcia, jak przetrwać kolejne dni. Wtedy uświadomiła sobie, że to dopiero początek czekającego na nią życia.

## Rozdział XIX



### Ciekawość

Delikatne poddmuchy wiatru poruszały liśćmi krzewów rosnących w niewielkim ogrodzie na tyłach domu, do którego po dwóch tygodniach powrócił Iwo. Jak dobrze było znowu poczuć zapach koszonych łąk. Tęsknił też za poranną bryzą. Na razie jednak nie odważył się na spacer nad morze oddalone od wsi o pół godziny drogi spacerem. Doktor Werle, wypisując go ze szpitala, przestrzegał, by zbyt wcześnie nie obciążał organizmu nadmiernym wysiłkiem fizycznym. Teraz powinien się głównie skoncentrować na wypoczynku. Oczywiście Iwo nie zamierzał o tym wspominać swojemu przełożonemu ani nawet Rajmundowi. Miał dość leżenia w łóżku i objania się. Wiedział, że jego nieobecność to więcej pracy dla pozostałych celników. Dał sobie dzień na powrót do rzeczywistości i to musiało mu wystarczyć.

Cieszył się, że tutaj wrócił, ale jedna kwestia nie pozwalała o sobie zapomnieć. Do ostatniej chwili liczył na to, że zdoła zobaczyć Nelę i się z nią pożegnać. Zniknęła zaraz po tym, jak się dowiedziała o losie Stasia. I choć wyszedł ze szpitala trzy dni później, to nie zdołał jej zobaczyć. Usiłował podpytać o Nelę inne pielęgniarki, ale te uparcie twierdziły, że nie wiedzą, kiedy dziewczyna przyjdzie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego żadna nie chce mu powiedzieć. Później wpadł na pomysł, że może Nela została przeniesiona na inny oddział. Odważył się nawet zapytać jednego z młodszych lekarzy, ale ten zbyt jego pytanie wzruszeniem ramion.

Od tamtego momentu żałował, że powiedział Neli o tym, co spotkało Stasia. Nie miał prawa obciążać jej takimi sprawami. Powinien zdawać sobie sprawę z tego, że choć żyją w tym samym mieście, to patrzą na nie z dwóch różnych perspektyw. Widocznie to było dla Neli zbyt wiele.

Spojrzał na swoje ręce. Poparzenia zbladły. Naciągnął długie rękawy, by osłonić delikatną skórę przed promieniami słońca, które coraz mocniej grzało. Nagle usłyszał warkot silników. Przez chwilę się przysłuchiwał, by określić, skąd dochodzi. Gdy tak słuchał, uświadomił sobie, że hałas trwa od kilku minut i nie milknie. Podniósł się z wiklinowego fotela i wyszedł przed dom. W oddali dostrzegł tuman kurzu unoszącego się na obrzeżach wsi. Wiedziony ciekawością szedł w tamtym kierunku.

– Precz! Wynocha stąd! – ktoś za nim krzyczał, ale on się nie zatrzymywał.

– Nareszcie będzie tu porządek – dodał ktoś inny, stojący przy furcie.

– Już dawno powinni to zrobić – zaszczębiotała drobna kobieta wracająca z zakupów z pełnym koszem.

Iwo zbył tych wszystkich ludzi milczeniem. Nie spodziewał się niczego innego. Szedł jednak dalej. Wreszcie doszedł na koniec wsi. Teraz już dokładnie widział, co się działo. Jego obecność w tym miejscu nie była pożądana, skrył się więc za rozłożystym dębem i z kilkudziesięciu metrów obserwował zjeżdżające z drogi motocykle z jednym lub dwoma pasażerami oraz samochody wylądowane ludźmi.

Słowa ginęły wśród huku kolejnych ciężarówek dowożących ludzi. Iwo cierpliwie czekał. Nie miał pojęcia, kim są i dlaczego akurat tutaj się znaleźli. Ludzie ci nie wyglądali na takich, co to przyjechali za chlebem. Mimo upału nosili trzewiki, trzymali dumnie podniesione głowy, a każdy z nich, zeskoczywszy z samochodu, szybko szedł do jednego prowizorycznie ustawionego namiotu. Stamtąd wszyscy rozchodzili się na boki. Później w grupach po kilkanaście osób usiłowali rozłożyć duże namioty i odpowiednio zabezpieczyć przed wichrem i deszczem.

Iwo, czując zmęczenie, przykucnął za drzewem, ale nie miał zamiaru odchodzić. Czekał tak kilka kwadransów, gdy wreszcie poczuł pragnienie. Powinien już wracać do domu. Widział dostatecznie dużo, jednak jakaś siła trzymała go w tym miejscu. Rozejrzał się wokół. Nieopodal dębu rosło kilka sadzonek mięty. Na razie musiało wystarczyć. Mężczyzna podpełzł i zerwał parę liści, po czym zaczął je przeżuwać.

Zdażył wrócić na swoje miejsce pod drzewem, gdy znów usłyszał warkot silników. Zachowując ostrożność, wychylił się zza drzewa. Wówczas jego wzrok przykuł szpaler mocno obciążonych ciężarówek. Kiedy pierwsze z nich zatrzymały się najbliżej niego, nieco się wychylił, by lepiej widzieć. Kierowcy czekali na znak. Wreszcie ktoś do nich podszedł i pokierował ich w głąb obozu. Ciężarówka jedna po drugiej zaczęły przejeżdżać dalej.

Mężczyzna zaklął pod nosem. Z tej odległości nie miał szans zobaczyć, czym są wyładowane. Szybko podjął decyzję, co powinien robić dalej. Już wcześniej widział dwa drzewa rosnące znacznie bliżej, choć z boku obozu. Kiedy tylko upewnił się, że na drodze nie ma już innych pojazdów, począł się czołgać w stronę pierwszego z drzew. Ból ramion szybko przypomniał mu, dlaczego nie wrócił do pracy. Nie miał jednak czasu na rozczulanie się nad sobą. Zaplątał mankiety u koszuli, by trawa nie drażniła poranionych miejsc, i dalej się czołgał. Gdy dopadł do drzewa, ciężko dyszał. Potrzebował chwili, by wyrównać oddech. Suchość w ustach wzmagala się, ale nie mógł się poddać.

Nie miał innej możliwości, jak podejść do kolejnego drzewa. W tej chwili widział ciężarówkę, ale stała zwrócona do niego bokiem. Przyczołgał się do ostatniego z drzew. Dotknąwszy jego kory, przez chwilę leżał nieporuszony, ciężko dysząc. Koszula zdążyła się przykleić do jego spoconego ciała. Choć większość liści mięty przeżuł i połknął, to wciąż nie ugasił pragnienia.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak był blisko. Ostrożnie wysunął się zza drzewa. Ustawione w rzędzie ciężarówki stały zaledwie kilkanaście metrów od niego, jednak ich zaciągnięte plandeki skrywały przed wścibskim wzrokiem cenny ładunek. Iwo postanowił zaczekać. Wcześniej czy później ktoś zacznie rozładowywać samochody, a wtedy on będzie dostatecznie blisko, by się upewnić, z czym ma do czynienia.

Jak na złość wszyscy kierowcy ochoczo ruszyli do prac związanych z organizacją obozu. Wyglądało na to, że każdy ma przydzielone jakieś zadanie. Nikt się nie ociągał. Nikt się nie kłócił. Na skraju obozowiska zrobiono palenisko, a nad nim zawieszony olbrzymi żeliwny gar, wokół którego kręciło się kilka osób. Jedna dolewała wodę, druga wrzucała do niego obrane warzywa, trzecia dorzucała do ognia znalezione w pobliżu patyki. Choć upał nie ustępował, to najwyraźniej żadnej z tych osób to nie przeszkadzało. Rozchodzący się wokół garnka zapach sprawił, że Iwo przypomniał sobie o trawiącym go głodzie. Zbliżała się pora kolacji, ale on wciąż nie widział tego, po co tu przyszedł. Bał się zrezygnować, wiedząc, że jutro może tak blisko nie podejść.

Chciwym wzrokiem patrzył na rozdzielane racje zupy wlewanej do menażek. Przypominały te wojskowe zabierane na front. To nakazało mu większą czujność. Gdy tłum przy palenisku zaczął się zmniejszać, dostrzegł, że ktoś rozwinął kilkumetrową flagę. Jej czerwony kolor przypominał flagę Wolnego Miasta Gdańska, ale zamiast dwóch białych krzyży, nad którymi góruje złota korona, pośrodku znalazła się czarna swastyka z trupa czaszką, a od niej do każdego rogu odchodziły czarne pasy. Na dwóch z nich widniały szare błyskawice, a na pozostałych po dwa krzyże zwieńczone złotymi koronami.

Iwo nigdy wcześniej nie widział takiego sztandaru<sup>22</sup>. Nie miał jednak najmniejszych wątpliwości co do celu, z jakim ci ludzie się tu znaleźli.

Zanim się ściemniło, dostrzegł też, że do jednej z ciężarówek podeszło kilku mężczyzn i poczęli z niej wyjmować duże pakunki. Iwo nieco mocniej się wychylił. Widział, jak mężczyźni kładą paczki na długich ławkach przed jednym z namiotów, gdzie wcześniej jedli, i rozcinają sznurki. Kiedy podnieśli pierwszą z wierzchu rzecz, nie miał wątpliwości, że są to mundury. Po chwili przed mężczyznami poczęła się ustawiać długa kolejka chętnych do mierzenia. Mężczyźni zakładali marynarki, zapinali i rozpinali je, jakby stroili się na potańcówkę. Ci, którzy wybrali swój rozmiar, odchodzili na bok. Gdy już wszyscy stali ubrani w marynarki, ci sami mężczyźni przynieśli kolejne paczki. Tym razem rozdawali spodnie.

Zdążył zapaść zmrok, gdy skończyli kompletować mundury. Iwo czuł się wykończony. Suchość w gardle dręczyła go tak mocno, że zdążył zerwać wszystkie jadalne liście wokół siebie, by znaleźć w nich choć odrobinę wilgoci. Miał przed sobą jeszcze jedno zadanie do wykonania.

Rozejrzał się na wszystkie strony i dopiero gdy się upewnił, że nikogo nie widzi, począł się czołgać w stronę zaparkowanych ciężarówek. Raptem zamarł. Dosłownie kilka kroków dalej ktoś przemknął obok niego, ćmiąc papierosa. Poczekał chwilę i ruszył dalej. Gdy zatrzymał się przy samochodzie, podniósł się, odchylił plandekę i zajrzał. Niewiele widząc w ciemności, podciągnął się i wskoczył na przyczepę. Wymacał skrzynię. Powoli zsunął wieko i włożył ręce do środka. Szybko przeliczył, ile sztuk broni może znajdować się na każdym z samochodów i ostrożnie zskoczył na ziemię.

– Klaus, to ty? – usłyszał gdzieś z lewej strony.

– Ta – skłamał, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Przypiliło mnie. Lecę na stronę – mówił płynną niemiezczyzną.

– To pewno po tej zupie. Mówiłem, żeby nie dodawali do niej grochu – zawołał tamten.

Iwo zaczął oddalać się od obozu. Co chwilę spoglądał przez ramię, by się upewnić, że nikt go nie śledzi. Najwidoczniej jednak jego rozmówca wrócił do namiotu, bo wokół nie było żywej duszy. Przyspieszył kroku i choć czuł się wyczerpany, to musiał jak najszybciej dotrzeć do domu i poinformować o wszystkim przełożonych.

Nagle dostrzegł jakiś ruch w obozowisku. Killkadziesiąt osób wysypało się z namiotów i zaczęło przeczesywać pobliskie zarośla. Iwo wiedział, że nie ma na co czekać. Zebrał się w sobie i zerkając na boki, chyłkiem przebiegł do kolejnego drzewa. Jeszcze tylko chwila i się stąd wydostanie. Wychylił się, by spojrzeć, gdzie są Niemcy. Wciąż znajdo-

wali się niedaleko niego. Począł iść na czworaka, przemieszczając się pomiędzy niskimi krzakami. Teraz mógł przyspieszyć. Zgarbiony biegł na przelaj, odgarniając wysokie chwasty. Poczuł, że jego stopa wpadła w dół. Zachwiał się i stracił równowagę. Jęk samoistnie wyrwał się z jego gardła. Wtedy poczuł rozlewający się wokół głowy ból. Zachwiał się na nogach i upadł.

Kiedy się ocknął, wokół niego stało kilkunastu mężczyzn. Zaraz potem ruszyła lawina pytań.

– Jak się nazywasz? – dociekał postawny mężczyzna z wąsami, który nosił marynarkę od munduru.

– Szulc – skłamał zgrabnie po niemiecku. – Arnold Szulc.

– Co tu robisz?

– Za krową latałem – brnął dalej, wiedząc, ile ryzykuje.

– Co ty pieprzysz? – Znacznie młodszy mężczyzna doskoczył do niego i mocno uderzył go w głowę, trafiając w to samo miejsce, co poprzednio.

Iwo zawył. Po twarzy ściekała mu krew. Zamrugał energicznie, by obraz mu się wyostrizył.

– Co tu robisz? – powtórzył starszy mężczyzna.

– Jałówkę pokąsały gzy i uciekła z pastwiska – tłumaczył Iwo. – Szukałem jej od południa. Zlałem już całe łąki. Widać się cholernica gdzieś dobrze schowała. – Kątem oka spojrzął na swój strój. Po całym dniu błąkania się po polach był dostatecznie brudny, by mógł uchodzić za parobka w gospodarstwie.

– To dlaczego kłamałeś, że jesteś Klaus? – dociekał młodszy.

– Przestraszyłem się. Zaskoczyłeś mnie. Bałem się. Tyle tu wszędzie tego polskiego elementu...

– Racja! – ktoś zakrzyknął z boku. – Ma chłop rację.

– A ty przypadkiem im nie sprzyjasz? – Młody chłopak chwycił go za oszewki. – Pełno tu kapusiów, ale i z nimi zrobimy porządek!

Rozległy się pomruki aprobaty.

– Frank to szczwany lis i wie, co mówi! – Ktoś poklepał po ramieniu podejrzanego Niemca. – Lepiej mów prawdę, bo ci nogi z dupy powyrywamy – dodał i zaśmiał się, a w ślad za nim poszli pozostali.

– Ta krowa miała być na posag dla siostry – ciągnął niezrażony Iwo. – Ojciec mnie zabije, jak jej nie znajdę.

– Może to i dobrze, jak nie umiesz pilnować majątku ojca – dodał Frank. – Rodzina jest najważniejsza! Zapamiętaj to sobie!

Znów jęknął, ale zdążył dostrzec, że mężczyzna w mundurze kiwnął na Franka i dwóch innych, którzy razem z nim odeszli na bok. Po chwili wyszli z namiotu, a nad nim pochylił się jakiś młody chłopak i szczyrykiem rozciął sznurek, po czym chwycił Iwa pod ramię i szarpnął go w górę. Ten momentalnie stanął, ale się zachwiał.

– Spieprzaj i nie płacz się pod nogami – warknął i chwycił go za kołnierz, a później wypchnął w ciemność. – My tu naprawdę mamy co robić.

Iwo, zataczając się, ruszył w stronę, z której wcześniej tutaj przyszedł. Nie miał siły biec, choć chciał się znaleźć jak najdalej stąd. Otarł krew, która rozmazała się na jego czole i ubrudziła rękawy koszuli. Ślaniając się na nogach, zmierzał w stronę wsi.

Gdy dostrzegł pierwsze zabudowania, ledwie dyszał. W pewnej chwili miał wrażenie, że choć przebiera nogami, to stoi w miejscu. Potem świat wokół niego przestał istnieć.

## Rozdział XX



### Przedstawienie

– Można prosić panienkę do tańca? – Głos Wilhelma wyrwał Nelę z zamyślenia.

Spojrzała na narzeczonego nieprzytomnym wzrokiem i dopiero po chwili przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Skinęła głową i poszli na taras.

Muzyka grała zbyt głośno, by rozmawiać, co Nela przyjęła z wdzięcznością. Miała dość pogaduszek. Od kilku dni niemal nie rozstawali się z rodzicami Wilhelma, którzy wszędzie im towarzyszyli. A ona potrzebowała spokoju i towarzystwa ludzi, przy których mogłaby swobodnie oddychać.

Lubiła powracać do chwil spędzonych w szpitalu. Choć to właśnie tam ciężko pracowała, to paradoksalnie czuła się tam znacznie bardziej szczęśliwa. Uśmiechnęła się do siebie.

– Wiedziałem, że w końcu się rozruszasz – odezwał się Wilhelm, bo muzyka właśnie ucichła. – I taką cię lubię – dodał, ledwie muskając jej dłoń. – Rodzice zachodzą w głowę, dlaczego jesteś taka nieobecna. Ojciec nawet odważył się mnie zapytać, czy nie jesteś przy nadziei. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Nela zgromiła go swoim spojrzeniem. Jej oczom znów ukazała się scena, gdy mocno podпиты Wilhelm trafił do jej pokoju i chciał ją zgwałcić. Czy mógł o tym zapomnieć? Gdy poznała Wilhelma, wydawał jej się najwspanialszym mężczyzną na świecie. Pochlebiali jej to, że był znacznie od niej starszy, ukończył studia i otworzył własną kancelarię adwokacką. Nigdy nie narzekał na brak klientów, co nieraz podkreślali jej rodzice patrzący na ich związek z dużą nadzieją. Wiele razy powtarzali, że właśnie takiego zięcia chcieliby mieć w rodzinie. Nela wiedziała, że mąż zapewni jej życie na najwyższym poziomie. Nie będzie musiała zajmować sobie głowy pracą. Rodzina miała być dla niej ważniejsza. Wiedziała też, że Wilhelm marzy o dzieciach. Bo choć sam jest jedynakiem, to zawsze chciał mieć rodzeństwo. Wiele razy podkreślał, jak bardzo jej zazdrości tego, że ma aż dwóch braci. Szybko znalazł wspólny język z Frankiem, choć ona wolała przebywać w towarzystwie Tomasa.

– Wili, odpocznijcie trochę – zachęcał Anders, wyglądając na taras.

– Chodźcie na deser! – zaprosiła Ana, nie wstając od stołu, na którym Marta ustawiła paterę z dużymi ptysiami, a na drugiej stał tort czekoladowy.

Nela bez pośpiechu weszła do środka i usiadła przy stole. Tomasz ze znudzoną miną siedział, dłubiąc w nałożonym na talerzyk ptyśiu, z którego zdążył już wyjść cały krem. Nela wypila tylko kawę. Nie miała ochoty na deser, ale dostrzegła, że jej narzeczonego najpierw zjadł dużą porcję tortu, a potem nie odmówił Anie, gdy nałożyła mu ptyśia.

Kiedy wszyscy już zjedli, Anders przypomniał, że czas najwyższy wychodzić. Chciał zająć dobre miejsce, by dokładnie wszystko dostrzec.

Nela najchętniej poszłaby w zupełnie inne miejsce, ale wiedziała, że dzisiaj też nie zdoła się wyrwać i zajrzeć do szpitala. Włożyła biały kapeluszek z dużym rondem i zaczęła przed furtką, aż wszyscy wyjdą. Tomasz stanął obok niej.

– Naprawdę musimy brać udział w tym cyrku? – szepnął jej do ucha.

– Mamy wspierać Franka – przypomniała młodszemu bratu.

– Da sobie radę i bez nas.

– Rodzice by nam tego nie wybaczyli.

– W tym tłumie Frank i tak nas nie dostrzeże.

Nela mrugnęła do niego i położyła palec na ustach, bo w ich stronę zmierzał Wilhelm.

– Gotowi? – spytał, patrząc na rodzeństwo. – To zapraszam – dodał, wskazując swój lśniący czystością samochód.

Dzień był ciepły, więc już rano Wilhelm złożył dach w aucie, a teraz na siedzeniu obok siebie posadził Nelę. Dla Tomasa przewidział tylną kanapę.

– Ramole jadą razem – odezwał się i głośno zaśmiał ze swojego żartu.

Nela podniosła wysoko brwi. Już nie raz w ten sposób mówił o rodzicach, ale ją to wciąż mierziło. Przemilczała to jednak.

Minęli kilka przecznic i zaparkowali auto w bocznej uliczce.

– Masz tu parę fenigów i pilnuj auta – polecił podrostkowi z chudymi, pałąkowatymi nogami. – A jak zobaczę chociaż jedną ryskę, to ci głowę ogolę! – zagroził, po czym odwrócił się do czekającej na niego narzeczonej i jej brata. – Idziemy? Gotowi na przedstawienie?

Nela miała wrażenie, że od jakiegoś czasu nieustannie występuje na scenie, tylko scenografia i towarzyszący jej aktorzy się zmieniają. Lekko ujęła ramię narzeczonego, po czym wyszli na główną ulicę, na której natychmiast dostrzegli gęstniejący tłum. Wilhelm przepychał się na sam początek, mocno trzymając Nelę, ta zaś ciągnęła za sobą brata. Zatrzymali się dopiero na skraju chodnika.

– Zaraz będą – obwieścił, rozglądając się na boki.

Wokół nich ludzie pokrzykiwali pochwały pod adresem Rzeszy i Hitlera. Wielu w rękach ścisnęło chorągiewki ze swastyką. Nela nigdzie nie dostrzegła chorągwi Wolnego Miasta Gdańska. Nawet domy wzdłuż ulicy udekorowano flagami Rzeszy.

– Muszę wracać! – krzyknął Wilhelm tuż przy jej uchu, żeby usłyszała. – Zapomniałem zabrać flagi. Zaraz do was wracam.

Nela jedynie pokiwała głową. Narzeczonego rzucił się w tłum, który nieśpiesznie ustępował mu miejsca.

Tomas spojrzął pytająco na siostrę. Ta zaś pociągnęła go za rękaw i ruszyła w innym kierunku niż ten, z którego przyszli. Przebijali się wzdłuż ulicy. Tłum coraz głośniej wiwatował, widząc zbliżającą się kolumnę wojska. Dumni żołnierze przeżyli pierś, siedząc na koniach. Konie dostojnie stąpały po polskim bruku ułożonym ręką polskiego robotnika. A nad głowami żołnierzy powiewały niemieckie flagi. Nela nie zatrzymała się, co chwilę spoglądała w stronę kolumny wojska. Wreszcie jej wzrok dostrzegł tego, dla którego przyszła tutaj z całą rodziną.

Frank dumnie siedział na koniu, mocno ściskając chorągiew<sup>23</sup>. Pierwszy raz taką widziała. Ich spojrzenia na ulamek sekundy się przecięły. Była pewna, że w jego oczach dostrzegła dumę. Ona miała inne odczucia, choć wciąż bała się je zdefiniować. Przyspieszyła i mocniej pociągnęła dłoń młodszego brata. Im dalej szli, tym tłum się zmniejszał, a maszerujące wojsko oddalało się od nich.

– Co robimy? – spytał Tomasz, gdy odeszli dostatecznie daleko od miejsca, w którym pozostawił ich Wilhelm.

– Nie mogę na to patrzeć – stwierdziła. – Nie potrafię! Rozumiesz? – Spojrzała na niego wyczekująco.

Chłopak patrzył na nią z zaciekawieniem. Od zawsze była mu najbliższa z rodziny, dlatego czuł, że coś się z nią dzieje. Nie odważył się jednak zapytać, o co chodzi. Może właśnie nadszedł ten moment?

– Ten ślub cię wykończy – zaczął.

– To wszystko mnie wykańcza. Jak mamy żyć w takim miejscu? Jak codziennie wstawać, robić śniadanie, wychodzić na spacer i nie wiedzieć, czy z niego wrócimy? Czy jutro będziemy mieli co włożyć do garnka? Czy spędzimy bezpiecznie noc?

– To chyba po to oni mają tu być? – Tomasz niepewnie pokazał na oddalającą się kolumnę żołnierzy.

– Nie, Tomasz! Nie po to! – Kilka razy potrząsnęła głową i ruszyła wzdłuż chodnika. – Pokażę ci po co.

– Dokąd idziemy?

Adres wyrzył się w jej pamięci i od kilku dni śniła, że trafia do tego miejsca, ale nie ma odwagi wejść do domu, by sprawdzić, co się w nim dzieje. Za każdym razem budziła się zlnana potem, a później długo nie mogła zasnąć. Zaciśnięte powieki, ale sen nie przychodził. Zamiast niego widziała roześmiane twarze dzieci. Nie był to jednak przyjazny śmiech. Drażnił ją ten szyderczy śmiech, w którym zatracala się dziecięca delikatność, a pojawiała fanatyczna nienawiść.

Mijali kolejne domy. W końcu weszli na duże podwórko, wokół którego stały trzy dwupiętrowe kamienice. Nela upewniwszy się, że to właściwy adres, weszła na plac pomiędzy domami, ale zatrzymała się na jego skraju, tuż przy ścianie najbardziej wysuniętego budynku. Dostrzegła kilku wyrostków podskakujących i pokrzykujących do siebie. Coś do siebie rzucali. Nie była to jednak piłka. Obok rozbawionej młodzieży podskakiwał chłopiec, jakby próbował odebrać zabawkę. Kiedy przez przypadek wpadł na kogoś z dryblasów, natychmiast był odpychany, a głośny śmiech odbijał się echem od ścian kamienic.

Nela podeszła kilka kroków, by lepiej wszystko zobaczyć. Dostrzegła, że nie tylko ona przygląda się zabawie. Pod drzewem w niedużej odległości od bawiącej się młodzieży stały głośno chichoczące dziewczynki, które co rusz pokazywały palcami w stronę chłopców i energicznie klaskały, gdy podskakujący malec nie zdołał osiągnąć skradzionej zabawki. Nela zrobiła jeszcze kilka kroków i wtedy go poznała.

– Staś! – krzyknęła i pomachała do chłopca. – Staś!



Dziecko wychyliło się zza dryblasów i spojrzało w stronę Neli. Reszta poszła w jego ślady i teraz kilkanaście par oczu się jej przyglądało.

– Stasiu, wszystko w porządku? – spytała po niemiecku, biegnąc w jego stronę.

Chłopiec ciężko łapał powietrze. Na jego spoconej twarzy odmalowana była bezradność.

– Czy to twoja zabawka? – zapytała, zbliżając się.

Staś zaprzeczył. To zbiło ją z tropu. Zatrzymała się, ale chłopiec wyciągnął chudą rączkę i pokazał na środek szczególnie osłoniętego przez wyrostków koła.

– To Mani – wyjaśnił.

Nela podskoczyła w tamtą stronę. Kilku zaskoczonych rozwojem sytuacji chłopców odsunęło się na boki. Dopiero wtedy dostrzegła siedzącą na ziemi kilkuletnią dziewczynkę w krótkiej, poplamionej sukience. Dziecko nie miało już siły płakać. Chłpiąco więc cichutko, maleńkimi paluszkami przesypując brudny piach.

Nela szturchnęła stojących najbliżej niej chłopaków, którym uśmiech zastygł na ustach, i chwyciła dziewczynkę na ręce. Oszołomione dziecko się nie broniło.

– Nie wstyd wam tak dręczyć małe dzieci?! – wrzasnęła, kolejno zaglądając każdemu w oczy. – Pastwienie się nad bezbronnymi sprawia wam radość? Dodaje lat? Poprawia humor? Powinniście się wstydzić!

– Co ty pieprzysz? – odezwał się jeden, bardziej wyrośnięty, z sypiącym się pod nosem wąsem. – To polski popapraniec! Ślepa jesteś?

Tomas zaatakował bez ostrzeżenia. Chwycił chłopaka za koszulkę, a drugą ręką wymierzył mu siarczysty cios w nos. Krew trysnęła natychmiast, plamiąc ubrania obydwu.

– Nie waż się w ten sposób mówić do mojej siostry – syknął przez zaciśnięte zęby, szarpiąc chłopaka za koszulkę. – Pojajeś, durniu?! – groził tamtemu, starając się nie myśleć o piekących knykcjach.

Piski stojących pod drzewem dziewczyn nasiliły się, a widząc krew, dzierlatki poczęły pierzchać na boki, ukradkiem przemykając do swoich mieszkań.

– Wynocha do domu! – Z całej siły popchnął młokosa. – I niech jeszcze raz zobaczę, że dokuczacie małym dzieciom, to wam tylki sztachetą wyloję!

Nela z zapartym tchem śledziła poczynania Tomasa. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby tak zareagował. Zwykle unikał bójk. Frank wiele razy wyśmiewał się z niego, że woli stać z boku z zamkniętymi oczami, gdy on okłada kogoś pięściami.

Po chwili podwórko opustoszało. Zostali tylko we czworo. Nela tuliła dziecko na rękach, Staś oglądał starą lalkę, którą właśnie zdołali odzyskać.

– Urwana – zauważył, nie podnosząc głowy.

– Naprawimy – z przekonaniem odparła Nela. – Masz w domu igłę i nici?

Staś skinął głową i ruszył w stronę wejścia. Poprowadził ich do suterenu w środkowej kamienicy. Wąskie, miejscami powylupywane schody wymagały uwagi, by nie spaść. Tomasz wziął od Neli dziecko, by mogła bezpiecznie wejść do środka. Później uważnie stąpając, zszedł po schodach. Mieszkanie było małe i śmierdziało w nim wilgocią. Na jednym z trzech łóżek siedział kilkuletni chłopiec i ssał palec. Patrzył w jeden punkt nawet wtedy, gdy weszli do mieszkania. Staś natychmiast zajrzał do kołyski, by się upewnić, że kilkumiesięczny braciszek śpi.

Nela wskazała Tomasowi wolne łóżko, by tam posadził dziewczynkę. Ta wciąż przypatrywała się porwanej lalce trzymanej przez Stasia. Chłopiec podał zabawkę Mani, a sam odsunął szufladę starego kredensu w poszukiwaniu igły i nici.

Tomas rozglądał się po mieszkaniu. Na stole leżało pełno okruchów z chleba. Reszta spadła na podłogę, której dawno nikt nie zmywał. Nie miał pojęcia, że tak można żyć. Jednocześnie zaczął się zastanawiać, skąd jego siostra zna takie miejsca.

Tymczasem Nela poszukała miski i nalala do niej wody. Później ustawiła ją przy łóżku i ostrożnie umyła twarz i ręce Mani.

– Macie jakieś czyste ubranie? – zwróciła się do Stasia łamaną polszczyzną.

Tomas z zainteresowaniem spojrzął na siostrę. Rzadko słyszał, żeby zwracała się do kogoś w tym języku. Owszem, od czasu do czasu wszyscy mieli z nim styczność w niektórych sklepach, na targu czy na ulicach, ale raczej słuchali i dawali zdawkowe odpowiedzi. Woleli, gdy to Polacy mówili w ich języku.

Chłopiec położył na stole poduszczkę z igłami i naporstek, a sam zajrzał do trzydrzwiowej szafy ustawionej po drugiej stronie stołu. Wyjął dużą chustkę w kratę i podał Neli. Ta przez chwilę zastanawiała się, co ma z nią zrobić.

– Jak brakowało ubrań, to babcia tym ją okręcała – wyjaśnił Staś, a sam zaczął zgarniać okruchy ze stołu.

– Tatusi pracować? – upewniła się Nela.

– Raniutko polazł, bo wtedy najwięcej ludzi łązi po mieście, to i jeździć jest komu. Pewno wróci w nocy, jak już pośniem. Ostatnio prawie go nie widujem.

– Nikt ci nie pomagać?

– My już tu nie mamy rodziny.

– Na sąsiadów raczej bym nie liczył – zwrócił się Tomasz do siostry. – Mądry chłopak – dodał wciąż po niemiecku i zmierzwił włosy Stasia.

Ten uśmiechnął się, polechtany pochwałą, którą zrozumiał, bo zdążył poznać język, którym posługiwali się sąsiedzi.

Tomasz stanął pod ścianą, obserwując krzątanie dziecka. Dotychczas nie widział takiego bałaganu. Małe okno tuż pod sufitem nie zapewniało dostatecznie dużo światła. Na szarych ścianach dostrzegł tylko jedno zdjęcie. Para młodych ludzi uśmiechała się do siebie i choć nigdy wcześniej ich nie wiedział, to mógłby przysiąc, że darzyli się ogromnym uczuciem. Potem patrzył, jak siostra zdejmuje z dziewczynki brudne ubranka i zaczyna okręcać ją dużą chustką. Robiła to z czułością i zaangażowaniem.

– Teraz zaczekaj, a ja naprawię lalę – uprzedziła Manię i nawlekła igłę, po czym zaczęła przyszywać lalce rękę i cewować rozdarcia materiału na jej nogach i głowie.

Nie robiła tego z wprawą, bo tylko kilka razy musiała coś podszyć w swoich ubraniach. Zwykle takimi drobnymi naprawami w ich domu zajmowała się Marta, ale gdy miała dużo pracy, a Nela nie mogła czekać, to sama brała igłę w dłoń.

W tym czasie Staś zamiótł podłogę i zaczął rozpalać ogień w kuchni kaflowej. Tomasz obserwował, jak sprawnie sobie z tym radzi. Dopiero teraz uświadomił sobie, że sam nigdy czegoś takiego nie robił. Kuchnia w ich domu była królestwem Adeli i od czasu do czasu jego matki i Neli. On zaglądał tam tylko wtedy, gdy chciał przekazać coś słodkiego, zanim na stole postawiono podwieczorek.

– Podobać się? – spytała Nela po polsku, gdy podała Manię naprawioną lalkę.

Dziewczynka najpierw ucałowała lalkę, a potem rzuciła się na szyję kobiety i uśmiechnęła się do niej. Nela przytuliła ją z całych sił.

– Może macie ochotę na ptysie z kremem? – spytała, chcąc zmienić temat.

Oczy chłopca rozbłysły, ale trwało to ledwie ułamek sekundy. Później znów zmarkotniał i zaczął obierać kartofle.

Nela podeszła do Tomasza i szepnęła mu kilka słów. Potem chłopak wyszedł z sutereny, a ona pomogła Stasiowi wstawić zupę. Później przewinęła niemowlę i nakarmiła mlekiem z butelki. Pozostałe dzieci bawiły się, nie wychodząc z łóżek. Zmęczona usiadła na starym, chybliwym krześle i z blaszanej kwarty napiła się wody.

Po chwili w mieszkaniu pojawił się Tomasz i na stole położył zakupy. Przydźwigał duży bochen chleba, dwa pętki podsuszanej kiełbasy, kilka jajek i gruszek. W drugiej ręce trzymał zawinięte w papier ptysie. Dzieci w oniemiaeniu patrzyły na pojawiające się na stole smakołyki, które w ich domu bywały jedynie od święta.

– Stasiu, to dla ciebie – odezwała się, podsuwając chłopcu okazałe ciastko z kremem.

– Całe dla mnie?

Drugiego ptysia podała Tomasowi, bo wiedziała, że je uwielbia. Sama wzięła jedno ciastko i przysiadła przy Manię, która po raz drugi tego dnia obdarzyła ją szczerym uśmiechem.

– A Jaś też chce spróbować? – Nela pytająco spojrzała na chłopczyka z otępiłym wzrokiem.

– On nie mówi – przyznał Staś. – Ale lubi słodkie.

Nela przeniosła chłopca i posadziła go obok siostry, a później karmiła je na zmianę. Dzieci głośno mlaskały, co rusz się obliżując. Przez chwilę miała wrażenie, że we wzroku Jasia dostrzegła zainteresowanie. Szybko jednak zniknęło, a chłopiec znów zaczął się kiwać to w przód, to w tył i patrzeć tępym wzrokiem w jeden punkt.

Chwilę później ziemniaki poczęły pyrkać na ogniu. Nela schowała chleb i kiełbasę do kredensu, a jajka rozbiła i usmażyła. Potem odcedziła ziemniaki i nałożyła je na talerze. Obok położyła przysmażone jajko.

– Obiad gotowy – oświadczyła, podsuwając dzieciom talerze.

Stasz niepewnie spoglądał na stół. Nie miał pewności, co powiedziałyby ojciec, gdyby ich teraz zobaczył. Bo chociaż sam pracował od rana do nocy, nie dawał rady wyżywić czwórki dzieci. Większość pieniędzy musiał oddać właścicielowi powozu i konia. Lwią część płacił kamienicznikowi, który każdego miesiąca informował go, że znów podnosi czynsz. Na jedzenie zostawało coraz mniej. Skrętnie ciułał napiwki pozostawiane przez zamożniejszych klientów, ale i ci byli coraz mniej rozrzutni.

Mania uklękła na krześle, bo inaczej nie mogła dosięgnąć do stołu.

– Jedzcie – zachęcała Nela, a Tomasz przyjaźnie pokiwał głową.

Sami też zdążyli zgłodnieć, ale wiedzieli, że każdy zjedzony przez nich kęs pozbawia te dzieci kolejnego posiłku.

Nela wzięła miseczkę z ziemniakami i nakarmiła Jasia. Chłopiec jadł ochotczo, a gdy skończył, wytarł usta otwartą dłonią i odsunął się w kąt. Pozostałe dzieci też skończyły jeść. Nela zebrała naczynia i włożyła je do miski, ale Staś nie pozwolił jej ich umyć. Sam umiejętnie wszystko wymył i mokre ustawił na rozłożonej ścierce na stole.

– Naprawdę powinniśmy już wracać – przypomniał Tomas, dotykając ramienia siostry.

Wiedziała, że brat ma rację, ale zatraciła się, dawno nie czując takiej radości.

– My musimy już iść, ale zostawić ci trochę fenigów na słodkie bułki. I pamiętaj nie wchodzić tym chłopakom w oczy.

Później podeszła do każdego z dzieci i pocałowała je na pożegnanie. Przy Mani zatrzymała się nieco dłużej, wkładając jej coś na szyję. Już wcześniej wyszperała kawałek sznureczka w kredensie, do którego odłożyła szpulkę z nićmi. Teraz poprawiła wiszącą na piersi dziewczynki błyskotkę i odetchnęła z ulgą.

– To dla ciebie. Pilnować tego i nikomu nie pokazywać, ale ty nie zapominać, że to mieć – przykazała Nela i raz jeszcze uściśkała dziewczynkę.

Gdy wyszli na zewnątrz, zaczęło się ściemniać. Przeszli podwórko. Nikogo na nim nie zastali. Wyszli na chodnik i skręcili w uliczkę. Mieli spory kawałek drogi do przejścia. Żadne nie zaproponowało przejazdki bryczką, wiedząc, że potrzebują czasu, by ochłonąć. Byli przekonani, że w domu nie unikną przesłuchania.

– Naprawdę w takim świecie żyjemy? – Tomas pierwszy przerwał ciszę. – To nie do pomyslenia...

– To nasi rodacy, przyjaciele, rodzina... – Urwała, bo poczuła, że przez jej zaciśnięte gardło nie przejdą kolejne słowa.

– To ohydne. Myślisz, że wszędzie tak jest?

– Nie mam pojęcia. Przekonasz się, gdy wyjedziesz do Paryża.

W milczeniu mijali kolejne kamienice, zastanawiając się, w ilu z tych mieszkań żyją ludzie pokroju tych, których spotkali po południu. Patrząc na liczbę wywieszonych w oknach niemieckich flag, bilans nie wypadł zbyt dobrze.

Nela poczuła olbrzymią pustkę. Jakby w jednej chwili ktoś ją pozbawił rodziny, przyjaciół i wspomnień. Te, które pozostały, zaczęły się rozmywać wśród gromkich okrzyków wielbiących wodza i jego partię, która coraz mocniej ingerowała w życie zwykłych ludzi.

– Co powiemy Wilemu i rodzicom?

– Oni doskonale znają prawdę, ale jej nie rozumieją... – Westchnęła.

Nagle tuż przed nimi z głośnym piskiem opon zatrzymał się samochód.

– Gdzie wy, do cholery, się włóczycie?! Wszyscy was szukają, a wy sobie spacerujecie w środku nocy! – grzmiał mocno zirytowany Wilhelm. – Przecież to miasto to jak tykająca bomba pełna polskich świń, które chcą każdego z nas ukatrupić.

Nela pobladła i choć jej twarz była ledwie widoczna w słabym świetle gazowych latarni, Tomas doskonale wyczuł jej nastrój. Pociągnął ją za rękę i otworzył drzwi do samochodu. Zbываяc pytające spojrzenia Wilhelma, wsiedli do jego auta. Skórzane siedzenia wciąż pachniały nowością. To już drugie jego auto, odkąd rozpoczął praktykę. Ale dopiero to spełniło jego wygórowane oczekiwania godne funkcji, jaką w przyszłości zamierzał pełnić u boku senatora Witta.

– Parada nas wykończyła. Poszliśmy nad morze – oświadczył Tomas i zamknął drzwi.

Przez całą podróż żadne nie wypowiedziało ani słowa.

## Rozdział XXI



### Zagadka

– Jesteś pewny, że dasz radę? – zapytał po raz kolejny Rajmund, patrząc podejrzliwie na przyjaciela. – Napędziłeś nam strachu.

– Wiem, ale co miałem zrobić? – Wzruszył ramionami. – Też byś tam poszedł.

– A pewnie, bo tym psom nie ufam za grosz! – zagrział, zwijając dłoń w pięść. – Gdyby cokolwiek ci zrobili, to bym ich powystrzelał jak kaczki.

– Zmęczenie okazało się gorszym wrogiem od szwabów. – Iwo zaśmiał się, choć jeszcze kilka dni temu ledwie spał.

Gdy go odnaleziono w przydrożnym rowie, był nieprzytomny. Prawie dobę tam przeleżał przez nikogo niezauważony. Nic nie jadł i nie pił przez dwa dni. Jego osłabienie spowodowane poparzeniami przyczyniło się do utraty przytomności. Koledzy zamartwiali się o niego i gdyby nie upór Rajmunda, który kilka razy zszedł wioską wzdłuż i wszerz, szukając przyjaciela, pewnie dzisiaj by nie siedział przy stole, zając jadając jajecznicę usmażoną na maśle.

– Wiesz, że nie musisz iść ze mną na patrol? – upewnił się Rajmund.

– A kto będzie cię pilnował, żebyś nie wpadł do wody? – Iwo zachichotał i zaczął zbierać się do wyjścia. – A i o kapnackach pomyśl – dodał, wkładając do kieszeni dużą kromkę razowca przyniesionego od Goryniakowej.

Dzisiaj mieli zacząć od patrolu wzdłuż zatoki. Szli szerokim pasem lasu oddzielającego morze od wioski. Przyjemny chłód bijący od wysokich sosen przyniósł im ulgę w kolejny gorący dzień sierpnia. Szepty koron drzew od czasu do czasu były zagłuszane śmiechem dzieci biegnących nad morze. Po żniwach najmłodszy mogli nieco częściej zaglądać na plażę. Do września pozostało już tylko półtora tygodnia. A później wiele z nich będzie musiało łączyć ze sobą obowiązki szkolne i pomoc w gospodarstwie.

Iwo pamiętał, że zanim wyjechał do szkoły w Bydgoszczy, nieraz brał zeszyt i szedł odrabiać lekcje na pastwisku, gdzie co chwila spoglądał, by krowy nie weszły w miedzę.

– A wiesz, że kiedyś pasłem gęsi z Halżką? Ona miała siodłate, a my mieliśmy białe. Nie baliśmy się, że się nam pomył – zaczął Iwo. – Jednego razu poszliśmy na łęgi. Tam było mokro, ale gęsi to lubią, więc szliśmy dalej i dalej. Co jakiś czas siadaliśmy, bo mieliśmy rachunki do odrobienia w zeszytach. Przy każdym popasie liczyliśmy swoje gęsi. Przy ostatnim coś nam się nie zgodziło. Brakowało mi trzech sztuk. Wiedziałem, że rodzice będą źli, jeśli ich nie znajdę. Coś mi podpowiadało, że one gdzieś tam są, tylko się przede mną schowały. Musiałem podejść bliżej. Krok po kroku zbliżałem się do nich i wciąż od nowa liczyłem. W pewnej chwili poczułem, że zaczynam tonąć. Zacząłem krzyczeć na Halżkę, ale ta była za daleko. Zapadałem się w bagnisku. Gdy już siedziałem w nim po szyję, dobiegła do mnie z długim i grubym kijem. Krzyczała, żebym za niego złapał. Myślałem, że nie chce się ubrudzić. Krzyczałem, żeby podała mi rękę, ale ona ten kij mi podtykała. I złapałem za niego. Tak mnie uratowała. A gdy wylazłem z bagna i nieco ochłonąłem, zauważyłem, że wśród gęsi Halżki jest kilka brudnych w błocie. Dopiero wtedy przyznała się, że nie umiała wszystkich policzyć.

Rajmund się zaśmiał.

– Fajna ta twoja Halżka – zauważył, nie kryjąc rozmarzenia w głosie.

– Jakaż tam ona moja? – Wzruszył ramionami. – Mówiłem ci, że bogatego męża znalazła i tyle ją widzieli.

– Myślisz, że Marianna też by tak zrobiła? – Zatrzymał się i spojrzął na przyjaciela.

– Marianka to szczerka, dobra i oddana dziewczyna – zauważył Iwo i też stanął, wnikliwie przypatrując się celnikowi. – To moja kochana siostrzyczka...

Rajmund wciąż stał nieporuszony. Wziął kilka głębszych oddechów, po czym głośno przełknął ślinę i zaczął:

– Dobrze mi się z nią rozmawiało.

– Ona też wyglądała na szczęśliwą – odparł Iwo.

– Tak sądzisz?

Iwo poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Pamiętam, ile czasu ze sobą spędzaliście.

– Polubiłem ją...

– Czyli przyszlóroczne żniwa spędzasz u nas na wsi. – Zaśmiał się.

– Może wtedy mógłbym zostać na dłużej?

– A na jak długo?

– Może na zawsze? – spytał niepewnie.

Iwo zmarszczył brwi, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co Rajmund ma na myśli.

– Czy ty chciałbyś zostać moim szwagrem?

Mężczyzna ochoczo pokiwał głową.

– Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego. Tylko nie wiem, co na to Marianka.

– Zgodzi się – odparł z przekonaniem. – Pisałem do niej z tym pytaniem – przyznał.

Iwo otworzył ramiona i objął przyjaciela. Jego siostra zasługiwała na szczęście. A gdy i on wróci na wieś, wybudują dwa domy obok siebie i wspólnie będą gospodarzyć na ojcowiznie.

– Teraz musimy zająć się tobą i znaleźć ci jakąś pannę – zażartował Rajmund, gdy znów ruszyli w stronę morza.

– Daj spokój. – Iwo machnął ręką.

Przez chwilę szli w milczeniu. W oddali widać było przeredzające się drzewa.

– A może ty już kogoś masz? – zagaił Rajmund i zerknął na przyjaciela. – Od powrotu ze szpitala jesteś jakiś taki...

– Jaki?

– Inny... Nieobecny...

– To przez ten wypadek – skłamał gładko.

– To nie to... – zastanawiał się, wyjmując papierosa. – Ciebie nie można tak łatwo przestraszyć... Ty ciągle o czymś myślisz... A może nie o czymś, tylko o kimś? – Zaciągnął się ponownie, bacznie obserwując kroczącego obok Iwa.

Celnik spuścił wzrok, jakby dopiero co odkrył, że ma buty na nogach, i przygryzł dolną wargę. Zdawał sobie sprawę z tego, w jak beznadziejnym położeniu się znalazł. Z nikim o tym nie rozmawiał, ale był przekonany, że nawet Rajmund go nie zrozumie. Sam wiedział, że na dłuższą metę znajomość z Nelą nie ma większego sensu. Robił wszystko, by o niej nie myśleć. Tyle że im bardziej się starał, tym częściej widział ją w snach. Niekiedy budził się, czując jej zapach lub słysząc jej głos. Obawiał się tego, że może powiedzieć jej imię przez sen, a wtedy Rajmund szybko zorientuje się, kim jest osoba zaprzatająca jego myśli.

– Przyznaj, że w szpitalu spodobała ci się jakaś siostrzyczka – zachęcał przyjaciel.

– Daj spokój. Skup się lepiej na robocie – odparł, pokazując wejście na plażę.

Po chwili szli wzdłuż brzegu. Iwo wziął lornetkę i co pewien czas przystawał, by uważnie prześledzić ruch łodzi i statków na Bałtyku. W oddali dostrzegł kilka łodzi powracających do brzegu z połowu. Hen dalej sunął majestatyczny statek transatlantycki.

– Ciekawe ilu naszych rodaków tym razem ucieka do Ameryki za chlebem? – rzucił Iwo, podając Rajmundowi lornetkę.

Ten przyłożył ją do oczu i przez moment milczał.

– Szwaby zacierają ręce – powiedział po chwili. – Pewno chcieliby się pozbyć nas wszystkich.

Dalej szli w milczeniu. Iwo zmarmotniał. Słuchał, gdy przyjaciel trajkotał o tym, że zamierza przyjechać do Niw na Boże Narodzenie i poprosić o rękę Marianny. Miał nadzieję, że na Wielkanoc wezmą ślub. Tłumaczył też, że ma dość życia na Wybrzeżu. A to, co tutaj zarobił, wystarczy im, żeby po ślubie zbudować niewielki dom.

Iwo jedynie od czasu do czasu kiwał głową. Rozumiał radość przyjaciela. Nawet chciał się z nim cieszyć, ale coś mu na to nie pozwalało.

Kilkukilometrowy marsz zaostrzył ich apetyty. Usiedli na piasku i wyjęli chleb. Właśnie kończyli jeść, gdy Iwo utkwił wzrok w morskiej toni. Chcąc lepiej widzieć, wstał i przyłożył do oczu lornetkę.

– O ja cię! Zobacz tam! – dodał, podając lornetkę przyjacielowi.

Rajmund poderwał się na równe nogi i przez chwilę lustrował morze.

– To niemożliwe. – Pokręcił głową z niedowierzaniem, ale znów zerknął. – Co on tu robi?

– Nie mam pojęcia, ale nikt nie pływa pancernikiem<sup>24</sup> w celach wycieczkowych – wyjaśnił Iwo. – To wszystko zaczyna wyglądać coraz gorzej – dodał, wciąż mając w pamięci wizytę w obozie pod wsią.

– Musimy o tym zawiadomić centralę – zawyrokował Rajmund. – Wracamy jak najszybciej.

Mężczyźni zebrali resztę rzeczy rozłożonych na piasku i pośpieszyli w drogę powrotną do domu.

– Myślisz, że nas zaatakują? – Ciszę przerwał Rajmund.

– Wiem jedno: coraz mocniej prężą mięśnie. Ciągłe dają do zrozumienia, że są gotowi wziąć więcej.

– Mam nadzieję, że wszystkie podpisane przez naszych traktaty wypalą, gdyby szwaby się zdecydowały iść z nami na wojnę. Anglia i Francja pomoże nam zrobić porządek.

– Nasza armia też ma krzepę i potrafi nieźle walczyć, więc hitlerowcy nie mają szans, ale lepiej, żeby generalicja wiedziała, co się dzieje na Wybrzeżu – dodał i przyspieszył.

Gdy dotarli do domu, Iwo podniósł słuchawkę i zaczął na połączenie z centralą w Gdańsku. Później złożył szczegółowy meldunek o tym, co odkryli w czasie rutynowego patrolu. Starł się odpowiedzieć na wszystkie pytania. Wiedział, że każda nawet pozornie mało istotna informacja może mieć znaczenie dla wywiadu wojskowego. Obiecał, że pozostanie przy telefonie, żeby w razie potrzeby odpowiedzieć na kolejne pytania. Ale ani wieczorem, ani w nocy nikt już nie zadzwonił.

Iwo położył się do łóżka tuż przed północą, jednak nie mógł zasnąć. Prześladował go złowieszczy widok pancernika naszpikowanego bronią, która w jednej chwili mogła pozbawić życia setki ludzi. Może był człowiekiem małej wiary, ale nie potrafił wymazać z pamięci obrazów, które każdego dnia dowodziły tego, że Hitler kłamie, twierdząc, że słowo „wojna” jest mu obce. Tutaj, na Wybrzeżu, wszystko klarowało się, tworząc jedną wizję nieuzasadnionej agresji wobec polskich obywateli.

Nad ranem zapadł w krótką drzemkę. A gdy koguty już dawno skończyły piąć, obudził się i przeciągnął na łóżku. Przypomniał sobie, o czym rozmyślał pół nocy, poderwał się i dopadł do aparatu telefonicznego. Po chwili rozmawiał z osobą, której wczoraj przekazał wszystkie informacje, ale to, co od niej usłyszał, nie brzmiało dobrze.

– Co jest? – zainteresował się Rajmund, widząc minę Iwa odkładającego słuchawkę na widełki.

– Nic. – Wzruszył ramionami i ciężko opadł na stojące nieopodal krzesło.

– Czyli „nic” nam nie grozi? – powiedział Rajmund, starając się zrozumieć zły nastrój przyjaciela.

– Wiem tylko, że przekazali mój meldunek do Warszawy do sztabu głównego, ale tam chyba nikt specjalnie się tym nie przejął, bo nawet nie chcieli ze mną porozmawiać.

– Przecież oni wiedzą, co robią – przekonywał.

– Ale ty i ja widzieliśmy na własne oczy, co się tu wyprawia, a oni nie chcą tego dostrzec.

– Chyba zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Teraz musimy wracać do roboty. A jak będziemy na patrolu, zobaczymy, czy okręt wciąż stoi na kotwicy.

Iwo powoli wstał i podszedł do miednicy, by nieco obmyć twarz. Potem ubrał się i zjadł parę kęsów chleba ze śmietaną i cukrem. Nie miał ochoty na nic więcej, ale wiedział, że czeka ich długi marsz. Wetknął więc do menażki dwie pajdy chleba posmarowane smalcem i złożone, by z nich nie wyciekł, a potem wyszli z domu i znaną sobie trasą poszli w stronę morza.

Tym razem już z daleka wyglądali w stronę miejsca, gdzie wczoraj odkryli pancernik. Cumował w tym samym miejscu. Zatrzymali się i przez lornetkę obserwowali krzątających się na pokładzie marynarzy. I choć z kominów nie wydobywał się czarny dym, to potężny okręt wyglądał złowieszczo.

Rajmund usiadł na plaży i zaczął jeść kanapki. Iwo dołączył do niego po dłuższej chwili, jakby bał się stracić pancernik z oczu. Wiedział, że mogą się tylko przyglądać poczynaniom hitlerowców, którzy śmiali się im prosto w twarz. Ta niemoc najbardziej go irytowała i niemal doprowadzała do szału. Nie pojmował wszechogarniającej to miasto obludy. Czasem łapał się nawet na tym, że myślał, iż błędem było stworzenie tego dziwnego tworu zwanego Wolnym Miastem Gdańsk. Bo jakże w nim wolność dla polskich obywateli zdominowanych przez swoich niemieckich sąsiadów? Walka pomiędzy nacjami toczyła się od chwili podpisania traktatu wersalskiego i dotyczyła każdej dziedziny życia, bez względu na wiek i zasobność portfela.

Wciąż zadawał sobie pytanie, jakim cudem Nela i Tomas potrafili żyć wśród takich ludzi. Byli inni od reszty. Przekonał się o tym. Potrafił z nimi rozmawiać, choć byli Niemcami.

Gdy po południu wrócili do kwatery, Iwo ponownie zadzwonił do Gdańska i potwierdził obecność okrętu w zatoce. Mówił w sposób rzeczowy, ale w jego głosie słychać było rezygnację.

Kiedy odłożył słuchawkę, przez dłuższy czas milczał, obserwując Rajmunda uwijającego się przy kuchni. Na obiad, który zwykli jadać w okolicach kolacji, miała być kartoflanka zaprawiana przepalaną mąką.

Rajmund właśnie nalewał zupę do talerzy, gdy Iwo podskoczył i wybiegł do swojego pokoju. Niebawem pojawił się w kuchni przebrany.

– Wyjeżdżam – poinformował zdumionego Rajmunda, który stawiał na stole kolejne nakrycie.

– A obiad?

– I tak nic nie przelknę – wyjaśnił. – Wrócę jutro.

– Bądź ostrożny. Za bardzo przyciągasz kłopoty.

– Będę. Serwus! – dodał i wybiegł na dwór, w drzwiach mijając Jana i Alberta wracających z dyżuru.

Biegł, ile sił w nogach. Jeśli nie zdąży na stację, nie dotrze dziś do Gdańska. Miał przeświadczenie, że to, co robi, to istne szaleństwo, a jednak jakaś siła pchała go w to miejsce i nie pozwalała mu przestać o tym myśleć.

Już z oddali dostrzegł chmury dymu unoszącego się nad lokomotywą ochoczo sunącą po torach w stronę stacji. Jej pogwizdywania miały ponaglić spóźnialskich i poinformować oczekujących pasażerów o przybyciu na stację.

Iwo wbiegł na stację równo z kolejką. Maszynista pociągnął za hamulec. Hałas zgrzytających kół wypełnił przestrzeń wokół małej stacyjki. Pasażerowie pospieszyli się z wsiadaniem i już po chwili konduktor odgwizdał odjazd pociągu. Iwo usiadł, starając się uspokoić oddech. Wyjął z kieszeni maleńki karteluszek i zerknął na niego, upewniwszy się, czy dobrze zapamiętał adres.

Oddalające się obrazy pól uprawnych i łąk przyciągnęły wzrok mężczyzny. W zachodzącym słońcu mieniły się kolorami i dawały poczucie spokoju. Wiedział, że już niebawem rolnicy wyjdą w pole, by zorać ziemię i przygotować ją na następny sezon. Życie kolejny raz zatoczy krąg. Tak bardzo chciał, żeby jego obawy okazały się płonne i latem znów mógł wyjść w pole, zbierając plony zrodzone przez ziemię. Wtedy to, co zamierza zrobić, może nie mieć większego sensu. Czy powinien się więc ośmieszać? Czy powinien rujnować życie innym, bo miał jakieś przecucia?

Opuścił głowę i skrył ją w dłoniach. Te myśli trawiły jego umysł, sprawiając mu niewypowiedziany ból. Gdyby tylko potrafił przewidzieć, co przyniesie jutro. Ta niewiadoma nie dawała mu spokoju.

Kiedy kolejka dotarła na stację w Gdańsku, powoli wstał i wysiadł z pociągu. Mógł zostać i zaczekać do jutra na poranny kurs do Sztutowa. Przez moment rozważał ten pomysł.

– Pan przechodzi czy tak będzie stał? – spytał go jeden z pasażerów dźwigający dużą walizkę.

Iwo ruszył do wyjścia. Wiedział, że jeśli teraz się wycofa, drugi raz może nie zdobyć się na tyle odwagi. Wyszedł z dworca i podszedł do pierwszej z ustawionych w szpalerze bryczek. Woźnica wysłuchał podanego adresu i strzelił lejcami. Koła zaczęły się toczyć po bruku.

Sierpniowe niebo tonęło w mroku.

– Gorąc dzisiaj niemiłosierny – zagadał woźnica.

Iwo pochłonięty myślami nie zareagował.

– W taki upał to tylko nad morzem siedzieć – ciągnął mężczyzna niezrażony. – A dzieciaki ile radochy wtedy mają.

– To musi pan pogonić konie i szybciej mnie dowieźć na miejsce, a później zabrać dzieci na plażę – odezwał się Iwo, domyślając się, że woźnica nie zostawi go w spokoju.

– Panie, żeby to takie proste było – zachnął się. – Albo morze, albo jedzenie. Jak nie zarobię, to mi dzieciska pomrą z głodu. Żonę już pochowałem i drugi raz nie będę miał siły patrzeć, jak ktoś berbec idzie do piachu.

Te słowa przywołały wspomnienie pobytu w szpitalu razem ze Stasiem. Chłopak przedstawił podobną sytuację. Widocznie takich rodzin nie brakowało. Iwo zamierzał nawet o tym wspomnieć woźnicy, ale ten zatrzymał powóz i obejrzał się na pasażera.

– Jesteśmy – oświadczył.

Iwo uregulował należność, ale nie mógł się zebrać w sobie, by wysiąść.

– To nie tutaj? – zdziwił się woźnica, bacznie obserwując pasażera.

– Tutaj, tutaj. – Mężczyzna pokiwał głową.

– Źle się pan poczuł? Może pomóc? – zapytał usłużnie, przyzwyczajony do tego, że często musiał odprowadzać swoich pasażerów pod same drzwi ze względu na stan spożycia. A i tak nieraz zamiast zapłaty dostawał razy. W najlepszym wypadku kończyło się na szyderstwach i wyzwiskach. Już dawno rzuciłby tę robotę, ale w domu miał czwórkę dzieci do wykarmienia.

– Dziękuję, nie trzeba – odparł Iwo i wciąż ociągając się, wysiadł, po czym podszedł do furtki okazałego domu.

Przez dłuższy czas podziwiał rozmach, z jakim go wzniesiono. Wtedy usłyszał muzykę. Płynęła z głębi ogrodu. Kobiety śpiew niósł się wśród krzewów. Iwo zrobił kilka kroków i stanął na ganku. Energicznie zastukał do drzwi i zanim się obejrzał, tuż przed nim stanęła młoda kobieta w ciemnej sukience i białym krótkim fartuszk.

– Dobry wieczór – powitała gościa. – W czym mogę pomóc szanownemu panu?

– Szukam panienki Neli Witt – oświadczył, starając się zapanować nad sprzecznymi emocjami, które nim targaly.

– Panienka ma gości. Czy to coś ważnego?

Iwo zastygł, nie wiedząc, co odrzec. Chciał powiedzieć, że to dla niego najistotniejsza ze spraw, o której od kilki dni nieustannie myślał.

– Nie będą jej przeszkadzał – odparł, wycofując się ze schodów.

Drzwi trzasnęły. Zbliżył się do furtki, wtedy dostrzegł dwie postacie w długich, jasnych sukienkach. Kobiety szły wprost na niego. Nie wiedząc czemu przykucnął, chowając się za rozłożystą hortensją, której olbrzymie różowe kwiaty chyliły się do ziemi.

– Co z tobą? – usłyszał kobiecy głos. Natychmiast skojarzył, do kogo mógł należeć. – Coś cię boli? Jesteś taka osowiała, jakbyś siedział na stypie, a nie na przyjęciu urodzinowym twojego brata.

– Klaro, mam dość tych ciągłych przyjęć. – Nie miał najmniejszych wątpliwości, do kogo należy drugi głos. – Tych wymuszonych uśmiechów i udawania, że mnie to wszystko bawi.

– Nie cieszysz się, że Frank odniósł taki sukces? Tak uroczo wygląda w mundurze – rozmarzyła się. – Wiesz, jeszcze niedawno myślałam, że rozstanie z Hubertem było czymś najstraszniejszym w moim życiu...

– Pamiętam, jak bardzo to przeżyłaś – przyznała Nela, zatrzymując się tuż przy hortensji, w bezpiecznej odległości od tarasu, na którym toczyły się rozmowy zebranych na przyjęciu gości.

– Ale teraz tak sobie myślę, że w każdej porażce skrywa się szansa – wyznała Klara. – Może nie doceniałam tego, co jest obok mnie...

– Masz na myśli Franka?

– Może...

– Wiesz, nie będą mogła ci pomóc. Mój starszy brat jest dla mnie zagadką, nie zwierza mi się w ogóle.

– Dziękuję, kochana. Zresztą ty masz teraz co innego na głowie...

– Wiesz... – zaczęła Nela i przerwała, jakby wahając się, czy powinna kontynuować. – To dziwne, ale wciąż nie mam pewności, że dobrze robię.

– Jestem pewna, że z takimi troskami borykają się wszystkie panny młode – przekonywała Klara. – Ja też pewnie będę kaprysić. – Zachichotała.

– Ale ja nie kapryszę. Mam na myśli zupełnie coś innego...

– Może napijesz się herbatki rumiankowej? – zaproponowała. – Adela na pewno ma coś na zszargane nerwy. Od razu poczujesz się lepiej.

Nela głośno westchnęła.

– Posiedzę w ogrodzie, a ty wracaj, bo chyba znowu zaczęli tańczyć – odezwała się, chcąc pozbyć się dziewczyny.

– Nie będziesz mi miała za złe, że cię zostawię? – upewniła się, poprawiając broszkę wpiętą w klapę kołnierzyka.

– Skąd, kochana. Idź, zatańcz z Frankiem. Wiesz, jak on kocha zabawę.

– Tylko się tu nie zaszczep. – Klara pogroziła palcem. – A ja powiem Marcie, by przyniosła ci herbatkę.

Nela stała, słuchając tego szczebiotu i bez przekonania potakiwała głową. Gdy została sama, odeszła kilka kroków w głąb ogrodu, by usiąść na ławce ustawionej pod okazałą wierzbą. Chłód wieczoru sprawił, że objęła się dłońmi i patrzyła przed siebie.

Iwo ostrożnie wstał i ominął krzew. Cicho stąpał po trawie, nie spuszczać oczu z dziewczyny. Niemal bezszeltnie rozłożył trzymaną w rękach marynarkę, a kiedy podszedł dostatecznie blisko, zarzucił ją na ramiona Neli.

Podskoczyła, odwracając się w jego stronę.

– Iwo? – Szeroko rozdziawiła usta. – To naprawdę ty! Co tutaj robisz? Jak mnie znalazłeś? – dopytywała, robiąc mu miejsce na ławce obok siebie.

– Twoje koleżanki ze szpitala dużo mówią, jak się jest dla nich miłym... – wyjaśnił, siadając obok niej. – Mam nadzieję, że się na nie pogniewasz?

– Skądże.

Jej oczy błyszczały w mdłym świetle księżycy, a usta rozchyliły się w uśmiechu. To dodało mu odwagi.

– Przepraszam, że cię nachodzę – zaczął. – Wiem, że to głupie, ale... – Nabrał powietrza i dopiero po chwili je wypuścił. – Polubiłem cię... Jesteś... inna, niż myślałem... – dodał, ale szybko zreflektował się, że użył niewłaściwych słów. – Wyjątkowa...

Patrzyła na niego w milczeniu. Nie miał pojęcia, czy za chwilę nie wybuchnie gromkim śmiechem i nie ucieknie na taras, skąd dochodziły odgłosy zabawy.

– Pewnie myślisz, że zwariowałem, bo co taki chłopak może od ciebie chcieć... – ciągnął. – Wiem, że masz narzeczonego i nie mam prawa zawracać ci głowy, ale... Nie potrafię przestać o tobie myśleć. Twoja cierpliwość, życzliwość i wrażliwość sprawiły, że nie chciałem opuścić szpitala... – Zawiesił głos. Sam nie spodziewał się, że zdobędzie



się na aż taką szczerość. Jednak tych kilka dni, gdy jej nie widział i w tym czasie mógł stracić życie, dodały mu odwagi.

Przedłużające się milczenie Neli nie pozostawiło mu najmniejszych wątpliwości, że popełnił błąd. Szybko wstał i ruszył w stronę furtki. Poczł lekkie szarpnięcie za rękaw koszuli. Syknał, bo materiał nieco zbyt mocno otarł się o delikatną skórę, która pokrywała jego przedramiona.

– Przepraszam – odezwała się. – Zaskoczyłeś mnie swoją wizytą i... wyznaniem...

– Wiem, że to bez sensu... – podchwycił szybko, patrząc jej w oczy. – Chyba źle pojąłem twoją otwartość wobec mnie. Po prostu od dawna nikt się mną tak nie opiekował... Pomyliłem się i bardzo cię za to przepraszam – mówił jednym tchem, nerwowo zaciskając i rozprostowując palce.

Marzył o tym, by jak najszybciej stąd uciec. Rozczarowanie, które z każdą chwilą mocniej odczuwał, paraliżowało go i pozbawiało resztek pewności siebie.

– To wszystko jest skomplikowane... – Zawiesiła głos. – I bardzo dziwne... Ja ciągle myślę o... o nas – ciągnęła drżącym głosem. – O naszych rozmowach... spotkaniach nad zalewem i w szpitalu... I wiem jedno, że nie jesteś mi obojętny... Że lubię z tobą być i słuchać twojego głosu...

Czuł, że zaczyna brakować mu tchu. Słyszał słowa, rozumiał ich sens i chłonał bijące z nich ciepło i słodycz. A jednak nie pomylił się wobec Neli. Nie pomylił się wobec siebie. Chwycił jej dłonie. Ich chłód sprawił mu przyjemność. Podniósł je do ust i ucałował, wciąż nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– I co my teraz zrobimy? – spytała ufnie.

– Jeszcze nie wiem.

Przywarła do jego piersi. Czuł jej ciepło. Chłonał zapach jej włosów i ciała. Uśmiech nie schodził mu z twarzy, gdy obejmował dziewczynę. Później lekko się nachylił i odszukał jej usta. Ich słodycz sprawiła, że nie mógł się od nich oderwać, zatapiając się w nich coraz mocniej. Jego dłonie błędziły po jej plecach. Nie broniła się. Wiedział, że oboje tego pragną.

– Nela! Nela! Gdzie się podziewasz? – Głos Wilhelma niósł się pośród nocy.

Dziewczyna odskoczyła i z przestrachem spojrzała w stronę tarasu, skąd dochodziło wołanie.

– Musisz już iść. Nikt nie powinien cię tutaj spotkać – ostrzegła.

– Kiedy się znowu zobaczymy? – odważył się zapytać, lecz dziewczyna już biegła w stronę domu.

– Idę! Już idę! – krzyczała, lecz upewniwszy się, że nikt się nie zbliża, odwróciła się do Iwa. – Przyjadę do Stutthof, gdy tylko będzie to możliwe – oświadczyła znacznie ciszej niż poprzednio, po czym odwróciła się i zniknęła.

## Rozdział XXII



# Niespodzianka

Nela przeciągnęła się i usiadła. Przez trzy ostatnie dni nie robiła nic innego, jak wysłuchiwanie wymówek, pretensji i narzekań. Ojciec za każdym razem podkreślał, jak bardzo się o nią niepokoił, gdy razem z Tomaszem zniknęli w tłumie. Matka lajała ją za to, że zostawiła Wilhelma samego, a ten ostatni z obrażoną miną wytykał jej, że poszła na plażę bez niego.

W tym czasie głównie milczała. Nie było sensu w kółko powtarzać tego samego. Milczała, obserwowała i myślała. Wszystko dokładnie, bardzo dokładnie przemyślała. Do późna w nocy rozmawiała o tym z Tomaszem i była przekonana, że to jedyne i najlepsze wyjście. Godziła się na krzyk, narzekania, wymówki, a nawet płacz, ale z żadnego z tych powodów nie czuła smutku. Owszem ta decyzja wywracała jej życie do góry nogami, stawiała na samym końcu w gdańskim towarzystwie, ale była gotowa zaryzykować. Dostatecznie długo pozostawała widzem. Teraz zdobyła się na odwagę.

Wstała z łóżka, obmyła twarz w zimnej wodzie i się ubrała. Starannie umalowała usta i nieco przyciemniła rozjaśnione słońcem brwi. Czekala ją niejedna rozmowa. Wiedziała, od kogo musi zacząć. Zeszła do kuchni i chwyciła jeden z rogalików z powidłami śliwkowymi upieczonych przez Adelę.

– Niech panienska tak nie podjada, bo w suknię ślubną się nie zmieści. – Stara kucharka zaśmiała się, podtykając dziewczynie kubek z gorącą bawarką.

– Bez obaw – odparła Nela i zjadła kolejny rogalik.

Nigdy nie miała problemów z utrzymaniem wagi, dlatego Adela robiła wszystko, by ją nieco podpaść. Gdy dziewczyna odmawiała, wtedy zaczynały się żarty i przytyki, ale tylko po to, by ją zachęcić do jedzenia. Nela nie obrażała się za to na kucharkę. Wiedziała, że kobieta robi to z troski o nią. Dlatego chwyciła trzeciego rogalika, pośpiesznie cmoknęła kucharkę w policzek i wybiegła z kuchni. Nie chciała, by ktoś ją dostrzegł. Cicho otworzyła drzwi wyjściowe i wymknęła się na podwórko. Po chwili szła doskonale sobie znaną trasą.

Kiedy dotarła do celu, zatrzymała się, zrobiła głęboki wdech i pchnęła drzwi. Weszła po schodach i minęła kilkoro drzwi z pięknie wykaligrafowanymi nazwiskami. Zatrzymała się przy ostatnich. Choć doskonale знаła napis na przywieszonej do nich tabliczce, to raz jeszcze powoli go odczytała. Zapukała, po czym weszła, nie czekając na zaproszenie.

– Ty tutaj? – Zza biurka podniósł się zaskoczony Wilhelm.

– Dzień dobry. Chciałam z tobą spokojnie porozmawiać.

– Czekałem na to – przyznał. Podszedł, ale nie pocałował jej na powitanie, jak zwykle to robić. – Zapraszam. – Wskazał jej wyściełany bordowym aksamitem duży fotel przy niewysokim okrągłym stoliku. Sam usiadł po przeciwnej stronie.

Przysłuchiwała mu się. Znała każdą z drobnych zmarszczek okalających jego oczy. Widziała malujące się na jego twarzy zmęczenie i odbijającą się w jego oczach ciekawość. Jednocześnie czuła bijący od niego chłód. Nie zachęcał jej do mówienia. Po prostu czekał.

– Dużo się ostatnio dzieje w moim życiu – zaczęła, przypominając sobie to, co wczoraj ustaliła z Tomaszem.

– Owszem, ale to nie tylko twoje życie – podchwycił. – Za chwilę to będzie nasze wspólne życie i wszystko, co teraz robisz, ma na nie wpływ – dodał.

Szeroko otworzyła oczy i przygryzła dolną wargę. Co mógł mieć na myśli? Czy mógł ją o coś podejrzewać?

– Od naszych oficjalnych zaręczyn jesteś jakaś dziwna. Nie poznaję cię – ciągnął.

– Odważę się powiedzieć to samo o tobie.

Tym razem to ona go zaskoczyła. Patrzył na nią z zainteresowaniem, nie mając pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Długo zachodziłem w głowę w czym rzecz – powrócił do tematu.

Adwokat wyjął papierosa ze srebrnej papierośnicy i przypalił go zapalką. Później przez chwilę skupił się na paleń-  
niu. Dym począł oplatać ich ciała i wypełniać przestrzeń wokół.

– Rozumiem, że chcesz się wyrwać spod skrzydeł nadopiekuńczych rodziców. Przyznaję, że kiedy wyjechałem z domu i osiedliłem się tutaj, też odetchnąłem od swojej gadatliwej matki i rozlazłego ojca. Wiem, że też nie masz łatwo w domu, więc starałem się być wyrozumiały. Później przyszła mi do głowy straszna myśl, a gdy ją połączyłem z wiedzą o tym, że często zaglądasz do pewnego szpitala, niemal oszalałem z rozpacz – ciągnął, co pewien czas ciągnąc się papierosem. – Unikałaś mnie... Większą część lata spędziłaś w szpitalu, a nie ze mną – dodał i spojrzął na nią hardo. – Naprawdę się bałem...

Czuła przygniatające ją wyrzuty sumienia. Nie miała prawa ukrywać faktu, że pomaga w szpitalu. Przecież nie robiła niczego złego. Wilhelm, choć w nieco inny sposób, też pomagał swoim klientom. Nie powinna zakładać, że jej nie zrozumie.

– Nie wiedziałem, czy mam prawo cię o to zapytać. Nie chciałem być wścibski... – Wybuchł śmiechem. – A ty tymczasem bawiłaś się pielęgniarcezkę polskich szuj i oberwańców!

– Wili, przecież jestem pielęgniarzką. Co w tym złego, że pomagam w szpitalu?

– Moja przyszła żona wśród polskich szmaciarzy... Czy ty w ogóle rozumiesz, co zrobiłaś? – Zbliżył do niej twarz i zatrzymał się kilka centymetrów przed nią, w ustach wciąż trzymając papierosa.

Od żrącego dymu drapało ją w gardle, a oczy niemal natychmiast zaczęły jej łzawić. Wilhelm wyjął papierosa z ust i wydmuchnął je w twarz całej dym.

– Kiedy powiedział mi o tym mąż kwiaciarki, myślałem, że się przesłyszałem, ale widzę, że ty w ogóle nie wstydzisz się tego, co zrobiłaś – szepnął, patrząc jej prosto w oczy. – Moja żona nie będzie się poniżać pracą w takim miejscu! – zagrzmiał i uderzył pięścią w stół, tak że Nela aż podskoczyła ze strachu.

Patrzyła na tego człowieka, zachodząc w głowę, jak mogła być tak ślepa i nie dostrzegać wszystkich różnic, które z każdym dniem się pojawiały między nimi.

– Praca nikogo nie poniża – obruszyła się i wstała. Teraz to ona patrzyła na niego z góry. – Nie musisz się za mnie wstydzić. Nie musisz się ze mną męczyć i nie musisz czuć się przeze mnie poniżany – wyrecytowała jednym tchem.

– Nie zamierzam. – Zaśmiał się tubalnym głosem, ale w jego oczach nie dostrzegła radości. Przeciwnie, znała go dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, jak bardzo jest rozdrażniony.

– Wili... – zaczęła, kucając przy jego fotelu. – Jesteś dla mnie bardzo ważny, ale zrozumiałam, że zbyt wiele nas dzieli, a ja... Nie chcę cię do niczego zmuszać...

– Niewiele nas łączy? – Zarechotał. – Do czego nie chcesz mnie zmuszać?

Nela westchnęła i dotknęła dłoni mężczyzny. Była spocona i lepka. Nie cofnęła się.

– Przepraszam, że cię uraziłam, ale nie mogę zostać twoją żoną – powiedziała cicho, lecz stanowczo.

Widziała, jak do krwi zagryza dolną wargę, a jego dłonie mocno zacisnęły się na oparciach fotela. Cofnęła dłoń, ale było za późno. Chwycił ją za rękę i mocno oplótł palcami. Syknęła z bólu.

– Ty myślisz, że ot tak możesz odejść? – warknął. – Zostawić mnie? Mnie?!

– Wili... to boli. Puść – prosiła, podnosząc się wraz z nim.

– Nie pozwolę się ośmieszać. Rozumiesz?

– Wili, proszę – powtórzyła.

– Nikt nie będzie mnie tak poniżał. Nikt! Myślisz, że jesteś wyjątkowa, bo masz za sobą tatulka senatora? – Zaśmiał się.

– Nie miesza do tego mojego ojca – poprosiła.

– Błąd, moja droga! Duży błąd! – dodał enigmatycznie i znów się roześmiał. – O rodzinie się nie zapomina. Zwłaszcza takiej.

Przez chwilę patrzyła na niego, usiłując poskładać w całość jego słowa.

– Wili, to naprawdę nie ma sensu – spróbowała raz jeszcze łamiącym się głosem. – Ja ciebie nie kocham...

Wybuch spazmatycznego śmiechu niósł się po całym pomieszczeniu, które od kilku lat wynajmował młody prawnik. Mężczyzna rozluźnił uchwyt. Nela wykorzystwała ten moment i odskoczyła na bok, rozcierając obolałe miejsce.

– Co ty wiesz o kochaniu? – parsknął. – Nawet pieprzyć się jeszcze nie potrafisz – rzucił jej szyderczo. – Myślisz, że nie pamiętam, co się stało na przyjęciu... – Niespodziewanie zbliżył się do niej na odległość kilku centymetrów. Cofnęła się, aż plecami dotknęła chłodnej ściany. – Gdyby nie rana, którą leczyłem po jakiejś awanturze z polaczkami, to tak łatwo bym ci nie odpuścił – dodał, po czym dłonią dotknął jej uda i począł przesuwając palce do góry, podnosząc jej sukienkę.

Usiłowała się odsunąć, ale wtedy naparł na nią całym ciałem, dociskając ją do ściany. Zadrżała, czując jego napięte mięśnie. Jego dłoń dotarła do jej bielizny. Poczula piekące lzy pod powiekami. Nie miała szans wydostać się z jego uścisku.

– Wili... Proszę...

Adwokat nie ustąpił. Jego dłoń przeslizgiwała się po jej wzgórku, drugą zakrył jej usta. Sam przymknął oczy i nieco odchylił głowę. Rozkosz, którą czuł między nogami, przepelniała jego ciało i dodawała wiary w to, że jego plan, który wymyślił, gdy dowiedział się o wizytach narzeczonej w szpitalu, ma sens. Póki co delectował się ciałem kobiety, o której tak długo marzył, a która igrała z jego uczuciami. Już dawno pojął, że mu się wymyka. Nie mógł sobie pozwolić na to, by stracić to, na co tak ciężko pracował. Nie teraz. Znajomość z Andersem stanowiła podstawę jego bytu. Chętnie się tym. Korzystał z jego protekcji przy każdej okazji i świetnie na tym wychodził. Odkąd rozeszła się wieść o jego ślubie z córką senatora Witta, jego klientelę stanowili znacznie zamożniejsi mieszkańcy miasta, z lepszymi koneksjami na samym szczycie partii. Wiedział, że tylko w ten sposób uda mu się daleko zająć. Chciał tego. Od kilku lat się na to szykował. Dlatego nie zamierzał rezygnować z nadarzającej się okazji.

– Powiem ci teraz, co zrobimy, laluniu – szepnął jej do ucha, zabierając dłoń z jej ust i chwytając ją za gardło.

Dusiła się. Nie mogła przełknąć śliny. Usiłowała się wyrwać, ale szybko zrozumiała, że wtedy jego uścisk staje się jeszcze mocniejszy. Jej szamotanina przyniosła jednak efekt. Wilhelm zabrał dłoń z jej bielizny, ale teraz dusił ją obydwoma rękoma.

– Nie ruszaj się, bo przestanę się z tobą cackać! – warknął, tuż przy jej twarzy. – Rozumiesz?

Zamrugnęła, a z jej oczu poczęły kapać lzy. Nagle uścisk nieco zelżał. Nie miała siły walczyć, więc się osunęła na podłogę, zanosząc od kaszlu. Mężczyzna przykucnął tuż obok, czekając, aż się uspokoi.

– Powiem to raz... – zaczął. – Tylko raz, więc wszystko dokładnie zapamiętaj i ulóż w swojej małej główce. – Palcem postukał w jej czoło.

Wciąż głośno oddychała, masując obolałe miejsca. Nigdy wcześniej nie widziała tak dużego wzburzenia u nikogo, a tym bardziej u mężczyzny, z którym jeszcze niedawno chciała spędzić resztę życia. Teraz wiedziała, że zerwanie zaręczyn to najlepsze wyjście.

– Nigdy nie waż się mnie ośmieszać. Nigdy! – wrzasnęła, uderzając pięścią w ścianę tuż obok jej głowy. – Myślisz, że nie wiem, z kim się zabawia twój braciszek? – Spojrzał na nią przeciągle. – A wierz mi, lubi się zabawzić. I to bardzo. – Przerwał na chwilę, by palcem wskazującym podtrzymać jej opadającą brodę. – Jego towarzysze zabaw i on sam przynoszą wstyd naszemu krajowi – wyznał, uśmiechając się, choć jego oczy płonęły od złości. – Nie wiedziałaś, prawda?

Nela wciąż nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi, ale obawiała się zapytać. Marzyła, by ten dzień wreszcie się skończył i mogła stąd wyjść. Póki co nie miała takiej pewności.

– Ukochany synalek twojego papy, spadkobierca nazwiska nie da potomstwa twojej rodzinie, a jego kariera skończy się tak szybko, jak nagle się zaczęła. Chcesz tego?

Zaprzeczyła.

– Twój tatulek senator umarłby ze wstydu, a matce pękłoby serce, gdyby dowiedziała się o nocnych harcach synalka, który gościł w niejednej męskiej sypialni w tym mieście. – Zaśmiał się w sposób, w którym tliła się buta i pogarda. – Takiego gówna nie zmylibyście ze swojego nazwiska przez całe pokolenia!

Nela zacisnęła usta, ale to nie pomogło. Nie chciała wierzyć słowom Wilhelma, ale jego stanowczość i przekonanie, że to, co mówi, to prawda, nie dawały szansy obrony.

– Czyli ja nikomu nie powiem, że twój braciszek to sodomita – ciągnął dalej – a ty grzecznie stąd wyjdiesz, żeby zająć się przygotowaniami do naszej uroczystości. Drugi wrzesnia tuż-tuż. I załóż na palec pierścionelek. Myślisz, że nie zauważyłem, że go nie nosisz? – rzucił, podnosząc się i obciągając marynarkę.

Nela siedziała pod ścianą, pochlipując. Utknęła w potrzasku. Wilhelm nie pozostawił jej żadnych złudzeń. Dzisiaj pokazał, na co go stać.

Powoli podniosła się i poczęła przesuwając się do wyjścia.

– Doprowadź się trochę do porządku, bo jeszcze ktoś cię zobaczy, jak ode mnie wychodzisz i pomyśli, że cię zbałamucilem. – Zaśmiał się. – Ale na to też przyjdzie czas. Nie myśl, że się wymigasz od swoich małżeńskich obowiązków!

Podeszła do stolika i z leżącej na nim torebki wyjęła niewielkie lusterko i chusteczkę, którą wytarła lzy. Te, które nosiła w sercu, pozostały.

Czując na sobie baczne spojrzenie Wilhelma, wyszła z jego kancelarii. Noga za nogą wlokła się wzdłuż korytarza. Nie patrzyła na ludzi, którzy się jej kłaniali. Oślepiające słońce przypominało jej o tym, że zapomniiała kapelusza. Nie

zamierzała po niego wracać. Najchętniej nigdy więcej nie zajrzałyby do tego budynku. To, co się przed chwilą wydarzyło, było niczym sen.

Odruchowo dotknęła szyi. Ból, który niemal natychmiast poczuła, nie pozwolił jej zwątpić w to, że Wilhelm jest zdolny do wszystkiego. Świadomość, z jakim człowiekiem przyjdzie jej spędzić resztę życia, pozbawiła ją tchu. Zatrzymała się, łapiąc powietrze niczym ryba wyjęta z wody. Im głębsze oddechy robiła, tym miała większe przeświadczenie, że się dusi. W obawie przed upadkiem oparła się o ogrodzenie i przymknęła oczy. Miała wrażenie, że świat wiruje wokół niej, a mrowienie, które początkowo pojawiło się w stopach i dłoniach, postępowało coraz dalej, niemal paraliżując jej ciało. Miała świadomość, że przestaje cokolwiek czuć, ale nie potrafiła przerwać tego błędnego koła, wciąż walcząc o każdy oddech. Myśli poczęły odpływać. A pustka kusila spokojem.

– Ciociu! Ciociu! – Dziecięcy głos zakłócił ciszę.

Pomyślała, że to jedynie majaki jej wycieńczonego wrażeniami mózgu. Chciała się pozbyć tego głosu.

– Ciociu, wstawaj! Jesteś chora?

Chciała odpocząć, a tymczasem ktoś jej w tym przeszkadzał, a przy tym mówił niezbyt dobrze po niemiecku. Znała ten sposób mówienia. Lubiła go.

– Może trzeba lecieć po doktora?

Uchyliła ciężkie powieki. Początkowo obraz był rozmyty. Zamrugała kilka razy i wtedy poznała właściciela głosu.

– Ciociu, żyjesz! – wykrzyknął Staś i mocno się do niej przytulił.

Natychmiast poczuła jego ciepło i zapach. Przymknęła powieki i uśmiechnęła się do dziecka. Zmusiła swoje ciało do poruszenia się. Ostrożnie dotknęła pleców chłopca. Miała wrażenie, że drgnął, jakby długo na to czekał. Nie odszedł. Tulił się do niej, a ona uśmiechała się, choć po jej policzkach spływały łzy.

## Rozdział XXIII



### Pytanie

Duszne powietrze kleiło się do ciała i nie pozwalało na długie wylegiwanie się w łóżku. Słońce od rana bezwstydnie zaglądało do okien domostw, jakby sprawdzało, czy wszyscy mieszkańcy jeszcze śpią.

Iwo kilka dni temu spędził noc na dworcu w Gdańsku. Nie miał wyjścia. Ale nawet chłodna noc nie ostudziła jego uczuć. Wciąż wspominał swój desperacki wyjazd ze Sztutowa i rozmowę z Nelą. Choć nie wiedział, jak się dalej potoczą ich relacje, to chociaż przekonał się, że dziewczyna żywi do niego podobne uczucia, co on. Pragnął znów ją przytulić, zatopić palce w miękkich pasmach złocistych włosów. Marzył, by zatracić się w jej uśmiechu i wciąż słuchać wypowiedzianych przez nią słów. Jednocześnie nie opuszczało go przeświadczenie, że jakaś niewidzialna pętla zaciera się wokół jego szyi. Czas umykał, a on nie miał pewności, co dalej z nim, z Nelą i jego pracą.

W tej sytuacji nie chciał wrócić do Polski. Mieszkając w Sztutowie, mógł się z nią widywać. Owszem, na razie nie spodziewał się, że będą mogli się spotykać oficjalnie. Liczył na to, że z czasem wszystko się ułoży, a jej rodzice zaakceptują wybór córki. Chciał wykrzyczeć fakt, że ją kocha, ale obawy o reakcje wokół zdławiły tę myśl. Póki co nie podzielił się swoją radością nawet z Rajmundem, który od jego powrotu z Gdańska wciąż dopytywał, co się z nim dzieje. Jak miał się przyznać do tego, że postępował wbrew zdrowemu rozsądkowi? Wiedział o tym, ale nie potrafił dłużej i mocniej ze sobą walczyć. Ot, stało się. Cóż mógł poradzić.

Zwlekł się z łóżka, ubrał się i chłodną wodą ochlapał twarz. Później poszedł do kuchni, by przygotować śniadanie.

– Serwus – powitał Jana krzątającego się przy kuchni. – Też nie możesz spać przez te upały?

– Raczej przez tych szwabów – poskarżył się.

– Przecież odpłynęli<sup>25</sup>.

– A nie słyszałeś, dokąd? – Spojrzał wyczekująco. – Teraz przyczaili się w Gdańsku – wyjaśnił pospiesznie i wrócił do krojenia niewielkiego kawałka chleba. – To wszystko mi się nie podoba.

– Przynajmniej mamy czyste sumienia. Od razu zameldowaliśmy o tym w Ekspozyturze. Nic więcej nie mogliśmy zrobić.

– Zobaczysz, że powystrzelają nas jak kaczki.

– Mam nadzieję, że pójda po rozum do głowy. Przecież tu mieszkają rzesze Niemców. Myślisz, że narażaliby życie własnych obywateli?

– Nie wiem! – Odwrócił się w stronę Iwa i przez chwilę stał, analizując jego słowa. – Nic nie rozumiem, ale wiem jedno, mam dość tego miejsca i chciałbym stąd wyjechać w głąb kraju, żeby nie musieć patrzeć na te szwabskie mordy.

Jeszcze cztery miesiące temu Iwo powiedziałby dokładnie tak samo. A dzisiaj?

Wziął chleb i posmarował powidłami śliwkowymi. Masła już dawno zabrakło, a nie chcieli dodatkowo narażać Goryniakowej i zbyt często do niej chodzić po jedzenie. Pozostali już dawno przestali im pomagać, bojąc się o własne życie. Sąsiad sąsiadowi wilkiem, a donosicielstwo kwitło na potęgę. Dla Schupo każdy pretekst, by obić plecy Polaków, był doskonały.

Gdy śniadanie było gotowe, Iwo obudził Rajmunda, a Jan poszedł po resztę domowników. Właśnie zasiedli do stołu, gdy rozdzwonił się telefon. Andrzej Kucharski podniósł się od stołu. Mieli niepisaną umowę, że gdy tylko był w domu, to on odbierał telefony, które zwykle miały charakter służbowy.

– Poszedł poufny rozkaz naczelnika Poczty o ewakuacji rodzin pocztowców do Polski – poinformował, z powrotem siadając przy stole.

– Skąd kierownik to wie? – zainteresowała się Olek Chmiel, najmłodszy i najbardziej ruchliwy z wszystkich celników w ich placówce.

– Oprócz wrogów wciąż mamy jeszcze przyjaciół – odparł tajemniczo. – Miejcie oczy i uszy otwarte jak dotychczas. Każda informacja jest ważna – zwrócił się do podwładnych. – Ale przede wszystkim jeszcze bardziej na siebie uważajcie. Dzisiaj skracam wam warty. Wróćcie po południu.

Później przy śniadaniu panowała grobowa cisza. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach. Tylko od czasu do czasu ktoś bąknął coś pod nosem.

Po sprzątnięciu naczyń po śniadaniu Iwo z Rajmundem ruszyli na patrol zatoki, ale nawet im rozmowa się nie kleiła. Rajmund zaczął przebąkiwać, że zastanawia się nad powrotem do Warszawy. Zdawał sobie sprawę, że nie znajdzie tam tak dobrze płatnej posady, ale wystarczająco dużo odłożył, aby ruszyć z budową domu dla siebie i Marianny.

Iwo słuchał dywagacji przyjaciela. Rozumiał jego argumentację, ale sam myślał zupełnie inaczej. Nie wyobrażał sobie, że mógłby stąd wyjechać. Cóż miał powiedzieć? Westchnął tylko i dalej lustrowali przybrzeżne wody Bałtyku, gotowi dostrzec każde zagrożenie dla ojczyzny.

Po południu zawrócili do domu.

– Myślisz, że Frieda Radke długo jeszcze nie ugnie się pod naciskami? – zastanawiał się Rajmund, kopiąc szyszkę znaną zaraz po wejściu do lasu.

– Podziwiam tę kobietę – przyznał Iwo. – Na razie dzielnie obstaje przy swoim i nie pozwala się innym mieszać do tego, komu wynajmuje swój dom.

– To jedyna Niemka, która zasłużyła na mój szacunek.

Iwo pokiwał głową. Poczul ukłucie tuż pod żebrem, ale nie odważył się powiedzieć, o kim jeszcze pomyślał w tej chwili.

Wreszcie dotarli do domu. Byli już w nim wszyscy. Kucharski zamknął drzwi na klucz, choć doskonale wiedział, że nie stanowi to większej przeszkody dla tych, którzy chcieliby się ich stąd pozbyć.

Usiedli do stołu i zjedli obiad. Kucharski wyjął butelkę samogonu przywiezioną z domu rodzinnego ze Śląska i rozlał jej zawartość do kubków po kompocie z rabarbaru.

– Za nas! – Wzniósł toast i zaczął, aż wszyscy do niego dołączają. Później przechylił kubek i krzywiąc się, w kilku łykach przełknął jego zawartość.

Młodzi celnicy poszli w jego ślady. Krztusząc się, czekali, aż kolejno naleje im kompotu. Alkohol buzuwał w ich żylach, a wirujące w głowie myśli poczęły odfruwać niczym spłoszone gołębie beztrąsko drepzące pod fontanną Nepetuna. Poczucie błogości nie trwało jednak długo, zmącone jedną uwagą Kucharskiego.

– To koniec – powiedział, sadowiąc się przy stole. – Musimy związać manatki.

Iwo dopiero teraz dostrzegł zafrapowanie na twarzy przełożonego. Odkąd wrócili, siedział zamyślony. Składał to na kark zmęczenia pracą i żarem lejącym się z nieba.

– Dzisiaj z polecenia Ekspozytury naszą placówkę rozwiązano – oświadczył, wciąż nie podnosząc wzroku na swoich współpracowników. – To koniec.

– Co to oznacza? – dopytywał Olek, rwąc na kawałki skórkę od chleba, której nie zdążył zjeść do zupy.

– Wyjeżdżamy stąd jeszcze dzisiaj – wyjaśnił.

– Dzisiaj? Jak to dzisiaj?! – Głos Iwa stał się znacznie wyższy niż zazwyczaj. – Tak nagle?

– Wiedzieliśmy, że coś się dzieje – tłumaczył Kucharski. – Dowodów na to mamy aż nadto. – Powiódł wzrokiem po zebranych, czekając na ich reakcję. – Ekspozytura nie chce nas narażać – dodał.

– I co z nami? – zapytał Jan.

– Wracamy do domu. Dostaniemy wypłatę i jakąś nadwyżkę. A jak się wszystko uspokoi, to wrócimy do służby.

– Nie mam pojęcia, co robić. – Jan pokręcił głową i schował ją w dłonie, zasłaniając wyraz bezradności odmalowany na jego twarzy.

– Słuchać kierownika – zauważył Rajmund. – Zwijamy manele, póki jest jeszcze czas – szepnął, nachylając się nad Janem.

– Zbierajcie swoje rzeczy – ponaglił Kucharski. – Ale nie możemy wyjechać wszyscy naraz, żeby nie wzbudzić niczych podejrzeń. Weźcie tylko to, co najpotrzebniejsze. Resztę zostawcie. Na popołudniową kolejkę wychodźcie parami. Na dworcu też nie stójcie obok siebie. A i w pociągu bądźcie ostrożni i najlepiej z nikim nie gadajcie. Ja zostanę do jutra i trochę tu uprzątnę, żeby biedna pani Radke nie dostała palpacji serca, gdy tutaj zajrzy.

Iwo coraz głośniejszym głosem dyszał. Trybiki w jego głowie obracały się coraz szybciej, ale wciąż nie wiedział, jak ma powiadomić Nelę o tym, że musi wyjechać. Obiecała, że za kilka dni przyjedzie do niego. Skoro dotychczas się nie pojawiła, to najwidoczniej potrzebowała nieco więcej czasu, by rozmówić się z narzeczonym. Musiał na nią poczekać.

– Ja to zrobię, kierownikowi – zaoferował Iwo, widząc w tym jedyną szansę, by zostać.

– Ty lepiej uciekaj. – Mężczyzna poklepał go po ramieniu. – Takie sprawy muszę sam załatwić.

– Ale nie wypada, żeby to pan po nas sprzątał – rzucił, nerwowo szukając kolejnych powodów, dla których nie powinien się stąd ruszać.

– Synu – odezwał się pieszczotliwie, czego nigdy wcześniej nie robił, choć traktował tych chłopców jak rodzinę – teraz nie ma znaczenia, co wypada, a co nie. Trzeba ratować swoje życie.

Kolejne pomysły Iwa tonęły wśród argumentów wypowiedzianych przez Kucharskiego. Wiedział, że jeśli czegoś teraz nie wymyśli, to jeszcze dzisiaj będzie zmuszony opuścić ten dom.

– Na wszelki wypadek do jutra zostanę z panem. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś... Gdyby ktoś się odważył... – ciągnął, coraz mocniej rozumiejąc, co się wokół nich dzieje. Chciał tutaj zacząć na Nelę, ale też zdawał sobie sprawę, czym jest samotność wśród wrogich spojrzeń.

Kucharski najwidoczniej też zdawał sobie z tego sprawę, bo wreszcie pokiwał głową, a kiedy wszyscy zabrali się za pakowanie swoich osobistych rzeczy, on siedział wpatrzony w obraz za oknem. Drzewa w ogrodzie wdzięczyły się do słońca. Siedzące na nich ptaki śpiewnie nawoływały swoje partnerki. Bezchmurne niebo przyciągało wzrok. Czy ten spokój mógł stanowić uludę? Na to pytanie Kucharski nie znał odpowiedzi, ale gdy usłyszał kroki współpracowników, podniósł się i każdego mocno uściśnął, życząc im spokojnego powrotu do domu.

– Naprawdę zostajesz? – Rajmund patrzył na Iwa niepokieszony.

– Jedź do Niw i powiedz moim rodzicom, że za dwa, może trzy dni wrócę do domu – poprosił. – Tylko nie przesadzaj z wyściskaniem Marianki.

Pogroził palcem, ale zaraz potem otworzył ramiona i objął przyjaciela. Przez chwilę stali w milczeniu.

– Jedź ze mną – spróbował jeszcze raz Rajmund.

– Jeszcze nie teraz. Potrzebuję trochę czasu, by coś załatwić.

– A jednak jest jakaś kobieta...

Iwo uśmiechnął się nieznacznie, ale nic więcej nie powiedział. Patrzył przez okno, gdy jego koledzy kolejno wymykali się z domu.

Kiedy dom opustoszał, musiał czymś zająć myśli. Miał tylko jeden dzień. Zaglądał do kolejnych pomieszczeń, by je uporządkować. Pochował koce i zdjął pościel, którą złożył i ułożył w nogach łóżek. Później wrócił do kuchni, by umyć naczynia po obiedzie.

– Pójdę pożegnać się z Goryniakami – odezwał się Kucharski, który zdążył spakować swoje rzeczy. – Tyle dla nas zrobili. Jeszcze pomyślą, że coś nam się stało – dodał jakby na usprawiedliwienie.

Iwo rozumiał go. Sam polubił tę rodzinę.

– Przekaze pan coś ich wnukom? – spytał, a gdy tamten przytaknął, wyszedł, a po chwili wrócił z małym drewnianym gwizdkiem w kształcie kogucika, który wcisnął mu uliczny sprzedawca, gdy rankiem wyszedł z dworca, by kupić sobie bułkę na śniadanie.

– Ucieszą się dzieciny – zauważył Kucharski i wetknął gwizdek do kieszeni spodni.

Iwo patrzył na byłego już szefa stojącego przed domem, który rozglądał się na boki, jakby obawiał się, że ktoś go wypatrzy. Wiedział, że powinni być niewidoczni dla społeczeństwa Wolnego Miasta Gdańska. Odwrócił się na pięcie od okna i chwycił za słuchawkę telefonu. Czekał na ten moment, ale nie śmiał dzwonić przy Kucharskim. Telefonistka już po chwili połączyła go z rozmówcą.

– Dom państwa Witt, w czym mogę pomóc?

Iwo usłyszał damski głos i dopiero teraz uświadomił sobie, że też powinien się przedstawić, a jego nazwisko zapewne nie spodoba się osobie, która go wysłucha. W myślach przeszukiwał listę nazwisk, którymi mógłby się posłużyć.

– Halo! Kto mówi?

– Iwo – wydukał.

– Jaki Iwo?

Wiedział, że jeśli teraz się nie odważy, to innej szansy może nie mieć.

– Iwo Krauze. Czy jest Nela?

– Panienki nie ma.

– Czy może jej pani powtórzyć, że dzwoniłem? – spytał, łudząc się, że Nela skojarzy, kto jej szukał.

– Oczywiście. Do widzenia.

Iwo zwiesił głowę i długo nie odkładał słuchawki. Nawet nie mógł podać swojego nazwiska. Nie chciał dziewczyny narażać, a jednak kusilo go, by znów zadzwonić i powiedzieć prawdę o tym, kim jest i dlaczego tak bardzo pragnie



porozmawiać z Nelą. Sam nie rozumiał, dlaczego z każdą chwilą zależało mu na Neli coraz bardziej.

Wreszcie odłożył słuchawkę na widełki i wrócił do sprzątanania. Schował naczynia. Resztę zupy wylał w ogrodzie. Starł stół i rozkroił resztkę chleba, który został im na kolację. A potem usiadł na ganku i czekał na powrót Kucharskiego.

W nocy nie mógł spać. Wciąż miał przed oczyma obraz Neli z ich ostatniego spotkania. Widział ufność w jej oczach i wiarę, że ich uczucie ma sens. Zaklinał rzeczywistość, by los pozwolił im skosztować wspólnego szczęścia.

Gdy tylko usłyszał pierwsze pianie kogutów, poderwał się z miejsca, pościelił łóżko, po czym obmył twarz i się ubrał. Wczoraj Goryniakowa podarowała im kawałek razowca i kilka grubszych plasterów boczku z prosiaka ubitego przed zniwami. Iwo rozkroił chleb i nałożył na niego po kawałku boczku. Zaczekał na Kucharskiego, a gdy zjedli, zabrali swoje rzeczy i wyszli z domu. Klucz pozostawili na ganku pod doniczką z pelargonią, o którą dbał, odkąd zjawił się w Sztutowie.

Upewniwszy się, że nikt nie zwraca na nich uwagi, chyłkiem przemknęli na stację. Na kolejkę zaczęli pod drzewem nieopodal wejścia na dworzec.

– O której masz pociąg do Bydgoszczy? – odezwał się Kucharski.

– Jakoś koło południa – oświadczył Iwo, choć wcześniej nawet o tym nie pomyślał.

– To akurat. – Pokiwał głową.

Widząc wjeżdżającą lokomotywę, uściskali się i każdy z nich poszedł w innym kierunku. Iwo wszedł do pierwszego wagonu. Andrzej Kucharski zajął miejsce najdalej od lokomotywy.

Iwo patrzył na oddalające się pola. Na wielu jeszcze nie ruszyła orka i wciąż stały najeżone rżyska po zbożu. Liście buraków cukrowych nadal się zieleniły, ale Iwo wiedział, że w tym roku gospodarze znacznie wcześniej rozpoczną zbiór, bo gorące lato przyspieszyło wzrost warzyw.

Kiedy wreszcie wjechali na dworzec w Gdańsku, Iwo chwycił swoją walizkę i wysiadł. Kątem oka dostrzegł zmierzające do wyjścia Kucharskiego. Chwilę się ociągał, by nie iść za nim. Włożył kapelusz, a marynarkę, której nie zdołał upchnąć do walizki, przewiesił przez ramię, bo upał nie pozwolił jej włożyć na plecy. Gdy wyszedł ze stacji, nie miał wątpliwości, dokąd go poniosą nogi.

Szedł szybko. Nie zwracał uwagi na unoszącą się w powietrzu ekscytację połączoną z oczekiwaniem. Sam też czekał na coś ważnego. Nic innego nie miało znaczenia.

Wreszcie zatrzymał się przed domem Neli, modląc się w duchu, by to ona mu otworzyła. Pchnął niską furtkę i wszedł na podwórko. Podeszedł do drzwi i zapukał. Z ręki nie wypuścił walizki. W drugiej ścisnął kapelusz. Odczekał chwilę, a później drzwi się otworzyły i stanęła w nich starsza, elegancko ubrana kobieta.

– Pan do kogo? – zapytała, nie przestając upinać kapelusza.

– Czy zastałem Nelę? – odparł Iwo.

– Córka wyszła do modystki – wyjaśniała. – Rozumie pan, ostatnie poprawki sukni ślubnej.

Iwo zachwiał się i w tej samej chwili poczuł, jak jego świat zaczyna się kurczyć, a w płucach brakuje mu tchu. Spróbował zrobić wdech, ale wciąż nie mógł.

– Pan się dobrze czuje? – zainteresowała się w końcu, odpowiednio ułożywszy kapelusz na głowie. – Właściwie, to dlaczego szuka pan Nelci? Jakoś pana nie kojarzę. Pan jest jej znajomym czy znajomym Wilhelma? Przyjdzie pan na ślub? – zgadywała, ale każde z pytań sprawiało mu jeszcze większy ból.

Iwo mocniej zacisnął palce na uchwycie walizki i ruszył do furtki. Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić. Ból ścisnął jego serce, a usta nie potrafiły wymówić żadnego słowa. Szedł, nie widząc przechodniów ani mijanych miejsc, jakby znalazł się w tym mieście po raz pierwszy.

## Rozdział XXIV



# Odpowiedź

– Lepiej pióra czy kwiaty? – spytała Klara, nie kryjąc towarzyszącej jej ekscytacji od chwili, gdy weszły do modystki.

Nela patrzyła na nią, lecz milczała. Po raz kolejny przymierzyła suknię ślubną, z której nie zostało nic, co by lubiła. Na życzenie jej matki krawcowa doszyła długą, suto umarszczoną spódnicę z koronki, zaś sięgający pasa dekolt za-budowała gipiurą. Nela, dając upust swojej frustracji, poprosiła o długi welon z gęstą woalką na twarzy. Teraz prze-niosła wzrok na lustro, w którym widziała obcą sobie postać.

Od kiedy wróciła z kancelarii Wilhelma, nieustannie płakała. Jej napuchnięte oczy i czerwony nos wzbudzały py-tania. Tłumaczyła, że się przeziębiła. I choć jej najbliżsi patrzyli na nią podejrzliwie, to nie zamierzała nikogo wy-prowadzać z błędu.

Zerknęła na swoją dłoń. Wciąż brakowało na niej pierścionka zaręczynowego. Wiedziała, że to naraża ją na ko-lejne pytania, ale nie zamierzała go odbierać małej Mani. Nie chciała patrzeć na symbol swojej naiwności. Brak pier-ścionka na palcu dawał jej poczucie, że ostatkiem sił trzyma się na powierzchni. Tak bardzo chciała kochać i być ko-chaną, że oslepla. A teraz miała za to zapłacić. Kłamstwa o zagubionym pierścionku zaręczynowym gładko płynęły z jej ust. Nie zamierzała tego zmieniać.

– Panienska pięknie wygląda z tymi piórami – zapewniła modystka na dorobku, której niezmiernie zależało na ma-jętnej klienteli, dlatego z Paryża i Mediolanu sprowadzała najdroższe materiały i najpiękniejsze dodatki, a później robiła wszystko, by je sprzedać. – Te pióra oczarują gości – dodała krawcowa i zachichotała.

Klara również się zaśmiała. Wiedziała, na kim chce zrobić największe wrażenie na weselu przyjaciółki. Nie było więc sensu oszczędzać na dodatkach do sukni, która od dawna wisiała w jej szafie i czekała na włożenie.

– A panienska Nela jest zadowolona? – upewniła się modystka, nie mogąc dostrzec wyrazu twarzy klientki.

Dziewczyna pokiwała głową i bez słowa wróciła do przymierzalni. Później powoli odpięła haftki i zdjęła ciężką suknię, którą podała stojącej przy kotarze krawcowej. Pozostała jedynie w bieliźnie, przyglądając się sobie. Wciąż odnajdowała nowe zasinięcia po ostatnim spotkaniu z Wilhelmem. A co, jeśli ich życie właśnie tak będzie wyglądało po ślubie? Za dwa dni zostanie żoną człowieka, który gotów zrobić jej krzywdę, byleby tylko mógł postawić na swoim.

Nieśpiesznie zdjęła z wieszaka sukienkę, w której przyszła, i ją włożyła. Następnie wróciła do Klary, która wciąż szczebiotała o swojej kreacji i dobranych do niej dodatkach.

– Gонец zaniesie ją paniencie jutro – obwieściła radośnie modystka, ale widząc nietęgą minę panny młodej, do-dała: – Proszę się nie martwić. Zaręczam, że moja pracownia ze wszystkimi poprawkami zdąży na czas, choćbym miała nie spać całą noc, a razem ze mną moje pracownice.

Nela jedynie skinęła głową na pożegnanie.

– Bidulka rozchorowała się w sam środek lata. – Klara starała się usprawiedliwić milczenie przyjaciółki.

Modystka się uśmiechnęła. W jej pracy liczyły się wyrozumiałość i dyskrecja, dlatego nie zamierzała dłużej drążyć tematu, jednak jak na jej gust, panna młoda wcale nie wyglądała na szczęśliwą z faktu, że za dwa dni zostanie żoną wybranka.

Nela zamknęła drzwi i ruszyła w stronę domu. Choć było przed południem, to czuła się zmęczona i marzyła o tym, by zaszyć się we własnym pokoju i nie wyściubić z niego nosa.

– Może to przedostatni dzień twojej wolności – szepnęła konspiracyjnym tonem Klara, nachyliwszy się nad przy-jaciółką. – Masz prawo być przerażona, ale właśnie dlatego musimy zrobić coś, o czym zawsze myślałaś, a czego nie będziesz mogła zrobić po ślubie – ciągnęła.

– Nie ma niczego takiego – szybko ucięła Nela i ani na chwilę nie zwolniła kroku.

– Nie wierzę ci – upierała się. – Za tydzień będziesz stateczną żonką czekającą z obiadem na mężusia wracającego z pracy i nie przyjdzie ci do głowy, żeby wyjść do kawiarni na rurkę z kremem.

– Na rurkę zawsze – przyznała dla świętego spokoju.

– Otóż to, czyli najpierw idziemy na rurki z kremem, a później pojedziemy aż na molo do Zoppotu<sup>26</sup>.

– Musimy?

– Nelia, za chwilę znikniesz mi z oczu. – Klara zatrzymała się i chwyciła ją za dłoń. – Od kilku tygodni i tak prawie się nie widzimy. To nasze ostatnie wspólne chwile wolności bez żadnych ograniczeń, więc dajmy sobie ten czas, żebyśmy później miały co wspominać.

Nela rozumiała, co przyjaciółka ma na myśli i dałaby wszystko, aby nie składać przysięgi, która zniszczy jej życie. Wiedziała jednak, jak bardzo skrzywdziłaby całą rodzinę, a tego nie miała prawa robić.

O tej porze w cukierni jak zwykle panował znaczny ruch. Dzieci, ciesząc się ostatnim dniem wakacji, ochoczo zjadały lody, ptysie albo omlet z konfiturą i popijały kompotem. Kelnerki uwijały się, by nikt nie czekał na swoje zamówienie.

Nela zamówiła jabłko w klarze z sokiem, a Klara dla odmiany poprosiła o krem z owocami. Już po chwili zamówione desery stały przed nimi. Klara ochoczo zjadała, kątem oka zerkając na przyjaciółkę.

– Jedz, do jutra nie przytyjesz. – Zaśmiała się. – A gdyby nawet, to rozprujemy jakąś zaszewkę i dasz radę wpełznąć się w sukienkę.

Usta Neli ledwie drgnęły.

– Co z tobą, dziewczyno? Ty naprawdę tak bardzo przeżywasz ten ślub?

Nela wzięła widelczyk i zabrała się za odkrajanie kawałków jabłka, ale zamiast włożyć do ust, rozgniała je na talerzyku. Po chwili miała przed sobą całkiem pokaźną porcję brei, na którą nie mogła patrzeć. Odsunęła więc nakrycie i dopiero wówczas podniosła wzrok.

– Nie Kocham Wilhelma – powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

– Co ty pleciesz? Przecież jesteście najlepszą parą, jaką znam.

– Jeszcze do niedawna tak było, ale... – Westchnęła i zwiesiła głowę. – Wili nie jest taki, jak myślałam.

Klara przyglądała się przyjaciółce, starając się zrozumieć to, o czym mówi.

– Dla niego najważniejsza jest kariera, a nie rodzina... – przyznała.

– Ma ambicje. Chce się rozwijać i daleko zajść, nie ma w tym niczego złego. – Wzruszyła ramionami. – Popatrz na swojego ojca. Ma pozycję, ale też wspaniałą rodzinę. Wy też taką stworzycie. Przyzwyczaj się do nowego życia i za kilka lat będziesz się śmiała ze swoich przedweselnych obaw.

– Nie rozumiesz...

– To mnie przekonaj.

Nela zamilkła, dopiła kompot i wstała.

– Chodźmy stąd – poprosiła, po czym podeszła do drzwi wejściowych i je otworzyła.

Kiedy stanęły na chodniku, rozejrzała się. Widząc stojący powóz, pomachała na woźnicę. Chwilę później jechały w stronę sopockiego mola. Przez całą podróż milczały, każda zatopiona we własnych myślach. Dopiero tuż przed molo wysiadły z dorożki i powoli weszły na drewniany pomost, który wielu wciąż przerażał.

Szły wolnym krokiem, mijając spacerowiczów. Tu i ówdzie rozbrzmiewały śmiechy. Mały chłopiec biegnący z la-tawcem potrafił Klarę i popędził dalej. Nie lubiła dzieci i ich wybryków, dlatego nienawistnym spojrzeniem śledziła chłopca, w duszy życząc mu skręcenia kostki.

Wreszcie dotarły do końca mola. Szum fal miarowo uderzających o filary pomostu sprawiał przyjemność. Nela oparła się o białą balustradę i nieco się wychyliła, jakby chciała dostrzec dno morskie.

– Poznałam pewnego chłopaka – zaczęła, wciąż wpatrzona w głęboką toń morską. – Jest zupełnie inny niż Wili. Zamiast tłamsić i znieważać, pomaga i troszczy się o innych. Nie puszy się i nie zaczepia nikogo. Ot, po prostu jest.

– To co w nim wyjątkowego? – Klara nie mogła zrozumieć.

– Pokazał mi to, czego wcześniej nie chciałam dostrzec... Przy nim czuję spokój i nie boję się mówić tego, co myślę.

– I tylko dlatego chcesz zrezygnować z tego, co może dać ci Wili? – Spojrzała na przyjaciółkę z niedowierzaniem. – To chwilowy kaprys, który zniszczy ci życie. Zastanów się, czy ten mężczyzna jest tego wart. Ślub z Wilhelmem zagwarantuje ci życie na odpowiednim poziomie, a nie wiadomo, co przyniesie jutro. Pieniądze i koneksje potrafią otworzyć wiele drzwi.

– Klaro, mówisz, jak moi rodzice. – Pokręciła głową z bezradności.

– Bo w tym względzie mają rację, a ty chcesz stracić swoją szansę. To głupota.

– A czy nie jest szaleństwem godzenie się na cierpienie drugiego człowieka w imię wyimaginowanych ambicji mówiących o tym, że ktoś jest lepszy albo gorszy? – spytała poirytowana. – To świat, w którym żyje Wili, a mnie jest do niego daleko.

– Nela, o czym ty tak naprawdę mówisz? – zapytała Klara.

– Nie kocham Wilhelma i nie chcę z nim być, ale on mnie do tego zmusza, bo inaczej pogroży moją rodzinę – wyrecytowała na jednym wydechu.

– On cię kocha. Co ja plotę! Ubóstwia! To widać w jego oczach. Sama chciałabym spotkać kogoś takiego. Nie ma ludzi idealnych, a Wili ze względu na swój zawód potrafi tak podejść, że łatwo się zapętlić i stracić pewność siebie, ale jestem pewna, że on nie miał niczego złego na myśli i na pewno dojdziecie do porozumienia. Tylko z nim porozmawiaj.

Nela powoli odwróciła się w stronę przyjaciółki. Patrzyła na nią, ale miała wrażenie, że stoi przed nią ktoś całkiem obcy. Niemał podskoczyła, czując na swoim przedramieniu dotyk Klary. To sprawiło, że się ocknęła. Wówczas poczuła, że coś ją przyciąga. Odwróciła się w stronę morza. Otwarta przestarzeń stanowiła gwarancję spokoju i wolności. W tej chwili nawet fale zmarły. Bezchmurne niebo odbijało się w morzu, nadając mu błękitnego odcienia.

Nela zapatrzona w przestarzeń poczęła się wspinać po balustradzie.

– Co ty wyprawiasz? Nela! Nela, złaż natychmiast! – krzyczała coraz głośniejsze Klara. – Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! – nawoływała, jednocześnie trzymając dziewczynę, która usiłowała się jej wyrwać. – Pomocy! Ludzie, pomóżcie mi!

Nela zdążyła przełożyć nogę i była przekonana, że gdyby nie mocny uchwyt Klary, już byłaby w wodzie. W tej samej chwili dostrzegła w niej twarz Wilego. Krzyczał i się odgrażał. Nie miała siły na to patrzeć. Jeszcze raz mocniej szarpnęła. Zaskoczona Klara nie zdołała jej utrzymać. Nela czuła, że się osuwa. Była coraz bliżej chwili, w której pozbędzie się Wilego ze swojego życia. Nagle szarpnięcie wyrwało ją z zamyślenia. Potem poczuła kolejne dłonie na swoim ciele. Głosy mieszały się ze sobą. Słowa poczęły ją bombardować, ale nie potrafiła zrozumieć ich sensu. Poddała się, zamknawszy oczy.

Po chwili dotarło do niej, że ktoś ją szarpie. Otworzyła oczy. Wokół niej stało kilkanaście osób. Większość uśmiechała się do niej.

– Nelia, Nelia!... – odezwała się Klara, klęcząc przy niej. – Ale mnie wystraszyłaś – dodała, tuląc się do leżącej na drewnianym pomoście przyjaciółki. – Błagam, nie rób tego więcej... Nigdy... przenigdy...

Klara pomogła podnieść się Neli i w asyście dwóch starszych mężczyzn wróciły na brzeg. Tam wsiadły do jednej z czekających na turystów dorożek. W drodze powrotnej Nela w milczeniu wysłuchiwała zapewnień Klary o jej wsparciu, skrzętnie pomijającej temat kogoś nowego w życiu Neli.

Zamknęła powieki, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie dojadą do domu. Gdy powóz się zatrzymał, cmoknęła Klarę w policzek i wysiadła. Nie obejrzawszy się za siebie, minęła furtkę i weszła na ganek. Otworzyła drzwi i na palcach powędrowała do swojego pokoju. Potem rzuciła się na łóżko i schowawszy twarz w puchowej poduszce, poczęła wyciszyć zwierzę schwymane w pułapkę.

Pukanie do drzwi sprawiło, że zamarła. Podniosła głowę z poduszki i sięgnęła po chusteczkę. Wydmuchawszy nos, usiadła na łóżku. Zachrypniętym głosem zaprosiła intruza.

Marta powoli uchyliła drzwi, jakby w obawie przed tym, co może zastać. Choć nie miała prawa ingerować w życie swoich pracodawców, to wiele dostrzegła i serce jej się ścisnęło, widząc cierpienie odmalowane na twarzy Neli. Wiedziała, że jedyne, co może jej teraz zaoferować, to ciepły posiłek. Bez słowa zamknęła drzwi, ale po chwili wróciła. Było już po obiedzie, dlatego przyniosła jej zupę pomidorową z ryżem. Zanim wyszła, z czułością popatrzyła na dziewczynę i nakryła jej nogi cienkim kocem, który wyszydełkowała, zanim przyszła na świat jej pierwsza córeczka. Później wieczorami szydełkowała ubranka dla kolejno rodzących się dzieci. I choć nieraz marzyła o ciszy po powrocie z pracy, to kochała swoje dzieci ponad wszystko i nie zniosłaby, gdyby tak cierpiały jak Nela.

Dziewczyna podciągnęła narzutę jeszcze wyżej. Chciała się cała pod nią skryć. Dopiero wówczas poczuła się odrobinę lepiej. W końcu zasnęła.

Ocknęła się, czując czyjś dotyk. Ściągnęła koc z głowy i wyjrzała.

– Cześć, siostra – odezwał się siedzący przy niej Tomas. – Jak się czujesz?

– Jakbym wyskoczyła z samolotu i zapomniała spadochronu.

– Czyli Klara miała rację, każąc mi do ciebie zajrzeć.

– Powiedziała ci? – jęknęła, a w jej oczach tlił się strach.

– Dzwoniła już trzy razy i kazała mi sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku – odparł, nie rozumiejąc, o co go pyta.

Nela odetchnęła i podciągnęła się na łóżku, by wygodniej usiąść. Tomas przesiadł się na fotel i w zamyśleniu obserwowal siostrę.

Mrok zaczął rozlewać się po pokoju. Długie cienie mebli odmalowywały się na ścianach i podłodze, tworząc na nich przyciągający oko wzór. Nela wyobraziła sobie mieszkanie Wilhelma, w którym wysokie ściany i majestatyczne meble sprawiały, że pośród nich czuła się jak mała drobinka, nic nieznacząca dla świata.

– Wyobrażasz sobie, że już w poniedziałek mnie tutaj nie będzie? – odezwał się.

– Wszystko się zmieni...

– To będzie przełomowy rok w naszym życiu.

Nela kiwnęła bez przekonania.

– Ty też się boisz? – upewnił się.

Nela otworzyła ramiona, oczekując uścisku brata, a w sercu poczuła ukłucie. Czy się bała? Szalała ze strachu. Obgryzła wszystkie paznokcie u rąk, ale nawet to nie pomogło. Pamiętała, jak w dzieciństwie matka karciała ją za to, twierdząc, że tylko żebracy i biedota obgryzają paznokcie z głodu.

– A ty się już spakowałaś? – Tomas rozejrzał się po pokoju siostry, ale nie dostrzegł oznak przeprowadzki.

Nela zaprzeczyła, wypuszczając brata z objęć.

– Mogę ci pomóc, jeśli tylko chcesz.

– Nie mam do tego głowy – przyznała.

– Oj, siostra, siostra... – Chłopak pokiwał głową. – Daj znać, jak będziesz potrzebowała pomocy – dodał, po czym wstał i ucałował ją w czoło, wyszedł.

Znów zwinęła się na łóżku i schowała pod przykryciem. Miała ochotę więcej się nie obudzić. Raz czy dwa wydawało jej się, że ktoś pukał do drzwi, a nawet je otwierał i zaglądał do środka, ale ona nie miała siły wynurzyć się spod koca. Kręciła się na łóżku, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji, jednak co rusz zapadała w kolejne drzemki.

Dopiero kiedy usłyszała huk, poderwała się i usiadła na łóżku. Rozejrzała się wokół siebie, nie rozumiejąc, co się dzieje. Kolejne uderzenie wyrwało ją z łóżka. Dopadła do okna i wyrzała na zewnątrz. Jasne niebo przeczyło jej podejrzeniom o nadejściu burzy. Huk nie ustawał. Wybiegła na korytarz. W jej stronę biegła matka, która dopiero wiazała w pośpiechu zarzucony na siebie szlafrok.

– Co się dzieje? – spytała Nela.

– Nie mam pojęcia! – odparła Ana Witt. – Ojciec już dzwoni do przyjaciół, żeby się zorientować w sytuacji.

– Czy to wybuchy? – zastanawiał się głośno Tomas, wybiegając ze swojego pokoju.

Matka pokiwała głową.

– Ktoś nas zaatakował? – dopytywał. – To wojna?

– Jaka wojna... Nikt nie odważyłby się na nas napaść – tłumaczyła. – Ubierzcie się i na wszelki wypadek zejdziemy do piwnicy – dodała.

Nela wbiegła do swojego pokoju. Dopiero teraz dostrzegła, że wciąż ma na sobie ubranie, w którym chodziła wczoraj. Zrzuciła z siebie pomiętą sukienkę i nałożyła spodnie i rozpinaną bluzkę. W ostatniej chwili chwyciła beżowy sweter i przykrycie, bo przypomniała sobie, że nawet latem w piwnicy jest naprawdę zimno.

– Szybciej, szybciej! – pokrzykiwała Ana na domowników. Sama zdążyła narzucić na siebie odrobinę przynieszoną sukienkę. Wiedziała, że ubrania w lepszym stanie mogłaby zniszczyć, siedząc w piwnicy. – Biercie świeczki i koce! Ja mam poduszki. – Pokazała dwie duże poduchy napelnione gęsim pierzem. – Gdzie ten ojciec się podziewa? – spytała, gdy kolejny wybuch zagłuszył rozmowę.

Nela uchwyciła drżenie w głosie matki. Nigdy wcześniej go nie słyszała. Gdy więc ponaglała ją i Tomasa, żeby schodzili na dół, nie oponowała. Nawet kiedy zeszli do piwnicy, a matka usadziła ich na poduchach, sama wciąż dreptała w tę i z powrotem. Co chwilę z rosnącym niepokojem spoglądała na schody.

Frank od kilku dni sypiał gdzieś poza domem. Choć ani Nela, ani Tomas nie pytali, to podejrzewali, że ich starszy brat spędza noc w koszarach, razem ze swoimi nowymi przyjaciółmi.

– Mamo, usiądź – poprosiła Nela.

– Nie mogę! – Kobieta nie dawała się przekonać i wciąż zerkała na drzwi.

Wreszcie u szczytu schodów pojawiła się jasna poświata.

– Nareszcie. – Matka westchnęła. – Coś tak długo robił?

Ojciec zszedł na dół i przytulił ją, a potem przygarnął do siebie swoje dorosłe dzieci. Nela wciąż drżała. We wzroku Tomasa dostrzegła strach. Obydwoje wtulili się w szerokie ramiona ojca. Tak zwykli robić, gdy byli dziećmi i coś zbroili. Matka była znacznie mniej wyrozumiała.

– Zaczęło się – odezwał się ochoczo.

Nela nie miała pojęcia, o czym ojciec mówi, ale nie brzmiał, jakby się czegoś obawiał. Podniosła głowę i spojrzała w jego oczy, w których tliła się duma.

– Wojna? – upewniła się Ana.

Ojciec skinął głową z uśmiechem na ustach.

– Tak długo czekaliśmy na wolność... – zauważył. – Nareszcie ją odzyskaliśmy. Hitler już podpisał traktat przylącający nas do Rzeszy.

– Nareszcie! – podchwyciła Ana i pocałowała męża w policzek.

– Ale to nas atakują. – Nela się skrzywiła.

– Trwa ostrzał Westerplatte. – Machnął ręką. – Jeszcze chwilę i nasza armia zmiecie to miejsce z powierzchni ziemi.

Nela odsunęła się od ojca i poczęła płakać. Ciężko klapnęła na poduszkę i ukryła twarz w dłoniach. Nie potrafiła pojąć radości rodziców. Ona widziała strach w oczach niewinnych ludzi, którzy nie chcieli niczego więcej, niż tylko żyć. Nagle przypomniała sobie Stasia i się przestraszyła. Nie miała pojęcia, czy był przy nim ktoś, kto go przytuli i zajmie się jego rodzeństwem.

– Nie przejmuj się – odezwał się ojciec, kucając przed Nela. – Wiem, że musimy odłożyć ślub, ale Wilhelm to dobry chłopak i zrozumie, że są chwile, gdy dobro osobiste musi ustąpić miejsca wyższym wartościom.

Nela patrzyła w oczy ojca. To była szansa, o której nie śmiała marzyć. Skoczyła na równe nogi i poczęła zmierzać do wyjścia, nie reagując na kolejne pytania rodziców. Wiedziała, gdzie teraz powinna się znaleźć. Nie zamierzała dłużej czekać. Wbiegła na schody i szarpnęła za klamkę. Po chwili stanęła na korytarzu.

– Co z tobą? – usłyszała głos młodszego brata, który stanął tuż obok niej. – Życie ci niemiłe?

– Przeciwnie! Zamierzam się nim cieszyć, dlatego muszę stąd jak najszybciej wyjść.

– Dokąd?

– Nie mam czasu, by ci teraz o wszystkim opowiedzieć.

– W takim razie idę z tobą. Nie pozwolę, żebyś sama włóczyła się teraz po mieście.

Nela miała ochotę wybiec z domu i nie oglądać się za siebie. Wiedziała jednak, że Tomasz ją zrozumie. Odgłosy kolejnych wybuchów bomb nie ustawały. Ludzie przemykali ulicami, chcąc jak najszybciej znaleźć bezpieczne miejsce. Oni też trzymali się blisko kamienic i ogrodzeń. Na ulicy nie znaleźli żadnego powozu. Musieli biec.

Nela doskonale знаła drogę na skróty, dlatego szybko dotarli na dworzec. Tu uderzył ich widok tłumu wylewającego się z wagonów kolejki wąskotorowej. Uważnie lustrowała pasażerów, oczekując widoku tego upragnionego. Nie dostrzegłszy go, ruszyła pod prąd, usiłując się przebić do wejścia do wagonu. Słyszała pytania Tomasa, ale nie odpowiedziała na żadne. Musiała zdążyć. Wreszcie ciężko opadła na ławkę i rozejrzała się po wagonie. Tylko oni w nim siedzieli.

– Jedziemy do Stutthof? – upewnił się.

Skinęła głową, a gdy pociąg ruszył, nachyliła się nad bratem. Wiedziała, że nikt ich nie słucha, ale to, co chciała mu przekazać, płynęło z głębi jej serca i nie wymagało krzyku.

Kiedy dotarli na miejsce, na stacji roilo się od pasażerów. Płacz dzieci mieszał się z krzykami dorosłych. Ludzie gotowi zapłacić podwójną stawkę za bilet wpychali się do środka, nie czekając, aż oni wysiądą.

– Przecież kolejka jeszcze nie wraca do Danzig – zauważył Tomasz.

– Ale później może dla nas zabraknąć miejsca – wyjaśnił mu młody pasażer objuczony tobołami.

Nela wreszcie przecisnęła się przez wąskie drzwi i niemal wypadła na trawiasty peron. Idący przed nią Tomasz w ostatniej chwili ją podtrzymał. Dalej minęli jeszcze kilku pasażerów i wyszli na drogę.

– Wiem, gdzie mieszkają – odezwał się Tomasz i pociągnął Nela za rękaw.

Dziewczyna biegła, ale szybko opadła z sił. Musieli zwolnić, bo gorące powietrze nie pozwalało iść szybciej.

– To tutaj – obwieścił Tomasz i zatrzymał się na wprost budynku.

Nela zamarła, widząc powybijane szyby i ściany podziurawione od kul karabinów maszynowych. Na schodach szczyrzyły się kawałki glinianej donicy rozsądzonej przez granat. Wokół leżały porozrzucone szczątki roślin. Nadpalone drzwi z wylamanym zamkiem stały otworem. Tuż obok na ścianie czerwieńił się napis: „Polnische Schweine müssen sterben”<sup>27</sup>.

– Cholera jasna! – jęknął Tomasz.

Chwycił siostrę w ramiona i mocno przytulił. Nie mogła tak stać bezczynnie. Musiała sprawdzić, czy nie został w środku. Odepchnęła brata i podeszła do schodów.

– Nie! – Zatrzymał ją. – Chodźmy stąd!

– Muszę wiedzieć... – Spojrzała na brata błagalnym wzrokiem. – A jeśli on tam leży ranny?

Rzeczywiście istniało takie ryzyko. Zdążył już polubić Iwa, a po tym, co mu Nela wyznała w pociągu, nie potrafiłby przejść obojętnie obok mężczyzny potrzebującego pomocy.

– Zostań tu! – nakazał jej tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zajrzę do środka.

Powoli skinęła głową i zrobiła dwa kroki w tył, by ustąpić mu miejsca. Wyminął ją i wszedł do środka. Ta chwila wlokła się w nieskończoność, a ona myślała tylko o tym, co robi, jeśli Tomasz znajdzie ciało Iwa. Jej skołatane serce biło coraz mocniej. Miała wrażenie, że pędzi gdzieś na oślep, ale jej cel wciąż się od niej oddala.

– Nikogo tu nie ma! – Głos Tomasz wyrwał ją z mroku myśli.

Spojrzała na brata. Nie była pewna, czy powinna się cieszyć.

– To gdzie jest Iwo? – wyszeptala pytanie, na które żadne z nich nie znało odpowiedzi.

Tomasz zeskoczył ze schodów i stanął obok niej.

– Musimy stąd uciekać. Nikt nie powinien nas tutaj widzieć. Wracajmy do Danzigu. Tam zastanowimy się, co robić dalej i gdzie szukać Iwa. Opowiadał ci o swojej rodzinie? Może zdążył do niej wyjechać?

Bezradnie wzruszyła ramionami. Wciąż niewiele wiedziała o chłopaku. Dopiero zaczęli się poznawać. Nela niechętnie, ale ruszyła w ślad za bratem. Podskórnie czuła, że Tomasz ma rację.

Musieli wrócić na stację. Idąc, rozglądali się na boki. Nie chcieli rzucać się w oczy. W oddali dostrzegli dwie ciężarówki w ciemnych kolorach. Zmierzały w ich kierunku. Nela pociągnęła brata za rękę i skryli się za rozłożystym drzewem. Zaczekali, aż samochody ich miną. Na drzwiach dostrzegła wymalowane swastyki. Wtedy ostrożnie wyściubiła nos. Na moment plandeka odchylił się i dziewczyna dostrzegła uzbrojonego mężczyznę.

– Kim oni są? – Spojrzała na Tomasza.

– Nie mam pojęcia, ale nie wyglądają na plażowiczów.

– To pewnie niemieckie wojsko... Tylko co oni tu zamierzają zrobić?

– Może to jakaś ich baza.

W jej oczach zagościła nadzieja.

– Nawet o tym nie myśl.

– Zrozum... muszę mieć pewność, że Iwa tutaj nie ma! – szepnęła i nie czekając na reakcję brata, wciąż czmychając między wysokimi sosnami, pognała za wlekącą się ciężarówką.

Przemykała pomiędzy kolejnymi drzewami, nie chcąc stracić samochodów z oczu. Brakowało jej tchu, ale nie zwalniała tempa. Drzewa się zagęściły. Teraz było im łatwiej się ukryć. Wreszcie dostrzegła, że auta zwolniły, a potem się zatrzymały. Inny uzbrojony mężczyzna podszedł od strony kierowcy. Chwilę rozmawiali, a potem ciężarówki wjechały do środka, znikając jej z oczu. Odczekała chwilę i podeszła jeszcze bliżej. Przycupnęła za niezbyt grubą sosną. A gdy wyjrzała, jej oczom ukazał się rząd kilkunastu namiotów ustawionych za dużą, drewnianą bramą, po bokach której stało prowizoryczne ogrodzenie z drutu kolczastego. Dokładnie widzieli zeskakujących z ciężarówek podróżnych.

– Co tu, u licha, się dzieje? – pytanie Neli zawisło w powietrzu.

Tomasz pociągnął siostrę w bok. Usiłowała się wyrwać, ale on pragnął ją chronić ponad wszystko. Nie miał pewności, co przed chwilą widzieli, ale jego intuicja podpowiadała mu, że nikt nie powinien ich tutaj dostrzec. Wiedział, że nie wszystkie tajemnice zasługują na to, by je odkryć.

## Koniec części I

## Od autorki

Pisanie powieści z historią w tle to fantastyczna przygoda, dzięki której mogę lepiej poznać dzieje Polski i Polaków żyjących dziesiątki lat temu. Wszystkimi znalezionymi informacjami o życiu w Wolnym Mieście Gdańsku chciałam podzielić się z Czytelnikami, byście mieli okazję poznać tamte zdarzenia. Mam nadzieję, że fikcyjni bohaterowie ukazani na tle historycznych wydarzeń skradną Wasze serca i na długo w nich pozostaną.

Dziękuję Agnieszce Krizel, która zgodziła się napisać wiersz, w którym, przekładając na język poezji, wyraziła swoje emocje po przeczytaniu powieści. To niesamowite przeżycie czytać utwór, który w zupełnie inny sposób pokazuje opisaną przeze mnie historię.

Jestem wdzięczna Panu Piotrowi Sternalowi za otwarcie drzwi wydawnictwa i zaproszenie mnie do zacnego grona autorów wydających w Skarpie Warszawskiej.

Bardzo się cieszę z owocnej i współpracy z redaktorem tekstu, panem Pawłem Wielopolskim, który z dużym szacunkiem podchodzi do słowa pisanego, a z jeszcze większym – do autora.

Z podziękowaniami zwracam się do moich Grupowiczów z facebookowej grupy Aneta Krasieńska – Spotkania przy literaturze, z którymi każdego dnia rozmawiam o książkach i o życiu. Jesteście moim wsparciem i głosem, który mówi mi, że to, co robię, ma sens, a moje powieści dostarczają Wam emocji i na długo pozostają w Waszej świadomości.

Aneta Krasieńska



## Przypisy

- [1] Franciszek Szmelter, restaurator z WMG, najprawdopodobniej też etatowy oficer Oddziału II (wywiad wojskowy) Sztabu Głównego Wojska Polskiego.
- [2] W restauracji spotykali się urzędnicy Komisariatu Generalnego RP, polscy przedsiębiorcy, inspektorzy celni. Pod koniec lat trzydziestych ulokowano tutaj punkt kontaktowy polskiego wywiadu. Tutaj spotykały się polskie organizacje społeczne, odbywały się polskie zabawy i uroczyste wystawne obiady.
- [3] Kolej wąskotorowa powstała do szybszego przewozu buraków cukrowych do cukrowni. Już na przełomie XIX i XX wieku kolej wąskotorową zaczęto przewozić pasażerów. Dzięki połączeniom z Gdańskiem mieszkańcy Żuław zostali skomunikowani ze stolicą regionu.
- [4] Dworzec Gdańsk Wąskotorowy.
- [5] Schutzpolizei (policja ochronna), w skrócie nazywana Schupo.
- [6] *Kobieta na Księżycu (Die Frau im Mond)*, 1929) – niemiecki film niemy o wyprawie na Księżyc grupy badaczy w poszukiwaniu złota.
- [7] Wissmann i Peters, niemieccy badacze i założyciele Deutsch-Ostafrika.
- [8] Plebisycyt zaplanowano na 21 maja 1939 r.
- [9] Sejm, czyli władza ustawodawcza w Wolnym Mieście Gdańsku.
- [10] Niemiecka nazwa Gdańska.
- [11] Budynek biurowy wybudowany w latach 1935–1936 przez swojego sukcesora – Zakład Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie.
- [12] Spotkania z ludźmi kultury i sztuki organizowane w latach 1935–1939 w Gdyni przez Zygmunta Cywińskiego.
- [13] Zygmunt Cywiński – organizator Wieczorów Czwartkowych, malarz, wielki społecznik, animator życia kulturalnego, ale także żołnierz. Zginął w obronie Gdyni we wrześniu 1939.
- [14] Niemiecka nazwa miejscowości Sztutowo.
- [15] „Bluszcz” – ilustrowany społeczno-literacki tygodnik dla kobiet wydawany w Warszawie w latach 1865–1918, 1921–1939 i 2008–2012.
- [16] Kanotier – popularny męski kapelus z prasowanej słomy z płaską główką.
- [17] „Przyjdź kochany maju i uwolnij nas teraz od Żydów”.
- [18] Niemiecka nazwa dla Nowego Dworu Gdańskiego sprzed 1939 r.
- [19] Znany na całych Wielkich Żuławach awanturnik, prawa ręka Landrata Otta Andresa z Nowego Dworu, organizator napadów i pętarowych zamachów na dom polskich celników. Zginął z rąk Polaka.
- [20] 1 sierpnia 1939 r. polecono inspektorom zdać broń i pełnić służbę w cywilnych ubraniach. Z kolei 7 sierpnia wydano rozkaz sprawowania służby wyłącznie w mundurach i z bronią krótką. Polecenia tego rozkazu trwały tylko do wieczora tego dnia. Kolejny rozkaz nakazał zwrócić mundury i broń do depozytu i pełnić służbę w cywilnym ubraniu. Polecenie to obowiązywało aż do dnia wybuchu wojny.
- [21] Auguste Lumière (wynalazca kinematografu) stworzył nieprzylegający opatrunek typu tulle gras. Była to tkanina w formie siatki nasączona wazeliną i 1,25% roztworem balsamu peruwiańskiego o działaniu antyseptycznym.
- [22] Sztandar formacji zbrojnej SS-Heimwehr Danzig.
- [23] 18 sierpnia 1939 SS-Heimwehr Danzig była gotowa do działania. Tego dnia nastąpiło uroczyste wręczenie sztandaru, a następnie oficjalna defilada ulicami miasta.
- [24] 20 sierpnia 1939 r. w wiosce Sztutowo zauważono cumujący w zatoce pancernik Schleswig-Holstein.
- [25] 25 sierpnia 1939 r. Schleswig-Holstein odpłynął w stronę Gdańska, o czym celnicy zameldowali w Ekspozyturze.
- [26] Niemiecka nazwa miasta Sopot.
- [27] „Polskie świnie muszą zdechnąć” (niem.).